www.tygodnikprzeglad.pl
Przegląd
Nr 26 (1120)
21-27.06.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Władza kocha inflację

Antyszczepionkowcy jak sekta

Dr Paweł Sękowski
Rzecz o lewicy – kim jesteśmy

Prof. Ewa Stachowska
Zdrowie w jelitach

Zdrajcy kontra patrioci

ZABIJ SIĘ DLA POLSKI

Rozmowa ze Stefanem Chwinem

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
26 >
9 771509 311102

eprasa.pl

27 2021

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

3.07-28.08.2021

www.jazznastarowce.pl
facebook.com/festiwaljazznastarowce

eprasa.pl a2151ccb97

Jerzy Domański

Gdy ambicja przerasta możliwości

Przyszedł w moim życiu taki moment, że coraz częściej komuś współczuję. Ostatnio dotknęło mnie to wobec polityków PiS, senator Lidii Staroń i Roberta Lewandowskiego. Zacznijmy od rządu Zjednoczonej (to takie słowo żarcik) Prawicy. I spróbujmy się postawić w jego sytuacji. Wiadomo, że trzeba się komunikować. Telefonicznie lub mejlowo. Proste, prawda? Tak, ale nie w Polsce. U nas premier Morawiecki i jego najbliżsi współpracownicy nie mogą mieć, z oczywistych powodów, zaufania do ministra Kamińskiego, któremu podlegają służby. Wiadomo, kto jest najważniejszym adresatem wiedzy, jaką mają służby kontrolujące tzw. bezpieczną korespondencję. Ci, którzy chcą ominąć prezesa, ale też przeciwników politycznych z własnego obozu, korzystają z poczty prywatnej. Ta z kolei jest stosunkowo łatwa do przechwycenia przez hakerów. Bardzo to marne położenie.

Mówimy o stronie technicznej. I o tym, co każdy urzędnik państwowy musi wiedzieć przed szkodą. Ataki cybernetyczne od lat są przecież smutną normą.

Najważniejszy jest więc nie lament po szkodzie, ale ocena tego, co wyciekło. W przypadku polityków PiS już ta skromna część ujawnionych informacji jest mocno kompromitująca. Prezes Kaczyński chce, jak kobra, zahipnotyzować opozycję i media, by nie mówiły o tym, co najważniejsze, czyli o treści korespondencji. A tych, którzy się wyłamują, straszy, że uderzają w polskie społeczeństwo i destabilizują nasz kraj. Jest dokładnie odwrotne. Zadufani w sobie amatorzy w poufnych mejlach rozważali kretyńskie pomysły i bardzo niebezpieczne scenariusze działań. Cóż do tego dodać? Nasze społeczeństwo, mimo wielu wad, niczym sobie nie zasłużyło na aż tak marną władzę.

Żal mi się zrobiło także senator Staroń. Tej, która po wykreowaniu się na Matkę Boską zwykłych ludzi zapragnęła zostać rzecznikiem praw obywatelskich. Jak duży był to błąd, mogli się przekonać wszyscy, którzy widzieli przesłuchanie kandydatki w Senacie. Oglądałem. Z każdym pytaniem pani Staroń coraz bardziej się pogrążała. Na większość pytań nie potrafiła odpowiedzieć, bo albo niewiele rozumiała, albo bała się ujawnić, co naprawdę myśli. Nie potrafiła za to ukryć nienawiści do wszystkich, z którymi przegrała po długich procesach. Pani Staroń uznaje tylko te wyroki sądowe, które są dla niej korzystne.

I na koniec Robert Lewandowski. Znamy wszyscy jego osiągnięcia. Ale na kapitana reprezentacji się nie nadaje. Nie ten charakter, nie ta osobowość, skromna charyzma. Ale kapitanem jest. Bo bardzo chce! Żal więc trenera, reprezentacji też.

BĄKOWSKI

CYTATY

WILHELM SASNAL, malarz
Słowa „polskość" czy „patriotyzm" zostały tak przywłaszczone, zawładnięte przez jedną stronę i zdewaluowane, że już nic nie znaczą.
„Tygodnik Powszechny"

PETER BROWN, historyk brytyjski
Fałszowanie historii jest gorsze od niepamięci.
„Forum"

eprasa.pl a2151ccb97

W NUMERZE

KRAJ
8 **Zabij się dla Polski**
– rozmowa ze Stefanem Chwinem
12 **Kiedy wybuchnie bomba?**
Mejle Dworczyka, groźby Kaczyńskiego
14 **Wszystko zdrożało, z wyjątkiem naszych pensji**
Najwyższa inflacja w Europie
17 **Antyszczepionkowa Dolina Krzemowa**
– rozmowa z Dawidem Ciemięgą

OPINIE
20 **Paweł Sękowski**
Rzecz o lewicy
53 **Sławomir Litwin**
Łowiectwo to nie biznes, myśliwy to nie zabójca

ZAGRANICA
24 **Żelazna Kopuła Izraela**
Co się wydarzyło na Bliskim Wschodzie
26 **Londyn dwóch prędkości**
Segregacja mieszkaniowa
30 **Węgry dla nadburmistrza Budapesztu?**
Lansowany na lidera opozycji
32 **Argentyna w głębokim kryzysie**
Gospodarka na skraju upadku
36 **Słońce, morze i cyfrowi nomadzi**
Jak przyciągnąć zdalnych pracowników

HISTORIA
38 **Nowa Huta i powojenni fachowcy**
Twórcy miasta i kombinatu
40 **Powrót do historii Sahrynia**
Polemika

KSIĄŻKI
42 **Burzyciele i marzyciele**
O książce Andrzeja Andrusiewicza

KULTURA
44 **Ciało jako pole walki**
– rozmowa z Martą Dzido
47 **Qulturalia**
66 **Stasys. Rysunki refleksyjne**

OBSERWACJE
48 **Co się stało z naszym rokiem**
Licealiści o pandemii
56 **Dziwidło i inne dziwadła**
58 **Skoki marzeń**
Z wózka na spadochron

ZDROWIE
50 **Kanapka dla mózgu**
– rozmowa z prof. Ewą Stachowską

TECHNOLOGIE
54 **Jazda bez trzymanki**
Pojazdy autonomiczne

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Gdy ambicja przerasta możliwości
23 **Andrzej Romanowski**
A imię jego czterdzieści i jeden
29 **Roman Kurkiewicz**
Świat – czas na urlop
35 **Tomasz Jastrun**
Miniaturki
43 **Wojciech Kuczok**
Dziabnięcie, a nawet ukąszenie

36
ZAGRANICA

SŁOŃCE, MORZE I CYFROWI NOMADZI
Jak przyciągnąć zdalnych pracowników

44
KULTURA

CIAŁO JAKO POLE WALKI
– rozmowa z Martą Dzido

56
OBSERWACJE

DZIWIDŁO I INNE DZIWADŁA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl a2151ccb97

Kim są wyborcy lewicy?

Od wyborów parlamentarnych w 2005 r., kiedy do władzy doszła prawica, następuje powolna pacyfikacja lewicy. Rozpoczęła się ona nie w Warszawie, tylko na samym dole: w miasteczkach, wsiach, małych gminach, i trwa. Dzisiaj nie warto się chwalić lewicowymi poglądami. Ludzie to zrozumieli, ale swoje wiedzą. To, że dzisiaj lewica ma ok. 10% poparcia, jest dużym sukcesem. Ważne, aby w parlamencie funkcjonowała, miała swoje zdanie, a wchodzenie w układy z prawicą jest szkodliwe, tym bardziej że ta prawica i tak dla lewicy nie ma szacunku. Może być ciężko, ale jak umiesz liczyć, to licz na siebie. Lewica niech postępuje tak samo.

Od PRL do LGBT i anty-PiS.
Kim są wyborcy lewicy?

Andrzej Kościański

•

Wyborcy lewicy to nadal robotnice i robotnicy, ludzie pracy najemnej. Problem w tym, że są heteroseksualni, za biedni na ekologię i technologię, oczekują sprawnego państwa. I o ile lewica w tej ostatniej kwestii ma coś do zaoferowania, o tyle nie ma oferty dla większości. Skupiając się na mniejszościach, zawsze będzie marginesem rozgrywanym przez liberałów.

Piotr Szymczak

•

Lewica musi być lewicowa, wyrazista i w żadnym wypadku nie może być przystawką jakiejkolwiek partii. Dla mnie odmłodzona twarz Lewicy (zjednoczonej) jest czytelna i budzi nadzieję.

Basia Jaworska

Od Giertycha do Czarnka

Porażający jest artykuł „Od Giertycha do Czarnka" (PRZEGLĄD nr 25) o – chciałoby się napisać – sytuacji w edukacji i oświacie, ale przecież tak naprawdę jest to opis jej kontrreformacyjnego zjazdu w stronę nieuctwa i ciemnoty! W historii Europy już tak było. O tym, jak wygląda świat, a raczej wszechświat, starożytni wiedzieli. Wiedziały to ludy zamieszkujące różne części naszego kontynentu. No i stało się tak, że udało się zrodzonej w Azji autokratycznej światopoglądowej satrapii zawładnąć umysłami podbitych ludów na kilkanaście wieków!

Teraz jest przecież podobnie. Ile trzeba będzie czekać na nowego Kopernika, który przywróci nam to, co chcą nam zabrać zrodzone w zatęchłych kruchtach antyhumanistyczne w swojej istocie prądy konserwatyzmu opartego na religijnym fanatyzmie?

Smutna jest konstatacja red. Beaty Igielskiej: gdy ministrem edukacji miał zostać Roman Giertych – protestowali uczniowie. Gdy Anna Zalewska likwidowała gimnazja – protesty były symboliczne. Gdy Przemysław Czarnek wygłasza światopoglądowe farmazony – środowisko edukacyjne i naukowe milczy!

Jeżeli komuś się wydaje, że te działania dotyczą tylko wrażliwego obszaru historii i spraw społecznych – głęboko się myli! Ten obskurancki zjazd odbija się na całości cywilizacyjnych standardów, których w Polsce, europejskim kraju należącym do Unii, wspólnoty państw i narodów tworzących system wartości XXI w., nie zaznaliśmy. Czy ktoś tę walkę podejmie? Czy jako społeczeństwu jest już nam wszystko jedno? Może jakaś lewica???

Janusz M. Kowalski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Czerwony dywan przed willą La Grange przed szczytem USA-Rosja w Genewie, 16 czerwca 2021 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl a2151ccb97

Konrad Fijołek, popierany przez opozycję, został wybrany na prezydenta Rzeszowa już w pierwszej turze, uzyskując 56,5% głosów.

Ignacy Gogolewski, jeden z najwybitniejszych w historii aktorów, reżyser teatralny i filmowy, dyrektor teatrów, prezes ZASP, obchodzi 90. urodziny. W latach 80. wyłamał się z bojkotu telewizji w stanie wojennym. Był członkiem Rady Krajowej PRON. **Jest szanowany i kochany przez Polaków. *Ad multos annos*, Jubilacie.**

Andrzej Mleczko, którego rysunki są ozdobą naszego tygodnika, został wraz z noblistką Olgą Tokarczuk Honorowym Obywatelem Krakowa. Andrzejowi gratulujemy także 50-lecia działalności artystycznej.

797 tys. cudzoziemców było zarejestrowanych w ZUS na koniec maja. Legalnie pracujących w Polsce obcokrajowców jest o 127 tys. więcej niż przed pandemią.

Adam Kiciński, prezes i akcjonariusz CD Projektu, producent gier komputerowych, zarobił wraz z premiami w 2020 r. ok. 29 mln zł. Jest to najwyższy zarobek w Polsce.

70-lecie urodzin obchodzi twórca i redaktor naczelny PRZEGLĄDU Jerzy Domański. *Ad multos annos*, Drogi Redaktorze.

Od początku pandemii w Polsce infekcję koronawirusem potwierdzono u 2 878 466 osób, z których 74 782 zmarły (stan na 18 czerwca).

1,152 bln zł wyniósł dług publiczny na koniec pierwszego kwartału 2021 r.

Najgorzej polskim przedsiębiorcom pracuje się z Francuzami. Przodują w czarnej księdze przygotowanej przez ministerstwo Gowina. Francuzi akceptują polskie firmy tylko w roli tanich podwykonawców. **A w Polsce wieś jęczy z powodu praktyk BNP Paribas, wysysającego z kredytów dla gospodarstw, ile tylko się da.**

Michał Dworczyk, szef gabinetu premiera Morawieckiego, ma niebywałą skłonność do wpadek. Najnowsza to używanie prywatnego adresu mejlowego do korespondencji służbowej. Jest co czytać. Aż głowa puchnie od głupoty tej ekipy.

4,8% wyniosła inflacja w maju 2021 r.

O 175 tys. więcej przestępstw gospodarczych było w 2020 r. w porównaniu z 2019 r.

Tylko 2,3% słuchaczy trwa jeszcze przy radiowej Trójce. Ponad połowa odeszła, bo nie chce wysłuchiwać topornej propagandy dojnej zmiany. **Równie wielki spadek słuchaczy, do 4,7%, ma na koncie Jedynka.**

68% mężczyzn i prawie 53% kobiet w Polsce ma problem z otyłością.

PRZEBŁYSKI

On mówić, że Michnik być zły

Frapuje nas takie oto pytanie. Dlaczego do obrabiania życiorysu Adama Michnika biorą się zwykle ludzie z gatunku „lotny jak furmanka"? Albo tacy, dla których język ojczysty jest zbyt trudny, by go sensownie używać. Natura jakoś szczególnie uwzięła się na Piotra Woyciechowskiego. Tego od list agentów Macierewicza i który za dojnej zmiany krótko rządził Polską Wytwórnią Papierów Wartościowych. Na tyle krótko, że ta ważna firma szczęśliwie przeżyła. Na osłodę przytuliła go Polska Fundacja Narodowa, pisowski pomysł na pompowanie wielkiej kasy swoim. Woyciechowski dorabia, prowadząc ipeenowskie panele. Dzięki dyskusji nad książką Graczyka o Michniku wiemy, że dla Woyciechowskiego nie tylko takie słowa jak *mea culpa* czy omerta są zbyt trudne, by je prawidłowo wymówić. Wiemy więcej. Wiemy, że gramatyki uczono Woyciechowskiego bez powodzenia. Co słychać za każdym razem, gdy się odezwie.

Uczelnia Ordo Iuris za nasze

Jeśli ktoś wysadzi z siodła prezesa Kaczyńskiego, to czeka nas spora niespodzianka. Tropy prowadzą do Ordo Iuris. Nikt tak dobrze jak oni nie wykorzystał strumienia pieniędzy, które dała władza. Ogromne publiczne pieniądze poszły na tworzenie struktur i ośrodków propagandowo-ideologicznych Ordo Iuris. Na razie celem tej organizacji jest budowa i umacnianie wpływów. Zwłaszcza w środowiskach akademickich, prawniczych i biznesowych oraz służbach. Najnowszy twór to Collegium Intermarium. Celem tej uczelni jest stworzenie sieci, której idee będą zaszczepiane nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach Międzymorza. Ambitnie. Bo i co się ograniczać, skoro minister Czarnek płaci. Nie ze swoich i bynajmniej nie bezinteresownie. Przyglądajmy się, jak PiS buduje sobie silnego konkurenta.

Rau dzwoni. Waszyngton nie odbiera

Mało komu znany Zbigniew Rau, którego dojna zmiana obsadziła w roli marionetkowego ministra spraw zagranicznych, dał głos w „Rzeczpospolitej". Brawo za szczerość. I za pokazanie, jakie są kulisy naszych stosunków z USA. Ale też z Niemcami i Francją. No i oczywiście z Rosją. Najgorzej wypadają Amerykanie. Ekipa Bidena nie znalazła czasu na spotkanie z Dudą i politykami PiS. Dlatego popełniają błędy. Ba, całą kaskadę błędów. A w ogóle według Raua polityka USA oparta jest na błędnych założeniach. Nie to, co nasza. Minister żali się, że wredni Amerykanie nawet telefonów od nas nie odbierają. Zapomnieli już, że polscy żołnierze ginęli za nich w Iraku i Afganistanie. Biedny Rau mało z tego rozumie.
Ale kto na miejscu Amerykanów miałby czas na pogawędki z Dudą, Morawieckim czy nieszczęsnym Rauem?

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl a2151ccb97

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie powinny być strategiczne cele Polski?

DR JACEK KUCHARCZYK,
Instytut Spraw Publicznych

W bardzo niepewnej sytuacji globalnej głównym celem strategicznym Polski, jako kraju w skali Europy średniej wielkości, a w skali świata wręcz małego, powinny być działania na rzecz wzmacniania ładu międzynarodowego oraz umacniania naszego prestiżu i wpływów w najważniejszych instytucjach, takich jak NATO, UE, Rada Europy, OBWE czy ONZ – czyli odwrotność obecnej polityki PiS. Drogą do tego celu powinno być budowanie silnych związków z kluczowymi partnerami międzynarodowymi – Niemcami, USA czy Ukrainą. W polityce wewnętrznej najpilniejszym zadaniem jest postawienie na merytokrację, czyli zakończenie obecnego rozdawnictwa urzędów z klucza partyjnego.

MICHAŁ SYSKA,
Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a

Przed Polską stoją wielkie wyzwania ekonomiczne, klimatyczne i demograficzne. Starzenie się społeczeństwa, wyludnianie się mniejszych i średnich miast, globalne ocieplenie oraz postępująca cyfryzacja pracy wymagają spójnych polityk ekonomicznych i społecznych, które wzajemnie się warunkują i sprzyjają tworzeniu nowych, dobrych miejsc pracy w nowoczesnych, zielonych sektorach, pobudzają innowacje i redukują nierówności społeczne. W takiej strategii wydatki na dobre usługi publiczne (zdrowie, edukację, transport zbiorowy) traktowane są jako inwestycja w rozwój. Jej realizacja wymaga mądrej polityki międzynarodowej, która wzmacnia pozycję demokratycznego państwa wobec operującego ponad granicami i wymykającego się społecznej kontroli kapitału.

PROF. DARIUSZ JEMIELNIAK,
teoretyk zarządzania,
Akademia Leona Koźmińskiego

Celem strategicznym powinno być zabezpieczanie kraju przed ryzykiem zewnętrznym, w szczególności ze strony Rosji. Jedynym realnym sposobem, by to osiągnąć, jest ścisła integracja europejska. Powinniśmy w związku z tym wyznaczyć realny harmonogram wprowadzenia euro, wspierać integrację sądownictwa oraz w jak największym stopniu wspólnych sił wojskowych. Z kolei cele gospodarcze powinny obejmować rozwój wsparcia cyfrowego. Zamiast monumentalnych inwestycji, takich jak Centralny Port Komunikacyjny czy przekop Mierzei Wiślanej, celem powinno być wykonanie skoku cywilizacyjnego, czyli np. silne wsparcie rozwoju systemu transportowego Hyperloop, a także studiów z zakresu sztucznej inteligencji i styku *data science* z biznesem.

JACEK OLEJNIK,
czytelnik PRZEGLĄDU

Kilka takich celów to: odejście od paliw kopalnych; zakończenie autorytaryzmu; zmiana wektora naszej obecności w UE, od kierunku polexitu promowanego przez obecne władze w stronę integracji i mądrej współpracy z innymi państwami; naprawa relacji z USA; pełen rozdział Kościoła od państwa; odpolitycznienie mediów państwowych i wspieranie wolności słowa; ponowna demokratyzacja instytucji państwowych; zwiększenie władzy samorządów; reforma systemu edukacji; znaczący wzrost wydatków na szkolnictwo wyższe i badania naukowe; zamknięcie mediów toruńskich i innych grup promujących interesy sprzeczne z polską racją stanu.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl a2151ccb97

Zabij się dla Polski!

Fatum nad nami: albo zdrajcy, albo patrioci

STEFAN CHWIN

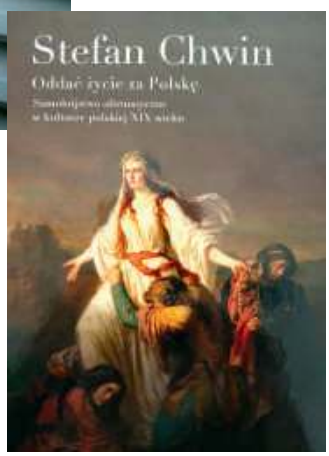

Rozmawia Robert Walenciak

Samobójcy, którzy oddają życie za ojczyznę! Pisze pan o nich* i jest to cała masa postaci rzeczywistych i literackich – Rejtan, Konrad Wallenrod, Kordian, Karol Levittoux, Wanda, co nie chciała Niemca, por. Ordon, Michał Wołodyjowski i inni. Uznani za godnych najwyższego szacunku. Jeśli jednak tak ważne miejsce w kulturze narodu zajmują samobójcy – to jest to chyba choroba.

– Nie tyle choroba, ile świadectwo sytuacji, w jakiej Polacy znaleźli się w wieku XIX. Przez sąsiednie państwa zostaliśmy potraktowani brutalnie. Nie wiem, czy potraktowano nas, jak to się zwykle mówi, wyjątkowo, bo np. Miłosz uważał, że historia biblijna Izraela była bardziej bolesna niż historia Polski XIX w. Niemniej zachowania samobójcze, które wtedy się zdarzały, dają się wytłumaczyć w tamtym kontekście. Warto zapytać, jak inne narody sobie radzą w podobnych, ekstremalnych sytuacjach bezsilności i bardzo głębokiego poniżenia i czy nie tworzą podobnych mitów.

Karol Levittoux… Spiskowiec, aresztowany przez carską policję, spalił się na więziennej pryczy w warszawskiej Cytadeli.

– Był torturowany przez długi czas i odebrał sobie życie nie dlatego, że nie mógł wytrzymać bólu, tylko dlatego, że uświadomił sobie – przynajmniej tak mówi legenda – że w wyniku tortur może wydać przyjaciół. Zabił się więc, żeby ich ochronić. Podobne samobójstwa nie były rzadkie i w XIX w., i podczas II wojny światowej, i zaraz po niej. Żeby nie zdradzić rodzin czy towarzyszy z oddziału, ludzie takie rzeczy robili w więzieniach gestapo czy NKWD. Nigdy jednak bym się nie ośmielił drwić ani z nich, ani z Karola Levittoux.

Rozumiem, ale jeśli takie postawy zaczynają dominować w przekazie kulturowym, to konsekwencje mogą być tragiczne.

– Nie chciałbym, żebyśmy sobie wyobrażali, że to jest główny nurt polskiej kultury i że tylko my, jedyni na całym świecie, wyróżniamy się na tym polu. Prawdziwy kult samobójstwa altruistycznego to kultura wschodniej Azji, szczególnie kultura Japonii. Kamikadze nie jest słowem pochodzenia polskiego. W Wietnamie Południowym w latach 60. na ulicach płonęły setki mnichów – i mniszek – buddyjskich, prześladowanych przez katolicki reżim Ngo Dihm Diema. W Irlandii, gdzie toczyła się walka o niepodległość, odbierano sobie życie, walcząc o status więźniów politycznych. Po zajęciu Czechosłowacji przez wojska Układu Warszawskiego w 1968 r. przeszła przez ten kraj fala samospaleń protestacyjnych – Jan Palach nie był jedyny! U nas publiczne samobójstwa protestacyjne popełniły trzy osoby. Ryszard Siwiec, Walenty Badylak i Piotr Szczęsny.

Najwyższy wzór patriotyzmu

U nas o reducie Ordona dzieci uczą się w szkole.

– To inna sprawa: pomysł na edukację, wedle którego samobójców altruistycznych należy przedstawiać dzieciom jako najwyższy wzór patriotyzmu. Ale dodajmy, że obok tego pomysłu w polskiej kulturze jest nurt przeciwstawny. Z jednej strony kult Ordona, z drugiej sztuka „Śmierć porucznika", w której Mrożek z tym kultem zabawnie się rozprawia. Uważam zresztą, że kultura polska wytworzyła w sobie pewną równowagę. Mamy w niej z pewnością forsowanie wzorca patriotyzmu, w którym

eprasa.pl a2151ccb97

śmierć jest pieczęcią narodowej świętości, ale np. Miłosz uważał, że inicjatorów powstania warszawskiego należy postawić przed Trybunałem Stanu. Do tego cała linia Gombrowicza, w tonie i treści przeciwna tego typu edukacji. Niebezpieczeństwo, które polskiej kulturze zagraża, to zachwianie równowagi pomiędzy tymi dwoma nurtami. Kultura powinna mieć dwa skrzydła – mroczno-sakralne i jasno-ironiczno-racjonalne. Wtedy jest naprawdę zdrowa.

Ale dominuje to sławiące śmierć!

– To prawda. W tej chwili znaleźliśmy się w momencie krytycznym. Mrożek i Gombrowicz są spychani na bok, pojawiają się pomysły, żeby ich w ogóle wypchnąć ze szkoły. Tonacja, nazwijmy, oświeconego racjonalizmu jest dość mocno przyduszona. Możemy zapytać: co z naszymi dziećmi robi się w szkole? Jaki pasztet ideologiczny pakuje się im do głowy?

Tonacja oświeconego racjonalizmu jest dość mocno przyduszona. Co z naszymi dziećmi robi się w szkole?

I jakie akademie są w szkołach organizowane… I wycieczki…

– Doskonale pamiętam swoją edukację szkolną. Prawdziwe paradoksy! To była szkoła z epoki realnego socjalizmu, ale wcale nie była szkołą racjonalistycznego oświecenia, tylko przeciwnie – twardego, bezdyskusyjnego podporządkowania jednostki społeczeństwu i państwu. A jako symbol tego największego podporządkowania przedstawiano oddanie życia przez jednostkę dla dobra zbiorowości. Bardzo to partia pochwalała. W szkole uczono nas z jednej strony kultu Ordona i Emilii Plater, bo jednak kobieta, która bierze się do wojny, ma w sobie coś samobójczego. A obok tego podawano nam opowieści o żołnierzach radzieckich, którzy podczas II wojny światowej własną piersią zasłaniali gniazda niemieckich karabinów maszynowych, żeby ich towarzysze mogli skutecznie atakować wroga. A zna pan opowiadania o lotnikach radzieckich, którzy trafieni, spadając, nie wyskakiwali na spadochronie, tylko postanawiali swoim płonącym samolotem uderzyć w zgrupowanie wroga? Wisława Szymborska napisała o tym dwa wiersze z tomu „Dlatego żyjemy". W czasach PRL mit samobójstwa altruistycznego chętnie wbijano do głowy polskim uczniom jako całkowicie zgodny z projektem ideologicznym partii!

Jakim cudem?

– Wynikało to z idei, że jednostka żyje dla kolektywu i temu kolektywowi powinna służyć do ostatniej kropli krwi.

Terror wierności grupie do końca

***Dulce et decorum est pro patria mori.* Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę. W Trylogii bohaterem jest Wołodyjowski, który wysadza się z twierdzą w Kamieńcu Podolskim.**

– Nigdy nie usłyszałem w szkole nawet jednego złego słowa o Wołodyjowskim samobójcy. Ale to, że ktoś się wysadza w twierdzy, nie jest żadną polską specjalnością. Byron napisał „Oblężenie Koryntu", gdzie podobne rzeczy robi wódz Minotti. Jeśli zaś chodzi o Sienkiewicza, dopuścił się on rozmaitych fałszów historycznych. Po pierwsze, zupełnie zatarł rzeczywiste okoliczności tego samobójstwa. Olbrzymia armia turecka otoczyła Kamieniec i mogła wszystkich wymordować. Ale polskie dowództwo twierdzy – bo Wołodyjowski nie był dowódcą, to jest podstawowa sprawa – zawarło porozumienie z Turcją. Było ono korzystne dla Polaków. Sułtan wyraził zgodę na honorowe wyjście pod bronią i ze sztandarami całej polskiej załogi wojskowej i ludności cywilnej. Natomiast Wołodyjowski zachowuje się już nawet nie nieracjonalnie, ale po prostu wariacko. Kiedy polskie wojsko opuszcza twierdzę i ludność wychodzi z miasta, on w tym samym momencie wspólnie z Ketlingiem wysadza twierdzę, zabijając zresztą przy tym część Polaków. Może dlatego, żeby fortyfikacje nie dostały się w ręce wroga? Ale dlaczego on sam ginie?! Mógł przecież podłożyć długi lont opóźniający eksplozję i wyjść spokojnie z wojskiem z Kamieńca. Ale wtedy, niestety, nie byłoby efektownego samobójstwa patriotycznego w finale powieści.

Sienkiewicz go uśmiercił malowniczo.

– To finał namolnie ideologiczny, który ma pokazać, że najwyższą formą patriotyzmu jest absolutne podporządkowanie jednostki zbiorowości, do ostatniej kropli krwi. Absolutne! Jednostka musi być całkowicie związana z losem zbiorowym i nie ma dla niej żadnej alternatywy. Symboliczna Polska ginie, więc Wołodyjowski też musi zginąć, chociaż wcale nie musi, bo wojsko wychodzi z twierdzy, a za jakiś czas przyjdzie Sobieski i zrobi ze wszystkim porządek. Niekonsekwencje w tej powieści są ogromne. Ale ona została napisana nie po to, żeby nas przekonać racjonalnie do czegokolwiek, tylko żeby nas zachwycić wizją absolutnego oddania się jednostki zbiorowości. To jest radykalnie antyindywidualistyczna powieść. Wprowadza ona kolektywny terror wierności grupie do końca. Używam określenia kolektyw nie przez przypadek.

Bardzo to określenie było lubiane w czasach minionych.

– Bo Sienkiewicz był ulubionym pisarzem polskich komunistów! Jak kiedyś coś takiego powiedziałem, to historycy się oburzyli. A to przecież prawda. Partia bez żadnych ograniczeń pchała gigantyczne pieniądze w takie produkcje sienkiewiczowsko-hollywoodzkie jak „Pan Wołodyjowski" czy „Potop".

Nastąpiła w Polsce ważna zmiana w triadzie Bóg-Honor-Ojczyzna. Nie Bóg jest na początku, tylko Ojczyzna i Honor.

I „Krzyżacy".

– Chociaż z drugiej strony Sienkiewicz we wczesnych latach 50. był pisarzem na indeksie. Bo z punktu widzenia partii ze swoim katolicyzmem trochę przesadzał. Ale PZPR była bardzo giętka. I tak mniej więcej od 1956 r. zrozumiała, że nie ma co się tak targać za włosy z Kościołem katolickim, bo i po co… Przecież najwięcej kościołów od czasów samego

eprasa.pl a2151ccb97

Mieszka I zbudowano w Polsce za Edwarda Gierka. Bardzo to się dziś zakłamuje, tworząc fałszywy obraz Kościoła jako tarana antykomunistycznego. A przecież ile było rozmów, negocjacji… Choćby rola Jerzego Zawieyskiego, posła Znaku, który organizował w Konstancinie, we własnym domu, wielogodzinne nocne rozmowy Gomułki i Wyszyńskiego. Wieczorami przyjeżdżali limuzynami z zasłoniętymi oknami i rozmawiali o Polsce do trzeciej rano… To są niebywałe rzeczy! Zawieyski napisał wielką pochwałę nienegocjacyjnego Rejtana. Ale równocześnie sam był postacią negocjacyjną. Natomiast w jednym momencie nie był negocjacyjny – kiedy po Marcu ‘68 oświadczył w Sejmie, że haniebną rzeczą jest bicie pałami polskiej młodzieży przez milicję, za co gorzko zapłacił.

Polak katolik i zdrajcy

Jest dla mnie w tych przykładach jedna rzecz charakterystyczna – gigantyczna presja idei kolektywnej na innych. Że jak jesteś członkiem naszej wspólnoty, to musisz się podporządkować do szpiku kości. Albo jesteś Polakiem katolikiem, albo jesteś poza wspólnotą. Taki szantaż patriotyczny.

– Coś takiego jest niewątpliwie w polskiej kulturze obecne. Ale zapytam pana: czy tylko w polskiej? W niemieckiej kulturze także to było – nie w sensie wierności katolicyzmowi, ale rozmaitym wiarom lokalnym… A w Rosji? Albo jesteś prawosławny, wtedy jesteś prawdziwym Rosjaninem, albo nie jesteś prawosławny, wtedy nie jesteś prawdziwym Rosjaninem, tylko kimś gorszego sortu! Dostojewski upierał się, że dusza rosyjska to wyłącznie dusza prawosławna, bo jak Rosjanin nie jest blisko Cerkwi, to nie jest prawdziwym Rosjaninem. Tylko zdrajcą po prostu!

U nas z kolei utworzyła się zbitka Polak katolik. Bóg ma nad nami pieczę, a zwłaszcza Matka Boska, która jest oczywiście królową Polski. Tak tworzy się wzór polskiego nacjonalisty, odpornego na wszelkie obcości.

– Od czasów rozbiorów nastąpiła w Polsce ważna zmiana w triadzie Bóg-Honor-Ojczyzna. Dla wielu Polaków wcale nie Bóg jest na początku, tylko Ojczyzna i Honor. Bóg zaś funkcjonuje jako dopełnienie tego patriotycznego duetu.

> Najwięcej kościołów od czasów samego Mieszka I zbudowano w Polsce za Edwarda Gierka.

Zakorzenione przekonanie, że najważniejsza jest jedność i nieprzejednana postawa, ma swoje konsekwencje. Nie ma w polskiej kulturze tradycji negocjacyjnych, tradycji rozmowy, wsłuchiwania się w innego… Jest walka.

– Pan posługuje się kategoriami funkcjonującymi w demokratycznych państwach Zachodu, które nie znajdowały się w sytuacjach tak ekstremalnych jak Polska. Tymczasem każdy naród, gdyby się znalazł w takiej sytuacji jak Polska w XIX w., prawdopodobnie wytworzyłby taką kulturę, jaką myśmy wytworzyli. Bo to sytuacja, która wymusza na zbiorowości zachowania, powiedziałbym, terrorystyczno-patriotyczne. Także wobec rodaków. Nie widziałbym w tym specyfiki polskiej. Takie mechanizmy występują we wszystkich społeczeństwach.

> Nie ma w polskiej kulturze tradycji negocjacyjnych, tradycji rozmowy, wsłuchiwania się w innego. Jest walka.

Albo jesteś z nami, albo przeciw nam!

– I nie ma żadnej alternatywy. Niebezpieczeństwo widzę w zachwianiu równowagi edukacyjnej. To znaczy w jednostronnym promowaniu postaw nienegocjacyjnych. Oczywiście należy kształtować mocne osobowości asertywne, które wiedzą, czego chcą. Nie powinny jednak być one zamknięte w sztywnym schemacie. Ponieważ w sytuacji naszego narodu czy społeczeństwa zachodzą rozmaite zmiany, trzeba mieć otwartą głowę. I reagować stosownie do zmieniających się warunków, widzieć je bez uprzedzeń. Z pewnością są sytuacje, w których negocjacje nie będą możliwe. Ale nie należy z góry wykluczać pewnych alternatyw, ponieważ wydają się zdradą.

Chłoporobotnik nas uratował

Albo kapitulacją…

– Gdybyśmy w Polsce kierowali się takim etosem, nie byłoby polskiego Października ‘56, czyli jednak sytuacji, w której Wyszyński wyciąga rękę do Gomułki, a Gomułka wyciąga rękę do Wyszyńskiego, a nawet stawia się Chruszczowowi, co mogło wcześniej wydawać się niewyobrażalne. I jakoś negocjuje. Tylko człowiek nieprzytomny powie, że sytuacja w Polsce po roku 1956 była taka sama jak w Związku Radzieckim. Albo w NRD! A później… Przecież nie byłoby w ogóle Solidarności, gdyby w Polsce były wyłącznie osobowości nienegocjacyjne.

Po obu stronach.

– Oczywiście! Mamy paru historyków zajmujących się tzw. ludową historią Polski, która przez prawicę jest raczej tępiona czy zamazywana. Bo mentalność ludowa była inna niż mentalność poszlachecka. Szlachta kształtowała w swoich potomkach nastawienia nienegocjacyjne. Lubiła wszystko stawiać na ostrzu noża czy szabli. Elementem ludowej historii Polski, tak uważam, była pierwsza Solidarność. Wbrew opowieściom, które są dziś forsowane, nie była ona dziedzictwem Polski poszlacheckiej i tradycji szlacheckiego patriotyzmu, tylko dziełem polskich chłoporobotników z wielkich zakładów pracy. Którzy mieli pogląd na życie dość trzeźwy… Chłoporobotnik wie, że oczywiście trzeba walczyć o wzniosłe sprawy, ale i z sołtysem trzeba jakoś żyć, i z proboszczem się dogadać… Ja bym to nazwał ludowym pragmatyzmem, który zresztą w roku 1980 uratował nas przed masakrą podobną do węgierskiej z 1956 r. Wałęsa miał chłopsko-robotniczy punkt widzenia na polskie sprawy. Dzięki temu rzeka krwi nie zalała Polski. I to jest alternatywa rzeczywista w polskiej kulturze – ludowa odpowiedź na kult samobójstwa altruistycznego.

eprasa.pl a2151ccb97

Sowiński w okopach Woli, Wojciech Kossak, 1922 r.

Ale jak opisać taki ludowy pragmatyzm?

– Dam przykład: mieliśmy w polskiej kulturze rzecznika czegoś takiego, jednak historia obeszła się z nim dość ostro. To Ernest Bryll. Napisał on kilka rzeczy z perspektywy plebejsko-robotniczo-ludowej. **Wspominając redutę Ordona, pisał w latach 70.: „Może na tym pęknięciu, na historii bliźnie / Uprawiać pomidory – tak służąc ojczyźnie?”.**

– Bryll był bardzo atakowany przez opozycję demokratyczną przed rokiem 1980. „Kultura” opublikowała gwałtowne ataki na niego Barańczaka, który w tamtym czasie uważał, że postawa – nazwijmy to – ostra, wręcz samobójcza, jest bardziej właściwa. Co ciekawe, Bryll po wprowadzeniu stanu wojennego przemienił się w pisarza patriotyczno-religijnego, msze za ojczyznę itp. Ciekawa zmiana. On należał do grupy pisarzy – ja do nich nie należałem – którzy uważali, że Polska pojałtańska, Polska Ludowa, to jednak nasza Polska. Być może kulawa i nie najładniejsza, ale innej nie ma. Trzeba więc ją nie tylko tolerować, lecz nawet kochać. Ja, ponieważ byłem wychowany w domu akowskim – ojciec uciekł przed obławą NKWD z Wilna, matka była sanitariuszką w powstaniu warszawskim, więc miałem w domu mocny kult powstania – z Polską Ludową się nie identyfikowałem.

Wierność grupie ważniejsza od Boga.

Wałęsa miał chłopsko-robotniczy punkt widzenia na polskie sprawy. Dzięki temu rzeka krwi nie zalała Polski.

Bryll mówił, że to Polska awansu społecznego, że milionom daje wykształcenie.

– Bo rzeczywiście dawała. W PRL zmienił się sposób życia, myślenia milionów Polaków, i to wcale nie najgorzej się zmienił. Ale dziś w opowieściach o tamtych czasach to jest mocno deformowane.

Smoleńsk tkwi w naszej historii

Smoleńsk bardzo zmienił polską mentalność i sposób debaty publicznej. Nagle wróciły postawy, o których myśleliśmy, że odeszły w niepamięć.

– Smoleńsk postawił przed Polakami pytanie, czy to Rosja zabiła prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Część Polaków mówi, że nie, a część – że tak. Ci drudzy uważają, że Rosja jest wciąż dla Polski wielkim niebezpieczeństwem. Takim samym jak w wieku XIX. Druga strona mówi na to, że czas przełamać fatalizm wiecznego napięcia polsko-rosyjskiego i wreszcie spróbować żyć z Rosjanami normalnie. Na to ci od Smoleńska odpowiadają: jak można normalnie żyć z Rosją, skoro ona zabiła naszego prezydenta, a teraz dobiera się do Ukrainy? Masa ludzi w Polsce dziś wierzy, że Rosjanie to zrobili. **Wierzy, bo ma gotowe klisze kulturowe.**

– To są klisze sytuacji ostatecznej, ekstremalnej. Ci ludzie uważają, że jesteśmy w takiej samej sytuacji jak w czasach zaborów, że Rosja trochę się odsunęła, ale w każdej chwili może na nas ruszyć. W takich okolicznościach w naturalny sposób uruchamia się kult samobójstwa altruistycznego. Bo przecież historie „żołnierzy wyklętych” to opowieści o zachowaniach samobójczych. Oni sami uważali, że chociaż szans na zwycięstwo nie mają żadnych, trzeba położyć głowę na pieńku historii, bo nie ma innego wyjścia. Teraz to wraca.

Okazuje się więc, że kultura polska, te mity w nas zaszczepione – to wszystko jest silniejsze niż politycy, niż reżimy, które próbują nam różne rzeczy narzucać.

– Taka jest świadomość zbiorowa. Z drugiej strony powodem tego wszystkiego jest realny fakt społeczny – trwały strach Polaków przed Rosją i Niemcami. Nas nie trzeba wcale straszyć, żebyśmy się bali Rosji i Niemców. Wystarczy, że posłuchamy dziadka, babci, może ojca… Kto w rodzinie zginął, kto siedział w więzieniu, kto został wywieziony… To nie są wyssane z palca sprawy czy jakiś obłęd w oczach. Ten strach jest trwały jak betonowy mur, co zresztą skutecznie wygrywa obecna władza. Ona deklaruje: szanujemy wasz strach i teraz wam pokażemy, jak trzeba się zachowywać w obliczu takiego strachu. I wybiera te wzorce, które ukształtowały się w XIX w., a my, niestety, mamy już wiek XXI.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

* Stefan Chwin, *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku*, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2021

FOT. ANNA REZULAK/KFP, PAP/REPRODUKCJA WOJCIECH KRYŃSKI

eprasa.pl a2151ccb97

Kiedy wybuchnie bomba?

Mejle Dworczyka, groźby Kaczyńskiego

Robert Walenciak

Od 8 czerwca na komunikatorze Telegram publikowane są mejle z prywatnej skrzynki pocztowej szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michała Dworczyka. Nie chodzi o niewiele znaczące wpisy – to korespondencja, którą Dworczyk prowadził z premierem, z innymi ministrami, z doradcami. Są tam m.in. poufne informacje dotyczące uzbrojenia polskiej armii, charakterystyki oficerów itd.

To kompromitacja i skandal, które PiS chciałoby przemilczeć, przeczekać. I odkręcić kota ogonem. Uporządkujmy więc to wszystko.

Nr 1: Dworczyk i jego tajemnice

Mejle, które publikuje na niezależnej platformie Telegram nieznany haker, pochodzą z prywatnej skrzynki ministra Dworczyka na portalu Wirtualnej Polski. Jak już wiemy, haker włamał się, podając prawdziwe hasło. Nie wiemy, jak to hasło przejął, a w związku z tym, od kiedy kontrolował skrzynkę, od kiedy śledził korespondencję ministra.

A dotyczyła ona spraw jak najbardziej państwowych. Media to podały, więc nie ma sensu nad tymi informacjami się rozwodzić. Przypominamy tylko skrótowo te najbardziej bulwersujące:

- Bezpieczeństwo państwa. Dworczyk na swoim prywatnym koncie omawiał kwestie negocjacji zbrojeniowych – chodziło o system antyrakietowy „Narew", o to, w jakim stopniu ma on być dziełem firm amerykańskich, a w jakim polskich. Płk Krzysztof Gaj, który przesyłał ministrowi swoje przemyślenia dotyczące negocjacji, charakteryzował przy tym oficerów z Inspektoratu Uzbrojenia, pisząc, kogo podejrzewa o sprzyjanie takiej lub innej stronie.
- Ujawniono też dane Rządowego Centrum Bezpieczeństwa.
- Strajk Kobiet. Ministrowie omawiali plany wysłania przeciw demonstrującym kobietom oddziałów wojska, konkretnie WOT. By tłumiły manifestacje. Ostatecznie do tego nie doszło, ale takie plany były.
- Pandemia i lockdown. Dworczyk omawiał z ministrami plany otwierania i zamykania galerii handlowych. Z ujawnionej korespondencji jednoznacznie wynika, że dla rządzącej ekipy mniej istotne były opinie lekarzy i epidemiologów, przede wszystkim zainteresowana była tym, jak decyzje wpłyną na sondaże.
- Orlen. Dworczyk dyskutował o awarii w Orlenie, o tym, że stacje w południowej Polsce przez dwa tygodnie mogą być pozbawione dostaw oleju napędowego. Jego rozmówcy przestrzegali, że może to mieć zły oddźwięk propagandowy (Orlen kupuje gazety, a nie zajmuje się dostawą paliw).

Nie ma zatem co ukrywać, taki wyciek to kompromitacja ministra. Korespondencję dotyczącą państwa, polityki, powinien prowadzić przez strony oficjalne, rządowe, odpowiednio zabezpieczone. Ale nie chciał.

Dlaczego? Tego możemy się domyślać. Po pierwsze, mógł się obawiać, że jego korespondencję będą czytać oficerowie naszych służb specjalnych. Konspirował się więc w ten sposób przed ludźmi Mariusza Kamińskiego. Po drugie, być może chciał uniknąć sytuacji, że tę korespondencję będą mogli czytać jego następcy. Oficjalna poczta nie ginie, nie jest kasowana. Dzisiejsza opozycja, jeśli przejmie władzę, będzie miała do niej dostęp.

Ale efekt tej Dworczykowej konspiracji jest taki, że jego korespondencję czyta każdy, kto chce. Lub inaczej – znalazła się ona w rękach nieznanego nam hakera i to on decyduje, co może być jawne, a co zostawia sobie…

Nr 2: Komu służą służby?

Piszę „nieznanego", choć media już ogłosiły, że za włamaniem na pocztę Dworczyka stoją służby specjalne Białorusi lub Rosji. Może tak, może nie, tego nie wiemy. Choć narracja, którą w tej sprawie przyjęło PiS, jest warta uwagi.

Oto bowiem na wniosek rządu zwołano utajnione posiedzenie Sejmu. Miały na nim zostać przekazane posłom informacje dotyczące bezpieczeństwa cybernetycznego państwa. Posiedzenie okazało się tanim przedstawieniem. Posłowie opozycji nie kryli rozczarowania, bo zamiast tajemnic usłyszeli ogólnie brzmiące banały. „W mojej ocenie żadne informacje, które by uzasadniały wniosek

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl a2151ccb97

Posłowie opozycji byli rozczarowani utajnionym posiedzeniem Sejmu.

premiera (o utajnienie obrad – przyp. red.), po prostu nie padły. Spotkaliśmy się niepotrzebnie" – to słowa Adriana Zandberga.

Jednak środowe posiedzenie Sejmu nie było zupełnie bez znaczenia. Przedstawiciele rządu poinformowali podczas niego, że hakerzy uzyskali dostęp do 4-4,5 tys. kont, przejmując tym samym ok. 70 tys. mejli. Nie poinformowali tylko, jak wiele z tych kont należało do członków rządu, szefów rządowych agencji i spółek skarbu państwa oraz innych ważnych polityków PiS. Możemy jedynie się domyślać, że wiele.

A co to znaczy? Po pierwsze, że korzystanie z niezabezpieczonych kont jest zwyczajem ekipy rządzącej. Po drugie, że polski kontrwywiad nad tym nie panuje. Nie daje sobie rady z atakami hakerów. Państwo PiS jest więc w tej bitwie bezbronne. Zaznaczmy – polskie służby są bardzo aktywne, jeśli chodzi o zakładanie podsłuchów (w tej dziedzinie bite są kolejne smutne rekordy), monitorowanie mediów społecznościowych, jeśli chodzi o działania opozycji. Na tym polu są aktywne i silne. A tam, gdzie rzeczywiście powinny być silne – są bezradne.

Po trzecie, że konto Dworczyka może być wierzchołkiem góry lodowej. Że „nieznani hakerzy" mieli (i mają) dostęp do skrzynek pocztowych innych członków rządu oraz kluczowych postaci w ekipie rządzącej. I w gruncie rzeczy nie wiadomo, co i kiedy zostanie na platformie Telegram bądź w innych miejscach ujawnione.

Nr 3: Będzie gorzej

Tajne posiedzenie Sejmu przyniosło jeszcze inne cenne informacje. Otóż, jak mówią posłowie, na trybunę pofatygował się wicepremier ds. bezpieczeństwa, Jarosław Kaczyński, i poinformował posłów, że Rosja ma przygotowany plan inwazji na Polskę, a włamanie na konto ministra Dworczyka to pierwszy tej inwazji etap.

Groził też posłom – mówił, że wśród nich są nieprzyjaciele Polski, ale jest minister Ziobro, który „słucha i notuje".

W piątek Kaczyński dorzucił kolejną porcję przemyśleń i wydał taki komunikat: „Analiza naszych służb oraz służb specjalnych naszych sojuszników pozwala na jednoznaczne stwierdzenie, że atak cybernetyczny został przeprowadzony z terenu Federacji Rosyjskiej. Jego skala i zasięg są szerokie. Obecnie prowadzone są działania wyjaśniające, ale także zabezpieczające dowody.

Apeluję do wszystkich o rozwagę i niewpisywanie się w scenariusz operacji zaplanowanej przeciwko polskim urzędnikom i politykom różnych opcji, której jednym z głównych celów jest uderzenie w polskie społeczeństwo i destabilizacja naszego kraju".

Te słowa są rozwinięciem wcześniejszych ostrzeżeń, które padły jeszcze w środę ze strony rzecznika rządu Piotra Müllera. Mówił on tak: „W najbliższym czasie spotkamy się z szeroko zakrojonymi działaniami dezinformacyjnymi, które mieszają informacje prawdziwe z informacjami, które są całkowicie nieprawdziwe. Już teraz trafiają do niektórych redakcji spreparowane informacje nt. poszczególnych polityków, które są zmanipulowane. Chciałbym uczulić wszystkich dziennikarzy i całą opinię publiczną, że będziemy przez najbliższe tygodnie, a może przez dłuższy okres, przedmiotem (...) bezprecedensowego ataku informacyjnego i dezinformacyjnego".

Innymi słowy, powiadomił nas wszystkich, że publikowane będą materiały kompromitujące ludzi z rządzącego establishmentu. I już uprzedził, że to będzie dezinformacja.

Tak zresztą PiS broni się w obliczu ujawniania kolejnych wiadomości z poczty Dworczyka – że są spreparowane, że to pomieszanie informacji prawdziwych z dezinformacją. Jak ocenić tę taktykę? Jako kłamliwą i niebezpieczną.

PiS swoją pozycję polityczną zawdzięcza bowiem różnym niesprawdzonym informacjom, często zresztą zwykłym pomówieniom. Można wyliczać: tzw. listy agentów SB, którzy potem wygrywali w sądach, różne teorie zamachu smoleńskiego, opowieści o spisku przy Okrągłym Stole czy o państwie w ruinie… A z jaką radością komentowano taśmy z restauracji Sowa i Przyjaciele! Kłamstwo na kłamstwie. Co więc się stało, że teraz PiS samo jest w strachu? Jakie to informacje zostały „spreparowane i podrzucone"? I kogo dotyczą?

Nie umieram z ciekawości, choć wolałbym sam je oceniać, niż zawierzać temu, co ogłosi rzecznik rządu. Bo może one są prawdziwe, tylko PiS uprzedza atak? Bo już wie, że jakiś materiał, kompromitujący dla władzy, jest w posiadaniu którejś z redakcji? Jak taką bombę rozbroić? Najłatwiej w ten sposób, że ogłasza się, że to rosyjska prowokacja. Wtedy nie trzeba z niczego się tłumaczyć. Ba! Można tych, którzy informują, atakować – że służą obcej inwazji.

Hakerzy uzyskali dostęp do 4-4,5 tys. kont, przejmując tym samym ok. 70 tys. mejli.

A tajne posiedzenie Sejmu? A jak najprościej budować atmosferę grozy i napięcia? Może te strachy to blef, żeby chwycić opozycję za twarz? Żeby naznaczyć każdego, kto nie przyjmie pisowskiej narracji, piętnem rosyjskiego agenta? Zwłaszcza że już ogłoszono, że w najbliższym czasie ma wpłynąć do Sejmu projekt ustawy dotyczący cyberbezpieczeństwa, który będzie mocno ograniczał prawa opozycji.

Strach się bać… Tylko kogo? Rosjan? Czy może raczej Dworczyka i Kaczyńskiego?

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a2151ccb97

Wszystko zdrożało, z wyjątkiem naszych pensji

Polska i Węgry mają dziś najwyższą inflację w Europie

W sieci modne stało się publikowanie „paragonów grozy".

Marek Czarkowski

Wszystko zdrożało, z wyjątkiem naszych pensji – zasłyszane przy kasie w Biedronce. Wzrost cen ponad poziom, do którego przywykliśmy od lat, stał się faktem. Według Głównego Urzędu Statystycznego w kwietniu br. ceny towarów i usług w relacji do kwietnia 2020 r. wzrosły o 4,3%. W maju zaś o 4,7% w stosunku do maja ub.r. Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński rozgrzeszył się, zapewniając, że wpłynęły na to czynniki niezależne od banku.

Ekonomiści jako przyczynę inflacji wskazali pandemię i bezprecedensową reakcję na nią ze strony rządów oraz banków centralnych najbogatszych krajów świata. Polegała ona na dodrukowywaniu pieniądza i bezpośrednich transferach gotówki do przedsiębiorstw, a także gospodarstw domowych. Nasz rząd i NBP zrobiły to samo. W efekcie – nie tylko nad Wisłą – pojawił się czynnik stymulujący wzrost cen. Na ile silny, przekonamy się wkrótce.

Zjawisko inflacji podsycał też wzrost cen surowców. W ostatnich tygodniach ceny węgla kamiennego na rynkach światowych ostro ruszyły w górę. Wzrost popytu w Azji generują tamtejsze systemy energetyczne, które – podobnie jak w Polsce – oparte są na elektrowniach węglowych. Jest to również sygnał, że azjatyckie gospodarki zaczęły wychodzić z wywołanej pandemią recesji.

U nas wzrost cen energii elektrycznej spowodowany został rosnącymi kosztami produkcji prądu. Na opłatę za 1 kWh (mówimy o odbiorcach końcowych) składają się dziś: opłata dystrybucyjna zmienna/sieciowa, opłata dystrybucyjna/przesyłowa stała, opłata przejściowa, opłata abonamentowa, opłata kogeneracyjna całodobowa, opłata OZE całodobowa, opłata mocowa i opłata jakościowa. Niemało!

Polska i Węgry mają obecnie najwyższą inflację w Europie. Cóż, mniej rozwinięte gospodarki charakteryzuje naturalna tendencja do wzrostu cen, podczas gdy gospodarki krajów bogatych są pod tym względem bardziej stabilne. Inflacji w naszych bratnich krajach sprzyja też polityka rządów Orbána i Morawieckiego, które zdecydowały się wpompować w gospodarkę tyle kasy, „ile fabryka dała".

Pod koniec lutego br. minister finansów Tadeusz Kościński powiedział: „Ponad 312 mld zł przeznaczyliśmy, żeby ratować życie, miejsca pracy przedsiębiorstwa w Polsce". I bynajmniej nie jest to ostatnie słowo. Można się spotkać z opiniami, że pomoc rządowa pod koniec tego roku może sięgnąć w sumie 433 mld zł.

W polskich i węgierskich mediach pojawiły się dziesiątki publikacji, wywiadów, analiz i wypowiedzi ekspertów ostrzegających przed grożącą nam katastrofą. W tym kontekście rodzimi publicyści przywoływali doświadczenia lat 80. XX w., gdy ceny rosły w szalonym tempie, a w sklepach brakowało towarów. Dyskretnie pomijali fakt, że w latach 90. także nie było słodko. Co prawda, sklepy zaczęły przypominać te zachodnie, lecz przy nadal wysokiej inflacji zarobki, renty i emerytury Polaków wybitnie odstawały od unijnych standardów. I tak jest do dziś.

Rodzi się pytanie, czy nadal powinniśmy się obawiać skutków inflacji – recesji gospodarczej, bezrobocia, spadku poziomu życia i pojawienia się silnych napięć społecznych. Odpowiedzi mogą być zaskakujące.

Paragony grozy

Jeśli ceny rosną, trzeba to odreagować w sieci. Modne stało się

eprasa.pl a2151ccb97

publikowanie na Twitterze, Facebooku i Instagramie „paragonów grozy". Dotyczyły one głównie wydatków związanych z rozpoczynającym się sezonem turystycznym. Tygodniowy pobyt dwóch dorosłych osób w trzygwiazdkowym hotelu nad Bałtykiem oznaczał uszczuplenie oszczędności o 3 tys. zł. W Sopocie nawet o 3,6 tys. zł. W Turcji ta sama przyjemność kosztowała 628 zł. A w Bułgarii – 564 zł.

W kwaterach prywatnych średni koszt tygodniowego pobytu w pokoju w okolicach Kołobrzegu to 536 zł. W Sopocie za tydzień na prywatnej kwaterze trzeba było zapłacić 770 zł. Taniej było w Turcji – 328 zł, Bułgarii – 333 zł i Albanii – 387 zł. Jęczący pod ciężkim butem rządowych ograniczeń wprowadzonych w związku z pandemią hotelarze i właściciele kwater prywatnych, mistrzowie smażonej rybki z frytkami, barmani piwni, producenci waty cukrowej i sprzedawcy lodów zaczęli od Bałtyku po Tatry z przytupem i przyświstem odrabiać straty. Długie majowe i czerwcowe weekendy dowiodły, że zapłacimy każdą cenę, byle nawdychać się jodu na plaży. Za dwie zupy, dwie porcje dorsza z frytkami i surówkami oraz duże piwo trzeba było zapłacić nawet 251 zł. Jakże imponujący początek sezonu.

Właściciele smażalni tłumaczyli drożyznę wysokimi cenami ryb i koniecznymi narzutami. To wersja dla maluczkich. Naprawdę chodziło im o odrobienie pandemicznych strat. Wiedzą, że nie będziemy teraz mieli zbyt szerokiego wyboru oferty turystycznej. Jeśli pogoda dopisze, sezon nad polskim morzem, jeziorami i w górach zapowiada się rekordowy. Już wiemy, że tegoroczne majowe ceny w restauracjach i hotelach były wyższe o 0,9% od kwietniowych. Łatwo sobie wyobrazić, co będzie się działo w lipcu i sierpniu.

Ceny poszły w górę także w budownictwie. W pierwszym kwartale 2020 r. średnia cena metra kwadratowego mieszkania w Polsce wynosiła 4567 zł. Rok później było to już 4944 zł. Wpłynęło na to wiele czynników. Wyższa płaca minimalna, rosnące ceny paliw i energii elektrycznej, problemy ze znalezieniem wykwalifikowanych fachowców, mniejsza liczba pracowników z Ukrainy i Białorusi, przedłużające się procedury administracyjne, mała dostępność gruntów pod zabudowę, zwłaszcza w dużych miastach, oraz rosnące ceny materiałów budowlanych sprawiły, że w tym roku będzie drożej. Co ciekawe, liczba wniosków kredytowych w ostatnim roku też szybko rosła. Tylko w kwietniu br. banki udzieliły kredytów mieszkaniowych na kwotę 7,2 mld zł. Prawie 50% więcej niż przed rokiem. Wiele wskazuje, że Polacy postanowili lokować swoje oszczędności w nieruchomościach, gdyż trzymanie ich na nikczemnie nisko oprocentowanych lokatach bankowych mija się z celem.

Tygodniowy pobyt dwóch osób w trzygwiazdkowym hotelu nad Bałtykiem to koszt 3 tys. zł. W Turcji – 628 zł.

A i same banki nie są zainteresowane przyjmowaniem środków od zamożnych obywateli. W marcu pojawiły się informacje, że bankierzy poważnie rozważają znaczące podniesienie opłat za prowadzenie rachunków i wprowadzenie ujemnego oprocentowania lokat. Zjawisko dobrze znane Szwajcarom miałoby się pojawić nad Wisłą? To nie jest niemożliwe. W roku 2020 banki systematycznie podnosiły opłaty za swoje usługi, gdyż z powodu pandemii Polacy zaczęli oszczędzać. A one nie wiedziały, co z tą kasą robić.

Według „Sprawozdania z wykonania założeń polityki pieniężnej na rok 2020" przygotowanego przez Narodowy Bank Polski, a opublikowanego w Monitorze Polskim 28 maja br., w roku ubiegłym nastąpił istotny wzrost nadpłynności sektora bankowego: „Poziom środków pozostających w dyspozycji sektora bankowego przekraczających poziom rezerwy obowiązkowej wyniósł w grudniu 2020 r. średnio 183 798 mln zł i był o 97 357 mln zł wyższy niż w analogicznym okresie roku 2019".

Gdy inflacja wynosi 4-5%, gospodarka zaczyna szybciej działać.

Innymi słowy, banki mogłyby zupełnie bezpiecznie pożyczyć przedsiębiorstwom, rolnikom, właścicielom małych firm itd. nawet ponad 200 mld zł. Ale tego nie zrobiły. Najwyraźniej nie było komu. Według danych NBP roczna dynamika wartości nowych kredytów powyżej 20 tys. zł w czwartym kwartale 2020 r. była ujemna. Wyniosła minus 22%. Przyczyną tego zjawiska było zapewne uruchomienie przez rząd wypłat z kolejnych tarcz antykryzysowych. No bo po co iść do banku, skoro Morawiecki ci daje?

Możemy być pewni – jeśli wspomniane instytucje finansowe nie będą w stanie zarobić na odsetkach od kredytów, podniosą opłaty za swoje usługi i tym sposobem „zrekompensują sobie ubytki". I nie będzie to największe nieszczęście, jakie spadnie na Polaków z powodu rosnącej inflacji.

Bo z poziomu dochodów i wydatków gospodarstw domowych inflacja nie jest czymś miłym. Za to z okna gabinetu ministra finansów w budynku przy ulicy Świętokrzyskiej 12 rzecz wygląda zupełnie inaczej.

Kochajmy inflację

Brzmi to jak herezja, lecz jest faktem – rządzący kochają inflację! Ministrowi finansów trudno byłoby do tego się przyznać, ale obserwując co miesiąc słupki, które ilustrują wzrost cen nad Wisłą, prawdopodobnie zaciera ręce z radości. W połowie maja br. resort finansów podał, że w okresie styczeń-kwiecień 2021 r. dochody budżetu państwa wyniosły 147 mld zł i były o 17,4 mld zł wyższe w porównaniu z tym samym okresem roku ubiegłego. W efekcie budżet państwa po czterech miesiącach zanotował 9,2 mld zł nadwyżki wobec 3,5 mld zł deficytu po marcu. Cud? Bynajmniej. To m.in. efekt działania niezbyt wysokiej inflacji.

Ekonomiści wiedzą, że gdy wynosi ona 4-5%, gospodarka zaczyna szybciej działać. Bo nie opłaca się trzymać pieniędzy na lokatach, tylko trzeba je inwestować. W co? Najlepiej w nieruchomości. I tak się dzieje. Budownictwo zaś – jak

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a2151ccb97

wiadomo od czasów króla Kazimierza Wielkiego, który „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną” – może się stać potężną lokomotywą wzrostu gospodarczego.

Żeby budować, potrzeba stali, cementu, pracowników, kredytów itp. A gdy już powstaną nowe osiedla, plus drogi, mosty, trzeba lokale wyposażyć. Poczynając od farb, płytek ceramicznych, paneli podłogowych, a na meblach, pralkach, zmywarkach i telewizorach kończąc. No i trzeba czymś jeździć. Najlepiej nowymi samochodami. Być może elektrycznymi.

Na każdym etapie produkcji tych dóbr – a następnie handlu nimi – minister finansów będzie pobierał swoją część. Tym wyższą, im wyższe będą ceny towarów i usług, spowodowane inflacją. Nic dziwnego, że mimo pandemii wpływy z podatków w Polsce rosły.

Pod koniec kwietnia br. Ministerstwo Finansów podało, że „odnotowano wzrost (w relacji do roku 2020) w przypadku niemal wszystkich podatków. W największym stopniu, bo 9,2% w skali roku, zwiększyły się dochody z tytułu podatku VAT. Niższy wzrost zanotowano w podatkach bankowym (8,9% – o ok. 0,1 mld zł), PIT (7,1% – o ok. 1 mld zł) oraz CIT (5,7% – o ok. 0,5 mld zł)”.

Budownictwo to tylko jedna z wielu gałęzi gospodarki, które ruszyły z kopyta. Inne zachowują się podobnie. W efekcie pod koniec pierwszego kwartału tego roku wyniki produkcji w Polsce zaskoczyły ekonomistów. W marcu wzrost dynamiki produkcji przemysłowej rok do roku wyniósł 18,9%. Przeciętne wynagrodzenie wzrosło o 8%. A sprzedaż detaliczna – mimo ograniczeń w handlu wywołanych pandemią – była wyższa o 15,2% od tej w marcu 2020 r. To najlepszy wynik od 13 lat.

Wzrost inflacji miał w tym swój udział. W drugim kwartale będzie podobnie. Nic dziwnego, że analitycy spodziewają się w roku bieżącym wzrostu polskiego PKB o 4,6%, a nawet 5%. Gdyby rząd prowadził twardą politykę, zgodną z zaleceniami głosicieli myśli liberalnej, szorowaliśmy po dnie z wysokim bezrobociem.

Jest też kolejna, kto wie, czy nie najważniejsza, korzyść dla rządzących płynąca z niewielkiej inflacji – zmniejsza się wysokość długu publicznego. Jak to działa?

Na początku 1990 r. dług III RP, odpowiadający 95% ówczesnego PKB, odziedziczony po PRL, składał się z zadłużenia zagranicznego, które stanowiło 83% PKB, i długu krajowego – ok. 12% PKB. Z powodu wysokiej inflacji w latach 90., redukcji długu zagranicznego wobec wierzycieli zrzeszonych w Klubie Paryskim oraz działań Narodowego Banku Polskiego w roku 2000 nasz dług publiczny skurczył się z 95% do 36,5% PKB. Potem znów zaczął rosnąć.

Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. W 1941 r. dług publiczny Stanów Zjednoczonych wynosił niecałe 40% PKB, by na skutek wydatków wojennych skoczyć w roku 1946 do 121,2% PKB. Ale w ciągu dekady – do 1950 r. – udało się go zmniejszyć do 66% PKB, utrzymując inflację na bezpiecznym poziomie 4%. Tę politykę kolejne amerykańskie administracje kontynuowały aż do połowy lat 70., gdy dług publiczny USA spadł do 33% PKB.

W roku 1945 Wielka Brytania użyła inflacji, by zmniejszyć swój gigantyczny, wynoszący 270% PKB, dług publiczny będący ceną za zwycięstwo w II wojnie światowej. Niezbyt przejmując się inflacją, oscylującą wokół 5% rocznie, do roku 1955 udało się Brytyjczykom zredukować go do 154%. Można powiedzieć, że na Wyspach panuje w tym względzie zadziwiający konserwatyzm. Dziś dług publiczny Zjednoczonego Królestwa to 100,9% PKB!

Dla porównania nadwiślański dług publiczny, który w roku ubiegłym wzrósł z 45,6% do 57,5% PKB (w liczbach bezwzględnych stanowi to 1 335,6 mld zł) jest zbliżony do długu tak oszczędnych państw jak Niemcy (67,4% PKB), Irlandia (62,7% PKB), Holandia (55,2% PKB) czy Norwegia (41% PKB). Co oznacza to w praktyce?

Jak mówił bohater „Kilera”, gangster „Siara” Siarzewski, „mają rozmach s...syny”. Rząd Prawa i Sprawiedliwości może bez najmniejszego ryzyka zwiększać świadczenia w ramach różnych programów społecznych, z 500+ na czele. Może dowolnie pompować gotówkę w takie projekty jak Centralny Port Komunikacyjny czy w budowę fabryki samochodów elektrycznych w Jaworznie. Miliardowe dotacje dla mediów publicznych to przy tym pikuś. Premier Morawiecki może do bólu wręczać swoim samorządowcom kartonowe czeki opiewające na dziesiątki milionów złotych. O budowie wszelkiej maści i kształtów obwodnic miast i miasteczek nie wspomnę. Nic złego się nie stanie.

W perspektywie są gigantyczne środki unijne, które w najbliższych latach zasilą prymitywną, opartą na węglu, wieprzowinie i nieudolnych służbach specjalnych polską gospodarkę. Plus cztero-, pięcioprocentowa inflacja, stosowana przez rządzących jako skuteczny instrument redukujący zadłużenie. To wystarczy, by przez 10-15 lat utrzymywać się na powierzchni. Co będzie potem? A kogo to obchodzi? Kto za to zapłaci? Oczywiście my wszyscy. Solidarnie.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Ani Polacy nie chcą oszczędzać w bankach, ani banki nie chcą naszych pieniędzy.

Najnowszy numer tygodnika „NIE”: Wreszcie mamy prezydenta! Fijołka…

eprasa.pl a2151ccb97

Antyszczepionkowa Dolina Krzemowa

Przymus szczepień będzie logiczną decyzją

Rozmawia Anna Brzeska

Dlaczego tyle osób w Polsce wciąż nie chce się szczepić?

– Teraz nie jest już tak źle. Gdy wchodziły do Polski pierwsze szczepionki, czyli produkt Pfizera, rzeczywiście nie chcieli. Nawet część personelu medycznego była sceptyczna, choć akurat w moim otoczeniu medycy od razu deklarowali, że się zaszczepią. Niestety, argument, że nawet lekarze nie chcą się szczepić, podchwycili antyszczepionkowcy. Na szczęście w kolejnych tygodniach sytuacja się poprawiała i dziś ogromna większość środowiska medycznego jest już zaszczepiona.

Czym spowodowane było to wahanie środowiska medycznego?

– Myślę, że część medyków nie była przekonana co do dużej skuteczności szczepionek, ale praktyka szybko pokazała, że one rzeczywiście działają. Co więcej, część środowiska medycznego przeszła już covid, a kwestie korzyści płynących ze szczepienia ozdrowieńców były dość niejasne. Nie trzeba było jednak dużo czasu, by zauważyć, że to podejście się zmienia. Dużo zamieszania zrobiły poza tym doniesienia o przypadkach zakrzepicy wśród osób szczepionych preparatem firmy AstraZeneca. Było ich bardzo niewiele, ale jeśli każdy zgon na świecie został podciągnięty przez antyszczepionkowców pod skutki szczepień, spowodowało to ogromną dezinformację. Straszenie ludzi to zaś główny element ich działania. Do swojej propagandy wykorzystują każdy przypadek – choćby ostatni zawał serca duńskiego piłkarza Christiana Eriksena, który według nich również był spowodowany szczepieniem. Efektem są tysiące komentarzy w sieci, że za chwilę zaszczepione osoby zaczną masowo padać na ulicach. Antyszczepionkowcy piszą też, że po szczepieniach mRNA spotkają nas tajemnicze „długofalowe powikłania", choć nie ma żadnych naukowych podstaw, by twierdzić, że tak będzie. Tego typu spekulacje zalewają internet, co ma zniechęcić ludzi nie tylko do szczepień, ale w ogóle do środowiska medycznego. Antyszczepionkowcy od początku obrali taki kierunek działania, by wykreować „niezależnych ekspertów" typu Jerzy Zięba, głoszących jedyną słuszną prawdę.

Robią to dla pieniędzy? Napisał pan na swoim profilu: „Dzięki foliarstwu ten kraj już stał się prawdziwą Doliną Krzemową pseudodobrodziejów. Przepis na sukces jest prosty – mówisz ludziom w internecie dokładnie to, co chcą słyszeć, i szybciutko zostajesz bohaterem, a droga do ich portfeli stoi otworem, na wieki wieków, amen".

– Wszystko na świecie jest związane z pieniędzmi – i nie ma nic złego w tym, że wszyscy chcemy zarabiać. Pytanie jednak, czy zarabiamy w uczciwy sposób, czy na fake newsach, chorych teoriach, propagandzie itd.

Jak można zarabiać na tego rodzaju treściach?

– Świat antyszczepionkowców ma pewną hierarchię. Na samej górze rzeczywiście są osoby, które prowadzą rozmaite biznesy. Wykorzystują do tego osoby na dole piramidy, czyli zwykłych ludzi, którzy często zupełnie nieświadomie robią to, czego chcą od nich ci na górze – udostępniają ich informacje, zwiększają zasięgi. Biznesmeni na górze hierarchii zarabiają na różne sposoby. Za wstęp na wykłady bądź konferencje np. Jerzego Zięby i jemu podobnych – czy nawet lekarzy antyszczepionkowców, bo tacy też są – trzeba często płacić, i to o wiele więcej niż za udział w zwykłej konferencji naukowej. O zarobkach Jerzego Zięby media już się rozpisywały (w 2018 r. inwestor Michał Jaskólski w mediach społecznościowych pokazał zdjęcie sprawozdania finansowego spółki sprzedającej polecane przez Jerzego Ziębę produkty i jego książki – wynika z niego, że spółka zarobiła w 2017 r. niemal 23 mln zł – przyp. red.) i coraz więcej osób idzie w jego ślady. Mamy więc już kilka innych osobowości z YouTube'a i Facebooka, które próbują sprzedawać swoją witaminę C, swoje suplementy, książki czy poradniki, miesięcznie zarabiając po kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Ale nie wszyscy mają przecież sklepy.

– Innym sposobem jest prowadzenie stron internetowych z treściami antyszczepionkowymi. Każda ma zakładkę „wesprzyj nas finansowo", zachęca do wpłat i obiecuje „walkę o prawdę", mamiąc hasłami o wolności i patriotyzmie. Niektóre

Antyszczepionkowcy do swojej propagandy wykorzystują choćby zawał serca duńskiego piłkarza Christiana Eriksena.

DAWID CIEMIĘGA
– lekarz pediatra i aktywista ekologiczny, od lat prowadzący w mediach społecznościowych walkę z antyszczepionkowymi oraz pseudonaukowymi mitami i fake newsami.

eprasa.pl a2151ccb97

mają po kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy wpływów.

I nic nie można im zrobić?

– Tak, ci ludzie są zupełnie bezkarni. Chciałbym to zmienić, bo uważam, że tak nie może być, że portale siejące fake newsy świetnie sobie radzą, obrażając medyków i naukowców. Na razie w Polsce nikt nie pociąga ich do odpowiedzialności, bo nasze prawo nie nadąża za tym, co się dzieje.

12 czerwca antyszczepionkowcy protestowali przed Ministerstwem Zdrowia przeciw tzw. paszportom medycznym.

Mam jednak wrażenie, że najbardziej absurdalne treści zostały już tak obśmiane, że nikt w nie nie wierzy i popularne są raczej te mające pozory naukowości.

– Nie, te najbardziej absurdalne teorie wciąż mają się świetnie. Proszę zauważyć, że np. Justyna Socha początkowo wykazywała się pewną powściągliwością w swojej działalności, funkcjonowała w antyszczepionkowym świecie w choćby minimalnie przyzwoity sposób. Ale gdy zaczęła się pandemia, też powtarzała rewelacje o Billu Gatesie, technologii 5G itp. Myślę, że to dlatego, iż wielu antyszczepionkowców i przede wszystkim tzw. foliarzy – ludzi wierzących już kompletnie we wszystko – okazało się dla niej polem do wzięcia, czymś opłacalnym. Czy ona sama w to wierzy, to inna sprawa, ale na pewno zdobycie większego kapitału w tej grupie było jej na rękę.

Dopatrzył się pan w tym środowisku jakichś politycznych powiązań?

– Wiem, że we Francji niedawno zdemaskowano kilku blogerów opłacanych przez Rosję, których zadaniem było zdyskredytować szczepionkę AstryZeneki i promować Sputnika. Zresztą w innych krajach także odkrywano, że antyszczepionkowa propaganda prowadziła do źródeł rosyjskich. W Polsce bardzo wiele osób, które obrażają mnie w internecie, ma w profilach emblemat Konfederacji, nawiązuje do walki patriotycznej, często udostępnia antysemickie i rasistowskie treści. Myślę, że nie bez powodu jej politycy uchodzą za ludzi, którzy z faktami naukowymi i logicznym myśleniem mają duży problem. Książka wydana przez fundację Grzegorza Brauna „Fałszywa pandemia" to stek bzdur. Jest bardzo tendencyjna, oparta na metodzie *cherry-picking*, czyli wybieraniu sobie opinii różnych dziwnych osób, również ze świata naukowego, które pasują do głoszonych tez. Wśród lekarzy i naukowców też bowiem zdarzają się ludzie, którzy głoszą kompletne brednie. Antyszczepionkowcom udaje się więc zwykle znaleźć kilka osób wypowiadających się w sposób dla nich korzystny.

A ludzie im wierzą, bo to naukowcy.

– Zwykli ludzie nie zdają sobie sprawy, że wszystkie informacje czy publikacje naukowe muszą być weryfikowalne przez inne osoby mające odpowiednie kompetencje. Nie może być tak, że ktoś, nawet będąc naukowcem, głosi jakieś tezy wedle własnego widzimisię i one zostają uznane za fakt – muszą je najpierw móc zweryfikować inni naukowcy za pomocą kolejnych badań. Na tym polega nauka. I już w szkole powinniśmy się uczyć, jak wyglądają rzetelne argumenty, jak czytać i sprawdzać informacje. To u nas kuleje i dlatego niewielu jest w stanie odróżnić rzetelne źródła od fake newsów i niepotwierdzonych opinii. Co więcej, socjologowie udowodnili, że wiele osób czyta tylko nagłówki. Przykładem tego typu manipulacji są teorie spiskowe o Billu Gatesie, który kilka lat temu na pewnej konferencji mówił o nadchodzących pandemiach. Nie było to nic nadzwyczajnego, pandemie czasem wybuchają i o tym mówił miliarder. Ale fani teorii spiskowych cytują jego słowa jako rzekomy dowód, że zaplanował sobie to wszystko, co teraz się dzieje, by umieszczać w szczepionkach chipy i nami sterować.

Groźne miały być też szczepionki mRNA.

– Zaczęto rozpowszechniać fake newsy, że nie zostały przetestowane, że nigdy ich nie używano. Tyle że to nieprawda, bo ta technologia jest rozwijana już od lat 80. Pandemia jedynie spowodowała, że znalazły się na nią duże środki, by w miarę szybko wprowadzić szczepionki na rynek. Nie jest więc tak, że poddaje się nas jakiemuś eksperymentowi medycznemu i nie wiadomo, co nam wstrzykują. Jednak ludzi bardzo łatwo wystraszyć, wmówić, że ta szczepionka zmieni nam kod genetyczny. Mówił o tym np. prof. Roman Zieliński, genetyk roślin, od którego poglądów odciął się już rektor jego uczelni, Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu, stwierdzając, że „nie mają solidnego poparcia w badaniach naukowych".

Ten prof. Zieliński założył chyba jakąś własną uczelnię. Może w ten sposób próbuje ją promować? Dzięki swoim tezom stał się w Polsce całkiem znany.

– Tak, widziałem na jakiejś stronie odnośniki do tej szkoły. Efektem jego działań jest jednak to, że któregoś

FOT. TOMASZ URBANEK/DDTVN/EAST NEWS, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl a2151ccb97

razu zadzwoniła do mnie mama i powiedziała, że właśnie znajomi wysłali jej wywiad z profesorem genetyki, który opowiada, że szczepionki robią z nas mutantów, wysterylizują nas itd., a rząd się cieszy, bo wymorduje emerytów i podreperuje budżet ZUS. I takie rzeczy mówi profesor genetyki, stając się autorytetem dla tysięcy ludzi. Przygotowałem więc materiał, w którym wypunktowałem te bzdury. Zresztą tydzień później Komitet Genetyki PAN wydał oświadczenie, w którym stwierdzono, że twierdzenia prof. Zielińskiego nie bardzo mają cokolwiek wspólnego z faktami naukowymi, podkreślając, że ów naukowiec nigdy nie zajmował się w pracy naukowej genetyką człowieka. Ale ludzi to już nie interesuje.

Ma pan jakieś inne ciekawe przykłady?

– Takim przykładem jest próba dowiedzenia, że testy PCR są niewiarygodne, czego podjął się niejaki Grzegorz Płaczek, do niedawna m.in. fotograf. Ma dużą wiedzę o promocji w internecie, z wykształcenia jest ekonomistą, bardzo sprawnie zatem wprowadza ludzi w błąd, pokazując tylko to, co pasuje do jego narracji, i pomijając całą resztę. Jako dowód na rzekomą bezużyteczność testów PCR zaprezentował negatywną opinię o nich opublikowaną przez Bułgarskie Stowarzyszenie Patologów. Tego, że przeczy jej cały naukowy świat, już nie pokazał. Co więcej, organizacja, na którą się powołuje, publikuje na swojej stronie pseudonaukowe artykuły, w których można znaleźć takie choćby stwierdzenia: „Powodem, dla którego Bill Gates chce, abyś wierzył, że COVID-19 zabije 450 mln ludzi, jest to, że nienawidzi przyrody, Boga i ciebie". Ponieważ Grzegorz Płaczek uchodzi za medycznego eksperta w oczach coraz większego grona internautów, poprosiłem go o spotkanie, aby wyjaśnił moim i jego czytelnikom kilka podstawowych aspektów testów PCR, epidemiologii i szczepień. Odpowiedzi nie otrzymałem. Człowiek ten nie ma żadnych kompetencji, aby prowadzić publiczną edukację w zakresie nauk medycznych, niestety bez problemu przekonuje ludzi, że jest inaczej. A co gorsza, tacy ludzie mnie oskarżają o kłamstwa, spiski i manipulacje.

Na stronie pana Płaczka również widzę zakładkę z prośbą o wsparcie jego „nieustających działań na rzecz Polski". Otwarcie przyznaje, że zbiera na opłacanie składek ZUS – swoich, a nawet żony.

– Tak, to wymarzona praca! Pisać głupoty, których potem nikt nie weryfikuje i nikt nie kwestionuje, i zarabiać na tym dobrą kasę. Płaczek zamieszcza też na swoim profilu populistyczne posty o umierających na AIDS i z głodu ludziach w Afryce i pyta, dlaczego nie wprowadzono tam... lockdownu. Tymczasem to przecież z fundacji Billa Gatesa pochodzi połowa źródeł finansowania walki z AIDS. Miliony osób z wirusem HIV żyją więc dziś normalnie m.in. dzięki Billowi Gatesowi i koncernom farmaceutycznym.

Czy w związku z dużą popularnością ruchu antyszczepionkowego szczepienia powinny być przymusowe lub powinny warunkować np. wstęp do kin albo na koncerty? To dość kontrowersyjna decyzja, niektórzy już porównują to do apartheidu, segregacji.

– Antyszczepionkowcy często wskazują jako wzór do naśladowania kraje skandynawskie, gdzie szczepienia są dobrowolne. Tyle że „zapominają" o innej istotnej rzeczy: w tych państwach, mimo braku przymusu, większość ludzi i tak się szczepi. To jest po prostu mądre społeczeństwo, nie bazuje na głupotach, słucha ludzi, którzy się na tym znają. Polacy zaś coraz częściej wolą czerpać wiedzę z internetu, przez to np. wyszczepialność na odrę spada. Ta choroba zaczęła się uaktywniać na świecie, np. w Stanach Zjednoczonych, wraz ze wzrostem aktywności ruchów antyszczepionkowych.

Próbę dowiedzenia, że testy PCR są niewiarygodne, podjął niejaki Grzegorz Płaczek, do niedawna m.in. fotograf.

W obliczu rosnącego zagrożenia nie pozostaje więc nic innego, niż ten przymus wprowadzić, bo konsekwencje ich głupoty poniesie reszta społeczeństwa. Wciąż wierzę, że za mamienie, wciskanie kitu, rozpowszechnianie fake newsów w końcu spotkają tych ludzi konsekwencje. Przyznam jednak, że tej wiary mam już coraz mniej. Jeśli wróci jeszcze polio, nie będzie już czasu na to, by się zastanawiać nad jakąś „wolnością". Skoro ludzie nie potrafią rozsądnie myśleć, wprowadzenie przymusu wydaje mi się logicznym następstwem.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a2151ccb97

Rzecz o lewicy

Kim byliśmy, kim jesteśmy, pozostańmy

Paweł Sękowski

Z grubsza wydaje się, że katalog wartości współczesnej lewicy jest oczywisty. Lewica to działanie na rzecz sprawiedliwości społecznej i walka o egalitarne społeczeństwo. Lewica to walka o postęp (już nie wiara, jak niegdyś, ale w dalszym ciągu walka), rozumiany jako wzrost wolności i równości, także równouprawnienia bez względu na jakiekolwiek różnice, wzrost dobrobytu ekonomicznego i społecznego, rozszerzanie się idei i praktyki przestrzegania praw człowieka, przyrost tolerancji. Lewica to rozdział Kościołów i związków wyznaniowych od państwa oraz działanie na rzecz zapewnienia pełnej wolności światopoglądowej wszystkim obywatelkom i obywatelom. Lewica dzisiaj – nawet jeśli nie zawsze w przeszłości, nie należy temu zaprzeczać – to również przywiązanie do rządów prawa i do rzeczywistego trójpodziału władzy.

Nie jest bliska lewicowości liberalna apoteoza indywidualistycznej wolności oraz formalna, bezemocjonalna koncepcja praworządności i równości wobec prawa. Ideał lewicowy jest bardziej wymagający, jest bowiem wspólnotowy i solidarny. Głosimy dążenie do całej szerszej równości na wielu polach, nie tylko w aspekcie tradycyjnych trzech głównych źródeł nierówności: klasy społecznej, rasy i płci. Słusznie zwracał uwagę Norberto Bobbio, wybitny włoski filozof prawa i historyk myśli politycznej, że ideą równości obejmujemy coraz odważniej także zwierzęta, gdy przyznajemy, że w swojej zdolności do cierpienia są one równe ludziom, i stąd wyprowadzamy koncepcję praw zwierząt. Lewica to solidarność – ta prawdziwa, międzyludzka, pisana przez małe s. Lewica to troska.

W aspekcie gospodarczym naszą, tj. lewicy, narracją winno być odważne odrzucenie fetysza wzrostu gospodarczego jako głównego wskaźnika postępu społecznego. Postęp gospodarczy nie jest tożsamy z postępem społecznym. Miarą postępu niech będzie dla nas powszechna dostępność i wysoka jakość usług publicznych. A więc nie pomnażanie wzrostu samo w sobie jest naszym celem, lecz coraz bardziej sprawiedliwy podział owoców wzrostu gospodarczego. Postępowa jest ochrona naszej planety przed katastrofą klimatyczną, czego nie może zapewnić fetyszyzacja zysku, nieograniczony wzrost produkcji i konsumpcji. Lewica to walka z marnotrawstwem dóbr i pogłębiającą się pierwotną akumulacją kapitału.

Postęp gospodarczy nie jest tożsamy z postępem społecznym. Miarą postępu niech będzie dla nas powszechna dostępność i wysoka jakość usług publicznych.

W wymiarze społecznym lewica to aktywne społeczeństwo obywatelskie, rozumiane jako społeczeństwo aktywnych obywatelek i obywateli, jako struktura działań, więzi i przekonań na rzecz pomnażania dobra publicznego i dobra społecznego (nie zaś tylko i wyłącznie jako zespół organizacji pozarządowych, stowarzyszeń i fundacji). Kwintesencją lewicowej narracji o trosce i solidarności jest hasło wznoszone podczas protestów kobiet, trwających od października ub.r.: „Kiedy państwo mnie nie chroni, mojej siostry będę bronić". W tym haśle jest rdzeń naszego ideału. Rzecz jasna, chcielibyśmy państwa, które będzie nas chronić, a jego organy będą działać na podstawie i w granicach prawa. Skoro jednak tak nie jest, naszym zadaniem jest obrona słabszych, ochrona tych, których prawa i wolności są łamane. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt przywołanego hasła: gdy państwo nie chroni mnie, ja jestem odpowiedzialny za obronę mojej siostry (i brata), nie zaś samego siebie. Jest to radykalne wezwanie do przekroczenia swojego egoizmu, do działania dla innych. Ale jest to też wezwanie do tego, by budować koalicję na rzecz postępu, koalicję wszystkich, których prawa i wolności są łamane. I wszystkich, którzy nie zgadzają się na to, by łamane były prawa i wolności innych. Jest to bliskie postulowanej przez Judith Butler polityce „otwartych koalicji". Na tej płaszczyźnie mogą się spotkać m.in. osoby dyskryminowane ze względu na płeć, kolor skóry, narodowość, wyznanie lub bezwyznaniowość, osoby LGBT. Na tej płaszczyźnie można również walczyć o dobrobyt społeczno-ekonomiczny osób ubogich, w kryzysie bezdomności, z niepełnosprawnościami czy dyskryminowanych ze względu na wiek. Lewica

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a2151ccb97

nie może pod żadnym pozorem dać sobie narzucić narracji, zgodnie z którą „polityka otwartych koalicji" miałaby charakter swoistego „dyktatu mniejszości" wobec większości. Wszyscy na lewicy winniśmy walczyć o równouprawnienie oraz przestrzeganie praw i wolności wszystkich, nie tylko grup czy kategorii, do których sami przynależymy. W ten sposób budujemy społeczeństwo troski i solidarności dzisiaj oraz marzymy o państwie troski i solidarności jutro. Jak mówił Jacek Kuroń w rozmowie „Trzech na jednego" dla „Zdania" w 2002 r., być po stronie lewicy, „to znaczy, że jestem zawsze po stronie słabszych, krzywdzonych, prześladowanych, zawsze będę myślał w kategoriach pojedynczego człowieka".

ZDANIE

„planetę-ludzkość", ale to przecież nie stoi w sprzeczności z faktem, że jesteśmy Polkami i Polakami (te i ci z nas, które/którzy nimi są) i że chcemy dobra Rzeczypospolitej Polskiej i wszystkich, którzy w niej zamieszkują.

Jak wygrać tę walkę o język? Przede wszystkim lewica musi odważnie te pojęcia stosować i nie dać sobie narzucić „prawicowych" definicji tych słów. Odrzućmy prawicową i kościelną hegemonię kulturową. Konstruujmy własną, lewicową narrację i upowszechniajmy ją w mediach tradycyjnych i elektronicznych, w publikacjach, podczas mniej czy bardziej hermetycznych spotkań dyskusyjnych i konferencji, w trakcie masowych protestów i manifestacji (w przemówieniach i hasłach, tych wykrzykiwanych i na transparentach). Gdy lewica zdobędzie wpływ na oświatę, wielkim zadaniem będzie oczyszczenie programów nauczania z panującego w nich dzisiaj monopolu narodowo-klerykalnej optyki i języka.

Lewica to walka z marnotrawstwem dóbr i pogłębiającą się pierwotną akumulacją kapitału.

Być człowiekiem lewicy to nie godzić się na znieczulicę moralną i na egoizm w życiu społecznym. Przyznajmy, że w „lewicowym uchu" takie stwierdzenia nie brzmią dzisiaj naturalnie. Zdają się, niemal intuicyjnie, wpisywać w wokabularz prawicowych obrońców rodziny i tradycji albo pochodzić z refleksji teoretyków katolickiej nauki społecznej. Tymczasem w tych właśnie stwierdzeniach mieści się rdzeń lewicy. Przyczyną tego intuicyjnego dysonansu jest fakt, że przegraliśmy z prawicą walkę o język. Dotyczy to zarówno sfery ekonomicznej, jak i społecznej, a także historii.

Jako lewica musimy zrobić wszystko, by oczyścić z negatywnych konotacji pojęcia takie jak socjalizm, równość, egalitaryzm, sprawiedliwość społeczna. Musimy też zrobić wszystko, by odebrać prawicy i kręgom kościelnym monopol na pojęcia patriotyzmu, rodziny, narodu, tradycji, podobnie jak na symbole Rzeczypospolitej Polskiej: orła białego, biało-czerwone barwy i „Mazurka Dąbrowskiego". Oczywiście przez te same pojęcia i symbole będziemy rozumieć nie do końca to samo, co prawica, a częstokroć coś całkowicie odmiennego. Oczywiście jako lewica chcemy, aby sprawiedliwość społeczna i dobrobyt społeczno-ekonomiczny ogarnęły całą się pojęcie alt-modernizatorzy) a szeroko pojętymi modernizatorami, to lewica nie może dać sobie narzucić – w imię spoistości bloku modernizatorów – „jednolitofrontowej" narracji liberalnej czy chadeckiej. Przykładając termin ukuty przez Judith Butler do opisu polskiej rzeczywistości partyjno-politycznej, trzeba rzec, że „otwarta koalicja" nie wyklucza trwania przy swojej tożsamości. Lewica musi w ramach koalicji demokratycznej pozostać lewicą. Po pierwsze, dlatego że ideały lewicy są naszymi ideałami. Po wtóre, dlatego że nawet jeśli założyć, iż pozostając wierną sobie, lewica być może nie zyska, trzeba zarazem zdecydowanie stwierdzić, że zdradzając siebie, lewica na pewno straci. Jeśli narracja lewicy politycznej upodobni się zanadto do dominującej w koalicji demokratycznej opowieści liberalnej, od partii lewicowych odwróci się ideowy lewicowy elektorat, a ewentualni nowi zwolennicy obozu modernizacji przyłączą się do dominującego stronnictwa liberalnego, nie zaś do lewicy. Pisał niedawno na łamach „Zdania" Maciej Gdula, poseł Wiosny (wszystko wskazuje na to, że już niedługo Nowej Lewicy): „Miejsce Lewicy na scenie politycznej wyznacza dziś pryncypialne stanowisko w kwestii wolności do decydowania o przerywaniu ciąży, równego traktowania księży przez organy ścigania oraz praw osób LGBT+". Nie ulega wątpliwości, że stanowisko lewicy politycznej

Kiedy państwo mnie nie chroni, mojej siostry będę bronić. W tym haśle jest rdzeń naszego ideału.

Trzeba, aby na rzecz takiego właśnie świata ideału lewicowego działała lewica polityczna. Naiwnym będzie każdy, kto nie będzie zważać na fakt, że polityka jest sztuką osiągania kompromisu – to oczywiste. Nie zwalnia to jednak lewicy politycznej z obowiązku czynienia wszystkiego, co możliwe, aby taki właśnie świat budować i trwać w głoszeniu idei lewicowych. Nawet jeśli zasadniczy podział mentalny w XXI-wiecznej Polsce, a od 2015 r. także podział polityczny, przebiega między populistycznymi antymodernizatorami (bardziej ścisłe wydaje w tych sprawach powinno być zdecydowane i jednoznaczne. Bezspornym jest, że kunktatorstwo w tych kwestiach doprowadziłoby lewicę do politycznej klęski. Nie zmienia to jednak faktu, że to zdecydowanie za mało, by lewica była rzeczywiście lewicą. Lewica na swoich sztandarach musi wysoko trzymać hasła, które odróżniają ją nie tylko od rządzących „alt-modernizatorskich" prawicowych populistów, ale także od liberałów. Lewica nie może obiecywać dokładnie tego samego co liberałowie, z dodaniem zastrzeżenia, że zrobi to lepiej.

eprasa.pl a2151ccb97

Sondaż CBOS z marca br. przyniósł wiadomość, że aż 30% Polek i Polaków w wieku od 18 do 24 lat utożsamia się z lewicą. Pośród młodych Polek z poglądami lewicowymi utożsamia się aż 40%. Budzi to ogromną nadzieję na przyszłość. Jest to optymistyczny prognostyk, a zarazem zobowiązanie dla lewicy politycznej. Jest tak, nawet jeżeli należy zachować świadomość, że nie zawsze młodzi ludzie (zresztą nie tylko młodzi) rozumieją pod pojęciem lewicy to, co rzeczywiście jest lewicą.

Lewica w dalszym ciągu powinna być Baumanowską „utopią w działaniu". Nasza wizja społeczeństwa i państwa powinna być „obrazem świata pożądanego – który nie tyle musi, ile powinien nadejść" (Zygmunt Bauman). Utopijność naszego ideału winna prowadzić do intensyfikacji naszych wysiłków na rzecz jego zrealizowania. Od tego zależy, czy i w jakim stopniu ideał ten nadejdzie. Znów za Baumanem powtórzmy: to, co nas odróżnia od innych współczesnych ideologii politycznych, to przekonanie, że „wspólnota odpowiedzialna jest za los wszystkich swych członków", oraz głoszenie zasady, że „podobnie jak nośności mostu nie można mierzyć przeciętną wytrzymałością filarów, ale nośnością najsłabszego z nich, nie wolno obliczać jakości społeczeństwa rozmiarami PKB, a więc średnią dochodów, ale sytuacją życiową najsłabszego jego sektora".

Musimy odebrać prawicy i kręgom kościelnym monopol na pojęcia patriotyzmu, rodziny, narodu, tradycji i symbole Rzeczypospolitej: orła białego, biało-czerwone barwy i „Mazurka Dąbrowskiego".

Odkurzmy hymn socjalistów – „Międzynarodówkę", zwłaszcza słowa jej refrenu, które pozostają nieosiągalnym zadaniem do osiągnięcia: „Bój to będzie ostatni / Krwawy skończy się trud / Gdy związek nasz bratni / Ogarnie ludzki ród". Ostatnie dwa wersy w oryginalnej wersji francuskiej, autorstwa Eugène'a Pottiera, brzmią: *L'Internationale / Sera le genre humain*, co można by przetłumaczyć literalnie jako: „Międzynarodówką będzie ludzki ród". Podkreśla to ponadnarodowy, ogólnoludzki wymiar idei lewicowej. Za żyjącym w II w. p.n.e. Publiuszem Terencjuszem Aferem powiedzmy: *Fortes fortuna adiuvat*, śmiałym szczęście sprzyja. Lewico, nie obawiaj się być lewicą.

Dr Paweł Sękowski jest adiunktem w Instytucie Historii UJ, prezesem Stowarzyszenia „Kuźnica" i redaktorem naczelnym „Zdania"

Pełna wersja tekstu ukaże się w najbliższym numerze „Zdania" – nr 2/2021. W empikach i sprzedaży elektronicznej na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl od ostatniego tygodnia czerwca.

eprasa.pl a2151ccb97

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

A imię jego czterdzieści i jeden

Nie, nie pomyliłem się w tym tytule – wiem, że wieszcz Adam pisał: „czterdzieści i cztery". Gdy jednak dziś, w pierwszy dzień lata 2021 r., sięgam pamięcią w głąb swego życia, przekonuję się, że wprawdzie 41 lat temu, 21 czerwca 1980 r., nic jeszcze się nie działo, ale dwa miesiące później narodziła się Solidarność. Gdy zaś pamięć podsunie dzień 31 sierpnia 1980 r. – zakończenie strajku w Stoczni Gdańskiej i przemówienie Lecha Wałęsy – to pojawi się przypomnienie, że mówił on także o tym, co działo się 41 lat wcześniej. A wówczas były to ostatnie godziny pokoju – przeddzień 1 września 1939 r.

Czy te 41-letnie interwały mówią coś o Polsce? Wrzesień 1939 r. zniszczył paradygmat Polski Niepodległej, rezultat XIX-wiecznych walk i martyrologii, owoc romantycznego prowidencjalizmu. Sierpień 1980 r. zniszczył prawomocność Polski Ludowej, jej mit ojczyzny robotników i chłopów, kraju sprawiedliwości społecznej. A i paradygmat uległ z czasem zniszczeniu – dziewięć lat później.

W obu przypadkach towarzyszyła zaś zniszczeniu kompromitacja. Rzecz jasna, nie dotyczyła ona polskiego wojska – we wrześniu 1939 r. walczyło ono bohatersko. I nawet nie była to kompromitacja polskich władz. W roku 1939 prowadziły one politykę zagraniczną w sposób prawidłowy, w roku 1980 umiały zapobiec agresji sąsiada. Kompromitacja dotyczyła sprawy nierównie głębszej: paradygmatu właśnie. W roku 1939 przeciw polskiemu państwu zwrócili się jego obywatele innych niż polska narodowości (Niemcy, Ukraińcy, Białorusini, Żydzi). Czyli II Rzeczpospolita – państwo wielu narodów – przez całe swe istnienie nie była matką dla wszystkich. Udział w rozbiorze kraju wzięła zaś większość sąsiadów (nie tylko III Rzesza i Sowiety, lecz także Słowacja i Litwa). Czyli II Rzeczpospolita – państwo wykrojone z trzech upadłych cesarstw – przez całe swe istnienie nie dbała w sposób wystarczający o dobre stosunki z sąsiadami.

W roku 1980 też widać już było, że PRL nie jest matką dla wszystkich. Telewizyjna „propaganda sukcesu" skrywała bogactwo i pychę obozu władzy, tych (jak wtedy mówiono) „prominentów". Idea tego państwa – od Manifestu PKWN przez „sojusz polsko-radziecki" po „jedność moralno-polityczną" – okazała się kłamstwem. Dzieła destrukcji dopełniła gwałtowna rekatolicyzacja, spowodowana pontyfikatem Jana Pawła II. A i monolit władzy uległ zachwianiu: u progu roku 1980 nastąpiła wymiana premiera – Piotra Jaroszewicza zastąpił (zmarły przed paru miesiącami) Edward Babiuch.

Dziś znów widzimy obóz władzy, nie tylko tak samo pyszny, ale jeszcze stale się radykalizujący. U schyłku dekady Edwarda Gierka radykalizacji jednak nie było. Widzimy też obóz władzy podlegający coraz szybszej dezintegracji. Wymiana premiera nie miała miejsca, ale wstrząsy doznawane przez Zjednoczoną Prawicę są silniejsze niż tamte, przeżywane przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. I nawet silniejsze niż przedwojenna „dekompozycja obozu sanacyjnego". W istocie bowiem obserwujemy rozsypkę Zjednoczonej Prawicy. Jeżeli nie jej form organizacyjnych, to na pewno jej projektu.

No i widzimy erozję sprawczości – jak w przypadku obioru nowego rzecznika praw obywatelskich. Widzimy obcęgi zaciskające się na PiS nie tylko już z „lewicy" (jeżeli tak można nazwać opozycję demokratyczną), ale i z prawicy (Konfederacja). Widzimy pisowskie „przystawki" – każda ciągnąca w swoją stronę. I widzimy świat zewnętrzny: Europę (Unię Europejską) i Stany Zjednoczone. Nikt już wobec Polski nie ma złudzeń, nikt nie ma oczekiwań. Wszyscy sąsiedzi (Niemcy, Rosja, Ukraina, Białoruś, Czechy, Słowacja, Litwa) są nam niechętni. Dobrze, że nie roszczą sobie – jak w roku 1939 – pretensji terytorialnych.

Polska prawicowa stała się karykaturą Polski solidarnościowej i sama siebie zrobiła pośmiewiskiem świata.

Paradygmat solidarnościowy, sprawujący „rząd dusz" w Polsce od lat 41 (bo sprawował go także w dekadzie lat 80.), dobiegł ostatecznie kresu. On również łączy się z kompromitacją. Bo Polska solidarnościowa miała być ojczyzną wszystkich, a stała się ojczyzną „swoich", równych i równiejszych, „pokrzywdzonych" i „niepokrzywdzonych", ludzi, którzy sami sobie przyznali „piękną kartę opozycyjną". W dodatku Polska prawicowa stała się karykaturą Polski solidarnościowej i sama siebie zrobiła pośmiewiskiem świata. A o rekatolicyzacji nie ma mowy – trwa masowy odpływ od Kościoła. Oraz od władzy, z którą Kościół się zblatował. Tymczasem opozycja demokratyczna, tak na co dzień skłócona, w Rzeszowie umiała się zjednoczyć. W stolicy regionu uważanego za bastion prawicy potrafiła wygrać.

Co nas czeka tego lata, nie wiemy – tak jak niczego nie wiedzieliśmy w roku 1980. Możemy tylko pytać: „czterdzieści i jeden"? Czy raczej „czterdzieści i trzy" (wybory roku 2023)? A może dopiero mityczne „czterdzieści i cztery"? Tak czy inaczej, w obliczu gnijącej władzy powstanie nowego paradygmatu jest nieuniknione. To oczywistość i konieczność – tak jak oczywisty jest interes Polski.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a2151ccb97

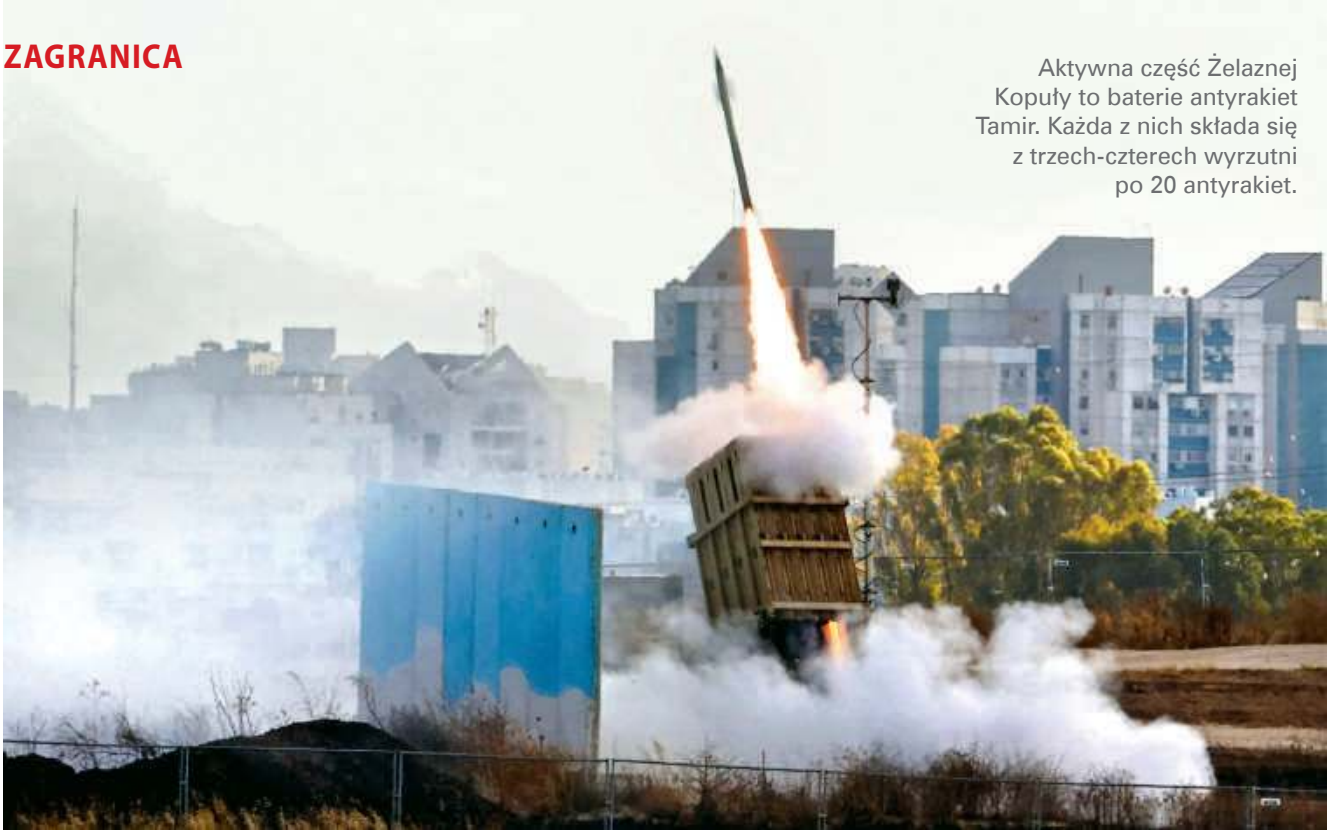

Aktywna część Żelaznej Kopuły to baterie antyrakiet Tamir. Każda z nich składa się z trzech-czterech wyrzutni po 20 antyrakiet.

Żelazna Kopuła Izraela

Co tak naprawdę wydarzyło się na Bliskim Wschodzie

Marcin Ogdowski

Powoli zapominamy o kolejnym – majowym – przesileniu, do którego doszło na Bliskim Wschodzie. Zgodnie z logiką izraelsko-palestyńskiego czy, szerzej, żydowsko-arabskiego konfliktu strony weszły teraz w fazę wyciszenia, co powoduje mniejsze zainteresowanie opinii publicznej sytuacją w Ziemi Świętej. Jeśli nic się nie zmieni, za kilka lat znów dojdzie do eskalacji, której towarzyszyć będzie wzmożona uwaga świata. To okresowe zainteresowanie sprzyja myśleniu o potyczkach Palestyny i Izraela w kategoriach *nihil novi*. Tymczasem kilka tygodni temu w Strefie Gazy i nad izraelskimi miastami rozegrało się coś, co zasługuje na miano postwojny. Konfliktu, w którym autonomiczne systemy uzbrojenia i analizy danych odegrały ważniejszą rolę niż ludzie. Parafrazując słynne Churchillowskie stwierdzenie, można powiedzieć: jeszcze nigdy w historii maszyny nie uczyniły tak wiele tak licznym bez decydującego udziału człowieka.

Umiejętna kombinacja

To nie państwo ma armię, tylko armia własne państwo – mówi się czasem o Izraelu. Trudno oprzeć się wrażeniu wyjątkowej trafności tego spostrzeżenia. Wojskowi z innych krajów z zazdrością spoglądają na Jerozolimę. Nigdzie indziej wojsko nie dysponuje tak wysokim odsetkiem przeszkolonych rezerw, rzadko gdzie cieszy się tak dużym budżetem (zarówno proporcjonalnie do całości PKB, jak i w liczbach rzeczywistych) oraz społecznym szacunkiem. Izrael to kraj, który z bezwzględnej ochrony swoich obywateli uczynił kościec państwowej ideologii, niemal religię – pozycja armii to jedno z oblicz tego zjawiska. Jego źródeł należy szukać we wrogim, a w najlepszym razie nieprzychylnym sąsiedztwie i w doświadczeniu Zagłady, do dziś objawiającym się społecznie dziedziczoną traumą. Taki stan rzeczy ma również wymiar czysto technologiczny – w maju zobaczyliśmy w akcji system antyrakietowy, znany jako Żelazna Kopuła. Chroni on całe miasta, ale w jego wersje mini wyposaża się nawet pojedyncze wozy bojowe. To nie armata czy właściwości jezdne, ale poziom ochrony załóg czyni izraelskie merkawy najlepszymi czołgami na świecie.

Skutki widać w liczbach. Podczas majowych zmagań zginęło 254 Palestyńczyków, a prawie 1,9 tys. zostało rannych. Śmierć poniosło również 13 Izraelczyków, rannych było 355. Dysproporcja ogromna, a wcale nie musiała taka być, wziąwszy pod uwagę, że podczas 11 dni konfliktu Hamas wystrzelił w stronę Izraela ponad 4 tys. rakiet. Zakładając – na podstawie izraelskich źródeł – że 80% pocisków nie stanowiło zagrożenia, bo upadły na terenach niezamieszkanych, każdy z pozostałych 800 mógł zabić i ranić od kilku do kilkudziesięciu osób. Historycznie patrząc, nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Wszystkie izraelsko-arabskie konflikty po 1948 r. kończyły się dużo większymi stratami Arabów. O ile w przypadku zmagań żydowsko-palestyńskich przyczyną była dramatyczna różnica potencjałów, o tyle w wojnach międzypaństwowych (sześciodniowa, Jom Kippur) Egipcjanie, Syryjczycy czy Jordańczycy mieli dość atutów, by odnieść zwycięstwo. Przegrywali i ginęli

eprasa.pl a2151ccb97

w starciu z umiejętną kombinacją lepszej motywacji, wyszkolenia i technologii. Z biegiem czasu ta ostatnia zaczęła odgrywać coraz większą rolę – czego ucieleśnieniem stała się Żelazna Kopuła. Ale nie tylko.

Testy przeciążeniowe

Izrael jest 15 razy mniejszy od Polski. Całe jego terytorium znajduje się w zasięgu rakiet działającego w Strefie Gazy Hamasu. W zależności od dystansu między nią a żydowskimi osiedlami mieszkańcy tych drugich mają od 15 sekund do półtorej minuty na schronienie się w razie ostrzału. To czas, który wyszarpała dla nich Żelazna Kopuła. Pasywna część systemu składa się ze stacji radarowych i centrów dowodzenia, które wykrywają start rakiet, obliczają ich trajektorię i punkty uderzenia. Kopuła współpracuje z systemem ostrzegawczym dla ludności – na podstawie płynących z niej informacji sektorowo uruchamiane są syreny alarmowe. Alarm rozlega się także w telefonach komórkowych osób przebywających w zagrożonych rejonach – za sprawą obowiązkowej aplikacji. Aktywna część systemu to baterie antyrakiet Tamir. Każda bateria składa się z trzech-czterech wyrzutni po 20 antyrakiet. Tamiry wystrzeliwane są do celów zmierzających na tereny zamieszkane – dla pewności posyła się po dwa pociski. Początkowo antyrakieta leci kursem zadanym przez centrum dowodzenia, w trakcie lotu ma możliwość samodzielnego manewrowania. Zniszczenie wrogiej rakiety następuje poprzez eksplozję w jej pobliżu. Cały proces jest w pełni zautomatyzowany.

Iron Dome (ang.) ignoruje rakiety, których trajektorie uzna za niegroźne. Skuteczność w wypadku pozostałych celów waha się od 80% do 90%. Kopuła ma niespełna 10 lat, wciąż jest udoskonalana. Składa się z 10 baterii. Zdaniem specjalistów to o trzy za mało, by mówić o pełnym pokryciu kraju. Są one co prawda mobilne, lecz mają ograniczoną wydajność. Wyrzutnię po odpaleniu 20 antyrakiet trzeba załadować – czas załadunku jest pilnie strzeżoną tajemnicą, ale nawet przy założeniu, że trwa to szybko (kilka minut?), okresowa niezdolność części systemu może mieć znaczenie przy zmasowanym ataku. W maju Hamas próbował przeciążyć Kopułę. Nie zdołał, także z uwagi na jakość własnego arsenału. Jego rakiety mają krótki zasięg, niski pułap lotu, są niekierowane, czyli lecą torem balistycznym, stosunkowo łatwym do wyliczenia. Za to są tanie – i na tym polega ich podstawowa zaleta. Kosztują po kilka tysięcy dolarów, podczas gdy pojedynczy tamir to wydatek kilkudziesięciu tysięcy dolarów (mówi się o 40-70 tys.). Relacja zysków do kosztów związanych z funkcjonowaniem Kopuły wydaje się zatem zaburzona, ale w Izraelu nie ma właściwie dyskusji na ten temat. Przyjmuje się, że straty społeczeństwa i gospodarki byłyby wyższe, gdyby nie aktywna ochrona przed rakietami. Zniszczona i uszkodzona infrastruktura, odszkodowania z tytułu śmierci i ran, niewypracowany dochód, koszty leczenia itp. – wydatki szłyby w miliony w przypadku każdej pojedynczej eksplozji. W takim ujęciu Iron Dome to po prostu dobra inwestycja.

Medialna pułapka

Równie dobrą inwestycją okazały się prace nad adaptacją sztucznej inteligencji do procesu planowania i przeprowadzania akcji ofensywnych. Armia stworzyła zaawansowaną platformę (w nielicznych publikacjach pojawia się nazwa Gospel), wprowadzając do niej dane z rozpoznania osobowego i technologicznego (elektromagnetycznego, wizualnego, satelitarnego). „Dzięki temu w 50. godzinie walki uzyskaliśmy więcej niż po 50 dniach wojny w 2014 r.", przyznał anonimowo wyższy rangą oficer Sił Obronnych Izraela (IDF). „Po raz pierwszy sztuczna inteligencja była elementem kluczowym i czynnikiem zwielokrotniającym zdolność bojową w walce z wrogiem", zapewniał z kolei funkcjonariusz wywiadu. Obie wypowiedzi ukazały się w izraelskich mediach przed kilkunastoma dniami. Pozornie działo się to, co zawsze – Izrael niszczył tunele transportowe, wytwórnie, magazyny i wyrzutnie rakiet, atakował siedziby wojskowych komórek Hamasu i mieszkania jego dowódców. Rzecz w tym, że danych do ataku dostarczały na bieżąco superkomputery. Prowadzona w czasie rzeczywistym analiza zmian terenu, wychwytująca anomalie (choćby ciężarówkę, która nie zwykła pojawiać się w określonym miejscu), pozwalała namierzać mobilne wyrzutnie. Analiza przepływu danych teleinformatycznych ułatwiała zaś lokalizowanie grup bojowników. Te dane, w połączeniu z bazą wiedzy, np. raportami na temat stanu technicznego okolicznych budynków, dawały sposobność bardziej efektywnego doboru amunicji.

Co więcej, sztuczna inteligencja ustalała priorytety, kategoryzując zagrożenia, i to do poziomu pododdziałów. Zasugerowała też… zastawienie pułapki na hamasowców. Do tego celu użyto innej ponowoczesnej broni – mediów społecznościowych, w których pojawiły się sugestie o mającej nastąpić lada moment lądowej ofensywie Izraela. W efekcie dowódcy Hamasu polecili podwładnym skryć się w tunelach, skąd mieli prowadzić działania nękające. Na ten ruch czekała izraelska armia. Obserwując aktywność przy zejściach, oszacowano, gdzie będą przebywać bojownicy. Było to możliwe dzięki sporządzanej od lat – za pomocą niewielkich dronów oraz satelitów – mapie tuneli, uwzględniającej takie parametry jak głębokość, grubość ścian czy zabudowę na powierzchni. Z takim pakietem wiedzy rozpoczęto 40-minutowy celowany ostrzał Strefy Gazy przy użyciu lotnictwa i artylerii. Według IDF zniszczone bądź uszkodzone zostały istotne fragmenty sieci, w sumie w trakcie całego majowego konfliktu ponad 100 km tuneli. Przy okazji zniszczono co najmniej kilkadziesiąt obiektów cywilnych. Niektóre celowo, uznając, że pełnią podwójną funkcję. Cywilów informowano z wyprzedzeniem o mających nastąpić wkrótce atakach – zwykle za pomocą SMS-ów, których wysyłkę koordynowała platforma Gospel. Mimo to strat wśród kobiet i dzieci nie udało się uniknąć, co przywodzi nas do wniosku, że postwojna wciąż pozostaje wojną. Wielką ludzką tragedią.

Na podstawie danych płynących z Żelaznej Kopuły uruchamiane są syreny alarmowe i alarm w telefonach komórkowych.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl a2151ccb97

Londyn dwóch prędkości

Burmistrz Sadiq Khan chce, by co drugie nowe mieszkanie było tanie

Zuzanna Muszyńska

Jak pływać w przezroczystym akrylowym pudle zawieszonym nad przepaścią, to tylko w Londynie – w Embassy Gardens na południowym brzegu Tamizy oddano w tym roku do użytku pierwszy basen-most. Konstrukcja rozpina się na wysokości 35 m nad ziemią, łącząc dwa dziesięciopiętrowe budynki mieszkalne. Pływasz w akwarium z widokiem na ambasadę amerykańską, parlament i London Eye. Nie popływasz, jeżeli mieszkasz w biedniejszej sekcji bloku – wtedy pozostaje ci obserwować od spodu kąpiących się sąsiadów, np. przez okno w kuchni.

Raje dla inwestorów

Apartament z dwiema sypialniami kosztuje tu ok. 1 mln funtów, natomiast penthouse ponad 5 mln. Są prywatne kino, siłownia, ogrody na dachach, a przy podniebnym basenie sauna i bar. W penthouse'ach zdarzają się prywatne kaplice i bieżnie. Przed wyjściem awaryjnym parkują sportowe auta na katarskich rejestracjach, z plikami mandatów wetkniętymi za wycieraczki. To coraz częstszy widok w stolicy, gdzie luksusowe apartamenty stoją puste przez znaczną część roku. Auta odpłyną statkiem do Kataru, kiedy ich właściciele znudzą się Londynem. Mandaty nie zostaną zapłacone.

Embassy Gardens należą do olbrzymiego osiedla Nine Elms otaczającego kultową elektrownię Battersea. VNEB – Vauxhall, Nine Elms, Battersea jest obecnie największym projektem rewitalizacyjnym w Europie. W 2012 r. Boris Johnson, ówczesny burmistrz Londynu, lansował go jako „najwspanialszą historię metamorfozy w najlepszym mieście na świecie". Za kadencji Johnsona ożywiono plany zagospodarowania ostatniego łakomego kąska w tej części miasta. Na miejscu zrujnowanych magazynów powstają bloki. W ciągu ostatnich pięciu lat oddano do użytku 5 tys. mieszkań, docelowo będzie ich aż 15 tys.

Kiedy przy cieplejszej pogodzie pojawili się w Sky Pool amatorzy podniebnych kąpieli, zdjęcia basenu obiegły świat. Publiczność podzieliła się na dwa obozy – podziwiających rozmach, ewentualnie kombinujących, jak się tam dostać, oraz tych, którzy nie popływaliby „nigdy w życiu", bo „to się na pewno zawali". W przypadku wielu londyńczyków widok basenu otworzył świeże rany – luksusowe apartamentowce są symbolem przekrętów i kumoterstwa z pogranicza biznesu i polityki.

Co do bezpieczeństwa inwestycyjnego w Nine Elms, zdania są podzielone. Jest to lokalizacja rozpoznawalna na całym świecie, blisko Westminsteru, nad Tamizą. W przedpremierowej sprzedaży obserwatorzy rynku nieruchomości zauważyli jednak niepokojące zjawisko – setki mieszkań w Battersea i Nine Elms wystawiano na sprzedaż w serwisach internetowych Zoopla i Rightmove, by zaraz je usunąć i wystawić ponownie. Nie tylko tworzyło to fałszywe przesłanki, że wiele się dzieje wokół nowych obiektów, ale i powodowało manipulacje cenami – 15 powtórzeń oferty sprzedaży jednego mieszkania za 3,6 mln funtów w ciągu pół roku znacznie podbiło średnią wycenę domu w dzielnicy. Naprawdę zaś nieruchomości schodziły w pakietach ze zniżkami do 40%. Część inwestorów wycofywała się z umów. Chińczyków już nie zadowala klitka w 200-metrowym wieżowcu – Londyn ma wyglądać jak Londyn, a nie jak jedna z chińskich megapolii. Szukając lokum dla dzieci na czas studiów, preferują przeciwległy brzeg Tamizy, gdzie mieści się większość uczelni. Po zakończeniu nauki mieszkanie można bez problemu wynająć kolejnemu studentowi z Azji.

Żadna z ambasad, które rozważały przeprowadzkę na południe od Tamizy – chińska, duńska, holenderska – nie zdecydowała się pójść w ślady Amerykanów. Moloch otoczony 30-metrową strefą bezpieczeństwa stoi samotnie wśród bloków. W okolicy wyróżnia się makabryła 170-metrowej Damac Tower. Cena metra kwadratowego w 2015 r. wynosiła tam ok. 21,5 tys. funtów. Utrzymane w biało-złotej tonacji wnętrza projektowane przez firmę Versace czy basen na 23. piętrze nie przyciągnęły tłumu chętnych – ceny spadły o 20%. Dziś oferty sprzedaży zaczynają się od 929 tys. funtów. Wokół piętrzą się iglice, najwyższa – One Nine Elms – mierzy ponad 200 m i nic nie wskazuje na to, żeby deweloperzy mieli się zatrzymać na tej

eprasa.pl a2151ccb97

W Embassy Gardens na południowym brzegu Tamizy oddano w tym roku do użytku pierwszy basen-most.

W nowoczesnej dzielnicy Kidbrooke Village stworzono dużo przestrzeni zielonych.

wysokości we wspinaczce do nieba – po zysk.

Latająca świnia

Ken Livingstone, burmistrz z lewicy, już w Planie Londyńskim z 2004 r. umieścił okolice Battersea na liście 28 obszarów przeznaczonych do rewitalizacji. Dzięki udziałom zagranicznych inwestorów miały na tych terenach powstawać tzw. mieszane społeczności (*mixed communities*) osób o zróżnicowanych dochodach. Livingstone chciał, by połowa mieszkań na przekształconych obszarach była przystępna cenowo (AH – *affordable housing*).

W 2012 r., kiedy rodziły się plany VNEB, z Davidem Cameronem na Downing Street i Borisem Johnsonem w londyńskim ratuszu, w centrum polityki mieszkaniowej znalazła się rentowność projektów deweloperskich – 20% profitu popchnęło definicję taniego domu w kierunku 80% ceny rynkowej, na którą nie stać większości londyńczyków. W gminie Wandsworth, gdzie leżą Vauxhall, Battersea i New Elms, neoliberalne praktyki od dekad miały decydujący wpływ na rynek mieszkaniowy. Masowe prywatyzacje, wyburzanie całych osiedli komunalnych i idące za tym czystki społeczne (*social cleansing*) mają długą tradycję. Pułap AH na całym obszarze VNEB osiągnie średnio 18% oddanych do użytku lokali. W zarządzanym przez laburzystów Lambeth będzie lepiej (21%), ale np. wokół elektrowni Battersea malezyjska firma deweloperska uzyskała zgodę władz lokalnych na redukcję ustalonego wcześniej pułapu 15% o połowę.

Battersea, zanim stała się ponad 20 lat temu bankiem pomysłów deweloperskich, była elektrownią. Kiedy rozpoczęła pracę w 1933 r. (w bloku A), dostarczała miastu 20% potrzebnej energii. Plany jej powstania nie spodobały się lokalnej społeczności. Mieszkańcy bali się o swoje zdrowie i o... malowidła zgromadzone po drugiej stronie rzeki w galerii Tate Britain. Protesty uwzględniono – zastosowano dodatkowe rozwiązania w celu redukcji emisji trujących gazów. Zatrudniono też słynnego architekta, sir Gilesa Gilberta Scotta, projektanta czerwonych budek telefonicznych i elektrowni w dzielnicy Bankside (dziś Tate Modern).

Największa ceglana budowla w Europie, z czterema kominami, zdobi okładkę płyty „Animals" Pink Floydów z 1977 r. Unosi się nad nią wielka różowa świnia – nowe wcielenie bohaterki „Folwarku zwierzęcego" Orwella, kapitalistyczne, nie stalinowskie. Kotły wygaszano stopniowo na przełomie lat 70. i 80. W elektrowni odbywały się koncerty, kręcono filmy, teledyski. Świnia powróciła podczas trasy koncertowej zespołu w 2017 r., z nawiązaniami do osoby Donalda Trumpa.

Battersea zmienia się w miniaturowe miasto – powstają apartamenty, domy jednorodzinne, kino, sklepy. Do obiektów biurowych wprowadzi się niebawem firma Apple. Jej pracownicy będą mogli wjechać szklaną windą na platformę widokową wewnątrz jednego z kominów. Co zobaczą? Dość chaotycznie rozrzucone drapacze chmur. „Gigantyczne szklane obrzydliwości", jak nazwał je pewien internauta, zrujnowały to miejsce. Jadąc do pracy w kierunku stacji Victoria, dawniej mogłam ją podziwiać z okna pociągu, zanim zniknęła za mrówkowcami. „Gdyby te bloki były o połowę krótsze, dałbym im pięć gwiazdek – pisze internauta – ale ci głodni pieniędzy idioci nie mogli bardziej zlekceważyć samej elektrowni. Symbol, który kocham, został zrujnowany przez głodne pieniędzy świnie, jakby Roger Waters trafnie przewidział przyszłość tej lokalizacji".

Drzwi dla biedoty

Elektrownia Battersea i Sky Pool – dla jednych symbole wielkości miasta, dla drugich jego upadku. Kiedy Nadeem Iqbal zobaczył z okien swojego apartamentu błękitny prostokąt napełniony 90 tonami wody, wiedział, że na patrzeniu się skończy. Jego rozczarowanie opisał na początku roku „The Guardian". Iqbal wszedł w posiadanie lokalu wycenionego na 800 tys. funtów na zasadzie tzw. dzielonej własności. Otrzymał kredyt hipoteczny na jedną czwartą nieruchomości, za pozostałą płaci właścicielowi (stowarzyszeniu mieszkaniowemu) czynsz. To jedna z opcji w ramach programu AH stworzona dla kredytobiorców, którym mimo dobrych zarobków nie starcza na wkład we własnościowe mieszkanie. Iqbal nie może wejść do budynku przez pluszowo-marmurowe lobby. Drzwi dla biedoty (*poor doors*) znajdują się od strony torów. Po drodze mija plac budowy i sterty gruzu. *Poor doors* mieszczą się pomiędzy kratami wentylacyjnymi i śmietnikiem.

Podział na lepszych i gorszych wpisano w projekt budynku. Tańszymi mieszkaniami zarządzają odrębne

FOT. ZUMA PRESS/FORUM, ZUZANNA MUSZYŃSKA

eprasa.pl a2151ccb97

firmy, które koncentrują się na obniżaniu rocznych opłat serwisowych. Według nich zasady były jasne od początku. Luksusy kosztują. Średnia londyńska roczna opłata serwisowa to ok. 2 tys. funtów. W Embassy Gardens najbogatsi rezydenci płacą 6,5 tys. rocznie.

W 2014 r. „The Guardian" po raz pierwszy opisał zjawisko drzwi dla biedoty. W Nowym Jorku też akurat toczyła się debata na ich temat, w wyniku której burmistrz Bill de Blasio wprowadził zakaz projektowania *poor doors*. W Londynie Boris Johnson potępił je, ale nie zabronił. Idea Kena Livingstone'a, aby mieszać zamożnych i mniej zamożnych mieszkańców, nie wypaliła. Deweloperzy, szczególnie w luksusowych apartamentowcach, budują tańsze mieszkania na osobnych piętrach, z oddzielną windą, parkingiem, a nawet śmietnikiem. Zdarza się, że wzmianki o osobnych wejściach trafiają do broszur reklamowych. Deweloperzy chcą w ten sposób uspokoić nerwy inwestorów. – To skandal – mówi Paweł Olszański, kierownik budowy w Jim Construction Ltd. – Nasza firma umieszcza co prawda tańsze mieszkania na osobnych piętrach, ale wejście do budynku, winda są wspólne. Spotkałem się z planami podziału na dwie klatki schodowe, lecz po rozmowie z architektem i inżynierem ds. ochrony przeciwpożarowej doszliśmy do wniosku, że to koszt co najmniej 200 tys. funtów. A mój pracodawca nie chce złej prasy. W kolejnym projekcie przystępne cenowo mieszkania umieścimy w osobnym budynku, ale nie ma mowy o gorszej lokalizacji. W innym będziemy chcieli zredukować pułap AH, budując w zamian szkołę.

Inwestycje w infrastrukturę społeczną, od skwerów po stacje metra, to częste „zamienniki", które wolno gminie pobierać od prywatnych deweloperów. Deweloperski raj ma na oku miasto, pilnują go też mieszkańcy. W 2018 r. katarska rodzina królewska zażądała wydania nakazu sądowego wobec Iana Bone'a, który ogłosił w mediach społecznościowych, że zorganizuje serię protestów w Shardzie. W 72-piętrowcu przy London Bridge dziesięć luksusowych mieszkań stało pustych. Bone, emeryt, założyciel ruchu Wojna Klas, nieraz wystawał pod *poor doors*, manifestując oburzenie wobec przywilejów elit. Pod Shardem miały do niego dołączyć rodziny zmarłych w katastrofie Grenfell Tower. Bone sam kiedyś tam mieszkał. W sądzie bronił się, argumentując, że 70 ocaleńców z Grenfell pół roku po pożarze mieszka w hotelach, gdyż miasto nie jest w stanie zapewnić im stałego lokum.

Wioski do nieba

W Wielkim Londynie jest 3,5 mln nieruchomości, co dziesiąta to mieszkanie komunalne. Rocznie potrzeba co najmniej kilkudziesięciu tysięcy nowych mieszkań. Ideę Kena Livingstone'a, by co drugie nowe mieszkanie było tanie, chce przywrócić burmistrz Sadiq Khan. Za jego kadencji wprowadzono zasadę, że wszędzie tam, gdzie nie zostanie osiągnięty pułap 35% AH, interweniuje ratusz. Trzech na czterech prywatnych deweloperów wybiera szybszą ścieżkę planowania z wymogiem 35% AH.

Do zażegnania kryzysu mieszkaniowego w Londynie daleko. Dom, który w 1990 r. kosztował 100 tys. funtów, obecnie osiąga cenę 1,5 mln funtów. Liczba ludności rośnie półtora raza szybciej niż liczba mieszkań. Po brexicie i pandemii ów trend nieco zwalnia, za to bańka cenowa ciągle rośnie. Uważa się ją do dnia dzisiejszego za spuściznę thatcheryzmu – Right to Buy. Według badań sprzed kilku lat RTB, czyli prawo pierwokupu mieszkania z możliwością uzyskania bonifikaty wprowadzone w 1979 r. przez rząd Margaret Thatcher, spowodowało marnotrawstwo publicznych pieniędzy i falę spekulacji. Co najmniej jedna trzecia domów komunalnych trafiła w ręce prywatnych właścicieli innych niż pierwotni mieszkańcy. Syn nieżyjącego już Iana Gowa (ministra budownictwa w rządzie Thatcher) posiadał np. 40 domów.

W Londynie trudno cokolwiek zrobić, omijając poławiaczy zysków. W Kidbrooke Village, nowoczesnej dzielnicy, nie ma *poor doors* (chociaż bloki reklamowane są jako „luksusowe"). Firma Berkeley Homes stworzyła na osiedlu wspaniałe przestrzenie zielone. W zeszłym roku Cator Park otrzymał nagrodę im. Sir Davida Attenborough za promowanie bioróżnorodności. Ścieżki spacerowe wzdłuż strumyków, mostki, dzikie łąki – to piękne opakowanie mieszkań, których ceny oscylują pomiędzy kilkuset tysiącami a milionem funtów. Mieszkańcy doceniają uroki zieleni, ale skarżą się na hałasy z placu budowy (na obecnym jej etapie prace trwają siedem dni w tygodniu od wczesnego rana) i niską jakość wykonania. – Od pozwolenia do wykonania projektu mijają lata – mówi Kamil Cichosz, specjalista ds. kosztów w jednej z największych firm deweloperskich w Londynie. – Budżet zatwierdzany jest na początku i nie zawsze można w nim przewidzieć rzeczywistą inflację po upływie tak długiego czasu. Konsekwencją jest spadek zysków, co negatywnie wpływa na wartość akcji, a na to nie możemy pozwolić. Brexit i pandemia pogorszyły sytuację, brakuje ludzi do pracy, ceny materiałów poszybowały w górę. Jeżeli rynek nie pozwala nam sprzedawać drożej, próbujemy uzyskać pozwolenia na budowanie większych obiektów. Jeśli to zawodzi, stosujemy tzw. inżynierię wartości (*value engineering*), czyli obniżając koszty, staramy się zachować jakość wykonania na kolejnych etapach budowy. W praktyce jednak mimo najlepszych intencji obniża się standard wykończenia.

Gorzej i wyżej – deweloper z Kidbrooke Village zaaplikował niedawno do rady gminy Greenwich o pozwolenie na budowę jeszcze wyższych bloków oraz o przesunięcie budynku z mieszkaniami AH na kraniec osiedla. Radni nie wydali zgody, nazywając plany Berkeley Homes „gentryfikacją tylnymi drzwiami". Po obniżeniu 17-piętrowca i 14-piętrowca o jedno-dwa piętra projekt przeszedł. Będzie więcej wioski, mniej wspólnoty. Bliżej nieba, tylko czyjego?

Zuzanna Muszyńska

W Wielkim Londynie jest 3,5 mln nieruchomości, co dziesiąta to mieszkanie komunalne.

Podział na lepszych i gorszych wpisano w projekt budynku.

eprasa.pl a2151ccb97

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Świat – czas na urlop

Człowiek przez wieki umacniał poczucie wyższości nad opuszczonym na zawsze (jak mu się zdawało) światem zwierząt i innych istot swoją „rozumnością", zdolnością do formułowania myśli, wykonywania skomplikowanych i niedostępnych innym „braciom i siostrom ze świata przyrody" obliczeń, projektów, działań. Dowodziło tego budowanie miast i urządzeń, ale też, co ważniejsze, systemowe obejmowanie umysłowym panowaniem coraz większych obszarów rzeczywistości; świadczył o tym rozwój przemysłowy, medyczny czy, koniec końców, społeczny. Równocześnie tam, gdzie wciąż była obecna niepewność, niejednoznaczność, nieoczywistość, tworzył wielkie systemy alibi: religie, ideologie, cuda-wianki. U źródeł tej władzy wiedzy rozpościerała się oczywiście przeogromna moc naszego języka (rzecz jasna w jego wielości), który otwierał bramy do komunikacji, wymiany doświadczeń, sporów, idei i walk. Zostawmy na boku, na potrzeby uproszczonej, felietonowej tezy, powszechne doświadczenie wojen i przemocy jako zasadniczego arbitra ludzkich działań w wielkiej, społecznej, globalnej skali.

To językowe umiejętności, nierzadko kunszt, dały człowiekowi niewyobrażalną i niepodważalną władzę. To owa epoka Gutenberga w skrócie. Choć znowu trzeba pamiętać o europocentrycznym skrzywieniu. Wszak Chiny już dawniej i wcześniej...

Zostańmy tu, gdzie jesteśmy, nowoczesność i nowożytność ostatnich stuleci to dominacja Europy, w tym znaczeniu europejskie są zarówno USA, jak i w jakimś sensie Japonia, czyli świat. Globalny potwór ma jedną matkę-ojca – europejskie fiksacje, mity, uzurpacje. I niewątpliwe sukcesy, które najczęściej wiązały się z ważną kiedyś instytucją i umiejętnością autokrytyki, podważania własnych wyborów i rozstrzygnięć, przełamywania konwenansu i przyzwyczajenia.

Jakimś odbiciem tego kultu języka jako formy i treści była oczywiście metoda uprawiania polityki. Polityka, znowu abstrahując od clausewitzowskiej korekty wojennej, była apologią używania słów, które jednak naprawdę coś znaczą, nawet jeśli używane są subtelnie, wieloznacznie, kiedy korzystają z różnych kanałów przekazu i form komunikacji. Językowa komunikacja była zhierarchizowana jak całe społeczności, na dobre i na złe. Analfabetyzm stał się przeszłością (tak, tak, w Europie...). Media, kultura, literatura, prasa rządziły.

Ale po cichu, niepostrzeżenie nadeszło cyfrowe tsunami, które, pozornie oparte na dogmatach gutenbergowskich, w rzeczywistości dokonało zmiany paradygmatu: ze słowa na obraz (obrazek, zwany dzisiaj filmikiem), z jakości w ilość, z hierarchii w pozornie kontrolowaną różnorodność, której prawdziwym imieniem jest chaos i nieogarnialność, nieobejmowalność. W konsekwencji zanika poczucie wspólnego doświadczenia, bo nie ma wspólnego języka, nie ma miary i porównywalności. Jest ekspresja, są emocje, są wrażenia; komunikacyjny, wspólnotowy grunt usuwa się nam spod nóg (czyli mózgów).

A przestrzenie wciąż decydujące o naszym życiu w skali globu funkcjonują, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Politycy niby coś mówią, ale te słowa nic nie znaczą. Dziennikarze pytają, ale ani nie mają szansy uzyskać odpowiedzi, ani nie sprawiają wrażenia, że o to im chodzi. My tego słuchamy i to oglądamy, bo siłą inercji żywimy przekonanie, że tak to powinno wyglądać. A ten świat się skończył, te metody komunikacji zużyły się i zdewaluowały, bierzemy udział w spektaklu nieustającej iluzji. Co tam, panie Putin? Jest pan mordercą? Panie Biden, Ameryka gołąbek pokoju? Walczy ze złem? Panie Duda, jak *how are you* z prezydentem USA? Panie Jarek, chciało się wojsko wyprowadzić na strajkujące kobiety, o czym pisze minister Dworczyk z prywatnej skrzynki mejlowej, bo się boi, że pana pupil i podwładny Mariusz Kamiński mu się włamie? Panie Jarek, Rosja nas napadnie, bo nie umiecie korzystać z internetu, czy dlatego, że takie tu skarby i pożytki spoczywają, czekając tylko na zbójców? Panie Jarek, pan, który nie ma odwagi od lat samodzielnie wyjść na ulicę, będzie nas straszył wojną? Panie Jarek, a za co pan bierze pieniądze?

> Tylko ludzie mogliby świat naprawić. Ale ani tego nie rozumieją, ani nie chcą, ani nie potrafią.

Nic to wszystko nie znaczy, żyjemy na jałowym biegu, bez wizji, pomysłu i reguł. Nasz system polityczny to abstrakt, podporządkowany prawdziwym wielkim graczom. Jeden ruch Ronalda usuwającego butelkę Coca-Coli ze stołu miał przynieść miliard dolarów straty koncernowi. Tak, to prawda. Tak jak to, że Putin i Biden z nami rozmawiali, a Jarosław Kaczyński odpowiada za nasze bezpieczeństwo. Dobrze, że jest tym wicepremierem, będzie go za co postawić przed sądem. I tyle z tego pożytku.

Świat nie nosi w sobie sam z siebie mocy samonaprawy. Tylko ludzie mogliby to zrobić. Ale ani tego nie rozumieją, ani nie chcą, ani nie potrafią. Wegetujmy – póki jest wzrost PKB. Ludzkości należy się urlop od ludzkiej aktywności. Miłych wakacji, na które się nie udamy.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a2151ccb97

Węgry dla nadburmistrza Budapesztu?

Gergely Karácsony przez światowe media jest lansowany na lidera opozycji, mimo że nie dorównuje Orbánowi

Dominik Héjj

Gergely Karácsony, od 2019 r. nadburmistrz Budapesztu, w przyszłym roku po raz trzeci wystartuje w wyborach parlamentarnych, do Zgromadzenia Krajowego. Po raz pierwszy ubiegał się o ten mandat w 2014 r., po raz drugi w roku 2018 r., kiedy opozycji nie udało się wystartować pod wspólnym szyldem. Wystawiony został przez środowisko lewicowe – Węgierską Partię Socjalistyczną (MSZP) i ugrupowanie Dialog (Párbeszéd). W wieczór wyborczy byłem na Węgrzech i obserwowałem, jak przegrany i przybity wygłaszał przemówienie podsumowujące kampanię.

Doktorat sprawą polityczną

W piątkowy wieczór 11 października 2019 r. spora część Węgrów, dla której podstawowym źródłem informacji były dwie prorządowe gazety, „Magyar Nemzet" i „Magyar Hírlap", czytała z ulgą ostatni sondaż przedwyborczy z najważniejszej bitwy – o Budapeszt. Wedle przewidywań Nézőpont Intézet, sondażowni sympatyzującej z Fideszem, zwycięstwo miał odnieść István Tarlós, nominat rządzącej koalicji. Ale niedzielny wieczór przyniósł prawdziwą rewolucję. Fidesz-KDNP przegrała w Budapeszcie niemal wszystko, co było do przegrania: i w poszczególnych dzielnicach, i w odpowiedniku rady miasta, a także fotel nadburmistrza. Dla wielu Gergely Karácsony stał się nadzieją (już zjednoczonej) opozycji na pokonanie Fideszu, po raz pierwszy od 12 lat.

Jednak zarówno rządząca koalicja, jak i opozycja mają z tą postacią spory problem. Fidesz-KDNP atakuje Karácsonya za brak kompetencji, nieznajomość języków, brak prawa jazdy. Prawdą jest też, że Karácsony ani intelektualnie, ani obyciem politycznym nie dorównuje Orbánowi. Daleko mu też do charyzmy obecnego premiera. Karácsony jest jednym z dwójki przewodniczących partii Párbeszéd, która dogorywa w sondażach. Mimo to stał się światową maskotką węgierskiej opozycji, zagraniczne media piszą o nim w samych superlatywach, a ostatnio „The Economist" określił go mianem tego, który ma szansę wypchnąć Orbána. I jeszcze jedna ważna rzecz – ten polityk wciąż nie jest wspólnym kandydatem opozycji. O tym, kto będzie twarzą wielkiego zjednoczenia, zdecydują dopiero prawybory.

Sięgam na półkę po książkę „Wybory parlamentarne 2006, analizy i dane" pod redakcją Karácsonya. Na ostatnich stronach napotykam biogram sprzed 15 lat. Rocznik 1975, słuchacz studiów doktoranckich szkoły doktorskiej Wydziału Socjologii Uniwersytetu Macieja Korwina w Budapeszcie. Nauczyciel akademicki w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Korwina, w którym wykładał systemy wyborcze. Dyrektor ds. badań w Instytucie Badań Rynku i Opinii Medián.

Dziś już wiadomo, że Karácsony doktoratu nie zrobił. Opinii o tym, dlaczego tak się stało, jest tyle, ilu dziennikarzy. W majowym wydaniu liberalnego, niezależnego tygodnika „Magyar Narancs" kolega Karácsonya z uczelni mówi, że przyczyna jest prozaiczna – otóż młody doktor *in spe* nie dotrzymał niezbędnych terminów administracyjnych. Na łamach prorządowego „Mandinera" były wykładowca Uniwersytetu Korwina wskazuje zaś, że zgodnie z ówczesnym prawem na obronę doktoratu przysługiwało osiem lat, które w wypadku Karácsonya minęły w 2012 r. Ponieważ obowiązku nie zrealizował, rozwiązano z nim umowę. I tak jego doktorat stał się kwestią polityczną.

Burmistrz zielonej dzielnicy

W oficjalnym biogramie na swojej stronie internetowej Karácsony pisze, że w 2009 r. skontaktowali się z nim członkowie partii LMP – Polityka Może Być Inna, ugrupowania zielonych, które miało być trzecią

eprasa.pl a2151ccb97

drogą w rozwoju węgierskiego parlamentaryzmu. Z racji znajomości systemów wyborczych został szefem kampanii LMP i zdobył mandat w wyborach w 2010 r. To wówczas spektakularne zwycięstwo odniosła koalicja Fidesz-KDNP, a Karácsony został wiceprzewodniczącym parlamentarnej frakcji LMP.

W styczniu 2013 r. wraz z kilkoma osobami opuścił jednak LMP i założył Dialog (wówczas jeszcze Dialog na rzecz Węgier). Skąd partyjne przetasowania? Konflikt między LMP a PM (Párbeszéd Magyarországért – Dialog na rzecz Węgier) dotyczył zasadniczej kwestii, tj. współpracy w ramach opozycyjnego porozumienia z lewicą. Przedstawiciele LMP nie chcieli kooperacji z ugrupowaniem Razem, któremu szefował były premier Gordon Bajnai, Karácsony z kolegami jej chciał, stąd decyzja o utworzeniu drugiego ugrupowania zielonych w węgierskim parlamencie.

Sięgnijmy znów do biogramu na stronie internetowej: „Po wielu ekscytujących i inspirujących latach zdecydowaliśmy się ze współpracownikami opuścić LMP, ponieważ głównym celem było zastąpienie reżimu Orbána". W 2014 r. w wyborach samorządowych Karácsony został wybrany na burmistrza XIV dzielnicy – Zugló – najbardziej zielonej dzielnicy Budapesztu. Według polityka Zugló miało być miniaturą tego, co da się wdrożyć w kraju rządzonym przez opozycję, a nie Fidesz-KDNP.

To wówczas Karácsony dał się poznać większej części społeczeństwa, bo jego praca była nieustannie recenzowana przez polityków koalicji rządowej. Chociaż pozostawał „jedynie" burmistrzem jednej z dzielnic, poświęcano mu w mediach niewspółmiernie więcej czasu aniżeli innym politykom. Po raz pierwszy wystartował jako kandydat na premiera w wyborach wiosną 2018 r. i zajął trzecie miejsce po Viktorze Orbánie i liderze Jobbiku Gáborze Vonie.

W 2016 r. na Karácsonya spadła nowa fala krytyki w sprzyjających Fideszowi mediach. Sprawa dotyczyła roku 2015, kiedy to przez Węgry przetoczyła się fala kilkuset tysięcy migrantów, a w listopadzie doszło do zamachów terrorystycznych w Paryżu. Jak się okazało, jeden z terrorystów, Salah Abdeslam, miał werbować kompanów przed dworcem Keleti w Budapeszcie. Akcja terrorystyczna z kolei miała być przygotowywana w jednym z hoteli w XIV dzielnicy, a fakt ten miał przemawiać przeciw politykowi opozycji.

Anty-Fidesz nie wystarczy

Przyjmijmy, że Karácsony rzeczywiście zostanie kandydatem opozycji. Będzie ona się domagała przeprowadzenia debaty telewizyjnej z Orbánem, na co obecny premier zapewne się nie zgodzi. Doskonale pamięta, jak właśnie debaty telewizyjne pogrzebały jego szanse na zwycięstwo w 2002 r. i 2006 r. Kandydat opozycji musi umieć wyjść z przekazem poza Budapeszt, poza macierzysty elektorat. Musi mieć charyzmę i umieć zjednać sobie ludzi, tymczasem to Karácsony ma najliczniejszy elektorat negatywny, który uniemożliwia nawiązanie dialogu z potencjalnymi wyborcami. I zdecydowanie nie ma tego czegoś, co ma Orbán – np. nieznoszącego sprzeciwu tonu głosu, mowy ciała demonstrującej pewność siebie, co gorsza, nie widać w tej kwestii poprawy.

Paradoksalnie równorzędnym partnerem pod tym względem jest szef Koalicji Demokratycznej, były premier Ferenc Gyurcsány. To za jego sprawą w 2006 r. doszło do największych po 1989 r. protestów na Węgrzech, gdy na jaw wyszło nagranie z tajnej narady kierownictwa socjalistów nad Balatonem, na którym polityk stwierdza, że okłamywał Węgrów w trakcie kampanii wyborczej. Jednak o zostanie kandydatem zjednoczonej opozycji na premiera ubiegać się będzie nie on, ale jego żona, Klára Dobrev, obecnie wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego.

Wystawienie przez opozycję kandydata, za którym nie stoją silne struktury polityczne, może się okazać kłopotliwe przy „dzieleniu łupów" po politycznym zwycięstwie. Kto bowiem miałby wejść do rządu Karácsonya, gdy jego partia nie przekroczy progu wyborczego? Czy rząd utworzony z nominatów najsilniejszych partii opozycyjnych miałby szansę przetrwać kadencję? Jakim mandatem dysponowałby Karácsony, gdyby zdecydował się nie na fizyczny start w wyborach, a jedynie na pozostanie twarzą rządu?

To pytania na razie czysto hipotetyczne, lecz stawka wyborów w 2022 r. będzie znacząco wyższa niż w poprzednich. W sondażach opinii publicznej ugrupowania opozycyjne zrównały się w poparciu z Fideszem, a nawet go wyprzedziły. Sam Orbán zdecydowanie przyśpieszył wprowadzanie zmian prawnych, które sprawią, że w przypadku wygrania wyborów przez opozycję sprawowanie władzy będzie praktycznie niemożliwe. Dlaczego? Otóż większość aktów zakończona jest zapisem, że nowelizacja ustawy możliwa jest po uzyskaniu dwóch trzecich głosów, co w przyszłej kadencji będzie nie do osiągnięcia.

Karácsony zachęca do przystępowania do jego inicjatywy – Ruchu 99 (nie podkreśla tego, że wywodzi się z innej partii). Nazwa odnosi się do tego, że 99% obywateli powinno być przeciwko 1% najbogatszych, w domyśle – ludzi Fideszu. W deklaracji programowej możemy przeczytać, że nadrzędnym celem jest ponowne zjednoczenie Węgier.

Główny problem zarówno Karácsonya, jak i innych potencjalnych kandydatów na premiera dotyczy braku platformy programowej. Nie wiemy wciąż, co – poza „odsunąć Fidesz od władzy" – ma przekonać ewentualnych niezdecydowanych wyborców. Na razie wydaje się, że wygra klasyczne „się zobaczy". ■

Fidesz-KDNP atakuje Karácsonya za brak kompetencji, nieznajomość języków, brak prawa jazdy.

W sondażach opinii publicznej ugrupowania opozycyjne zrównały się w poparciu z Fideszem, a nawet go wyprzedziły.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl a2151ccb97

ARGENTYNA w głębokim kryzysie

Pandemia zbiera śmiertelne żniwo i prowadzi do upadku osłabioną gospodarkę

Katarzyna Mierzejewska

Szpitale są przepełnione, wyczerpani pracownicy opieki zdrowotnej błagają o dostosowywanie się do restrykcji, statystyki zgonów przyprawiają o dreszcze, a na ulicach wielkich miast przybywa bezdomnych. Prezydent Alberto Fernández otwarcie mówi, że Argentyna jest obecnie w najgorszym momencie od początku pandemii. Oprócz kryzysu zdrowotnego kraj doświadcza głębokiej recesji, która nieznośnie przypomina okres wielkiej depresji z lat 1998-2002. Podczas gdy państwo przegrywa walkę na wielu frontach, a społeczna frustracja rośnie, Alberto Fernández odwiedza Europę, by podjąć trudne negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym.

Kiedy cały świat spoglądał z przerażeniem na Indie, a zdjęcia ulic miast zamienianych w masowe cmentarzyska rozdzierały serca, na drugim końcu globu, w Argentynie, padały kolejne rekordy. Od początku pandemii trzecie największe państwo Ameryki Południowej odnotowało przeszło 3,6 mln zakażeń koronawirusem. Ponad 75 tys. osób zmarło.

Nie ma tlenu, respiratorów ani łóżek

„System się wali", pisał w kwietniu w liście otwartym opublikowanym w mediach społecznościowych dr Emmanuel Álvarez, dyrektor szpitala Mariano y Luciano de la Vega w Moreno. Poruszająca opowieść pod znamiennym tytułem „Desperacki krzyk z Conurbano", o wielkim kryzysie w służbie zdrowia, odbiła się głośnym echem. *Conurbano* to określenie na gęsto zaludnione i przeważnie robotnicze gminy okalające stolicę. To „desperackie wołanie" o pomoc pochodzi od personelu medycznego, od pacjentów czy od tych, którzy pożegnali członków rodziny. „System się sypie, bo umierają lekarze, umierają coraz młodsi, nawet 30-letni pacjenci, coraz młodsi pacjenci muszą być intubowani, mamy przerażająco wysoką liczbę hospitalizowanych dzieci – wymienia dr Álvarez. – Karetki czekają przed szpitalami na łóżko, które się nie zwalnia, na sprzęt, który jest zajęty. Ludzie umierają w domach, na ulicach, umierają, bo nie ma dla nich respiratora". Jak podkreśla Emmanuel Álvarez, to krzyk wszystkich, którzy nie są słyszani w świecie, gdzie króluje śmierć i nikt nie przejmuje się losem biednych. To apel nie tylko do mediów czy polityków, ale też do wszystkich „obojętnych", którzy nie noszą maski, nie stosują się do zaleceń, „myślą, że mają supermoce". Álvarez poświęca dużo miejsca rosnącym nierównościom między mieszkańcami bogatych i biednych prowincji: „Co z miejscami, gdzie nie ma szpitala, gdzie jedyny dostępny tlen to ten z powietrza, gdzie brakuje wody pitnej, gdzie nie ma lekarza w promieniu kilkudziesięciu kilometrów?".

> Argentyna jest obecnie w najgorszym momencie od początku pandemii.

W swoim wpisie Emmanuel Álvarez dosadnie podsumował stale pogarszającą się sytuację w Argentynie. Brakuje lekarzy, łóżek, szpitale (zarówno prywatne, jak i państwowe) są na krawędzi wytrzymałości, lekarze i pielęgniarki protestują, domagając się poprawienia warunków pracy, placówki lecznicze cierpią na skrajne niedobory sprzętu. Władze w prowincji Buenos Aires rozpoczęły nawet produkcję własnego tlenu. Także akcja szczepień idzie wolniej, niż się spodziewano, co po raz kolejny stawia rząd Fernándeza w ogniu krytyki. Dopiero 18% społeczeństwa otrzymało pierwszą dawkę. Podobnie jak inne kraje w regionie Argentyna miała też problem z zabezpieczeniem dostaw szczepionek. Dostawa 800 tys. dawek AstryZeneki dotarła do Buenos pod koniec maja, z trzymiesięcznym opóźnieniem.

Kolejka po posiłek w biedniejszych dzielnicach prowincji Buenos Aires.

Kilka tygodni po opublikowaniu wpisu przez dr. Emmanuela Álvareza Argentyna odnotowała najgorsze dni pod względem statystyk od początku pandemii. W połowie maja trzy dni z rzędu liczba zachorowań wyniosła ponad 35 tys. To skłoniło władze do wprowadzenia ostrzejszego lockdownu 21 maja. Początkowo miał trwać do 31 maja, ale przedłużono go o kolejne dziewięć dni. Lockdown przewiduje godzinę policyjną od 18.00, zakaz przemieszczania się poza najbliższym sąsiedztwem i nie w naprawdę koniecznych sytuacjach (np. po zakupy żywności). Otwarte są tylko sklepy z artykułami pierwszej potrzeby. Wszelkie wydarzenia

eprasa.pl a2151ccb97

sportowe, społeczne, kościelne są odwołane. 30 maja ogłoszono też, że ze względu na sytuację pandemiczną Argentyna nie będzie w stanie zorganizować Copa America i rozgrywki piłkarskie najprawdopodobniej odbędą się w Brazylii.

Kolejny lockdown pogłębia biedę

W zeszłym roku Argentyna wprowadziła jeden z najdłuższych na świecie lockdownów. Surowe ograniczenia obowiązywały od marca do lipca, kiedy władze zdecydowały się poluzować obostrzenia. Nie znaczy to, że ich nie było. Przed 21 maja godzina policyjna zaczynała się o 20.00, bary i restauracje obsługiwały gości do 19.00, otwarte były tylko sklepy z artykułami pierwszej potrzeby. Zgromadzenia na świeżym powietrzu ograniczono do 10 osób, aktywności kulturalne czy sportowe w zamkniętych przestrzeniach były zabronione.

Jak można było się spodziewać, wprowadzane scenariusze ratunkowe mocno osłabiły i tak już kulejącą gospodarkę. Biznesy muszą się zamykać, zwalniani są pracownicy, a ci, którzy zostają, pracują po kilkanaście godzin za te same (lub mniejsze) pieniądze. Zresztą przy szalejącej inflacji i tak niewiele można za nie kupić.

„Nie boimy się wirusa, boimy się śmierci z głodu na ulicy. Od dwóch miesięcy śpię na tych kartonach, a mam już swoje lata i gorsze choroby od covidu. Łapałam się wielu zajęć w ostatnim czasie, teraz czyszczę buty w metrze", mówi Viviana w rozmowie z portalem Infobae. Ludzie przemierzający ulice z wózkami, koszykami wypełnionymi kartonami, które można oddać na skup, to coraz częstszy obraz na ulicach argentyńskich metropolii. Rzeczy wyrzucone, zostawione przez jednych, stają się szansą na ciepły posiłek dla drugich. Poszukiwania mogą trwać nawet całymi dniami, czasem od świtu do północy.

> Szpitale są na krawędzi wytrzymałości, lekarze i pielęgniarki protestują.

„Widzę coraz więcej ludzi szperających po śmietnikach czy szukających czegokolwiek, co można by sprzedać i kupić jedzenie – mówi mi Waldo, student psychologii z Buenos Aires dorzucając, że rosnące ceny dają się we znaki. – Ale nie ma co się dziwić, że ceny rosną, skoro wartość naszej waluty spadła w krótkim czasie czterokrotnie". Waldo uważa, że Argentyńczycy przyzwyczaili się do wracających jak bumerang skoków inflacji. „Nawet umowy wynajmu mieszkań mają klauzulę możliwości wzrostu czynszu o 5% co pół roku, właśnie z powodu inflacji", wyjaśnia. Narodowy Instytut Statystyczny i Spisu Ludności podał w maju, że w drugiej połowie 2020 r. ok. 12 mln ludzi z obszarów miejskich nie było stać na koszyk podstawowej żywności lub usług.

Przedłużający się lockdown jest papierkiem lakmusowym nierówności społecznych. W tzw. *barrios populares* (biednych dzielnicach, gdzie są przeludnione mieszkania i brakuje dostępu do elektryczności czy sieci wodociągów) mieszka 4 mln Argentyńczyków. Prawie połowa tamtejszych gospodarstw domowych nie ma w ogóle połączenia z internetem. Odkąd studenci i uczniowie przeszli na nauczanie zdalne, wielu z nich jest z zajęć wykluczonych ze względu na brak dostępu do internetu lub brak własnego komputera w domu. Według danych zebranych przez *think tank* Argentyńskie Obserwatorium Edukacyjne (Observatorio de Argentinos por la Educación) brak łączności z internetem jest jednym z głównych powodów rzucenia szkoły w 2020 r. przez co czwartego ucznia szkół podstawowych z *barrios populares*. Zamknięcie szkół wywołało więc ogromne protesty społeczne. Na początku maja Sąd Najwyższy Argentyny uchylił nawet dekret prezydenta Alberta Fernández o zamknięciu szkół w Buenos Aires w związku z gwałtownym wzrostem liczby przypadków koronawirusa, powołując się na autonomię decyzyjną władz lokalnych.

Argentyńczycy wychodzą na ulice

Nie wszyscy wierzą w rządowe statystyki i niebezpieczeństwo pandemiczne. Inni, choć wierzą, nie mają wyjścia, kolejny lockdown może dla nich oznaczać wylądowanie na ulicy. Nie mogą sobie na to pozwolić. I jedni, i drudzy – wszyscy zmęczeni – wychodzą na ulice, protestować przeciwko obostrzeniom.

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl a2151ccb97

Ostatnio 25 maja, w rocznicę rewolucji z 1810 r., która przyniosła Argentynie niepodległość (tzw. słońce majowe, symbol rewolucji, trafiło nawet na argentyńską flagę). Argentyńczycy wyszli na ulice w wielu dużych, ważnych miastach, takich jak Buenos Aires, Santa Fe, Córdoba, Mendoza i Río Negro. Uczestnicy protestów nakłaniali do łamania postanowień prezydenckiego dekretu, który wprowadził nowe obostrzenia. Frustracja z powodu lockdownu mieszała się z krytyką polityki ekonomicznej obecnych władz. Na ulicach pojawiły się paczki polenty z hasłem „Wkrótce biedny", nawiązujące do rosnących cen mięsa. Część protestujących przyniosła garnki. Nieprzypadkowo. Bicie w nie stało się symbolem wielkich protestów społecznych z czasów poprzedniego kryzysu finansowego.

Już czterech na dziesięciu Argentyńczyków żyje w biedzie.

W Crespo w prowincji Entre Ríos rolnicy zorganizowali strajk z traktorami, aby oprotestować decyzję rządu o zawieszeniu eksportu wołowiny. W połowie maja władze Argentyny ogłosiły 30-dniowy zakaz eksportu wołowiny jako jeden ze środków walki z galopującą inflacją. Decyzja ta wywołała sprzeciw producentów mięsa, które – przypomnijmy – jest jednym z flagowych towarów argentyńskich, znanym na całym świecie. To nie jest nowość. Podobne rozwiązanie stosowały poprzednie rządy. Za czasów Néstora Kirchnera i Cristiny Fernández de Kirchner nakładano podatki eksportowe, by regulować krajowe ceny wołowiny. Interwencje polityczne w latach 2003-2015 doprowadziły do znaczącego spadku udziału Argentyny w światowym eksporcie wołowiny.

Negocjacje z zagranicznymi wierzycielami

Argentyna zaczęła niebezpiecznie dryfować w stronę głębokiego kryzysu ekonomicznego jeszcze przed pandemią. Porównania z kryzysem z przełomu wieków są w pełni uzasadnione. Wielu komentatorów i ekspertów, m.in. José Urtubey, dyrektor Krajowej Unii Przemysłowej, uważa nawet, że obecny kryzys jest gorszy od depresji z 2001 r. Światowy kryzys zdrowotny i przedłużający się lockdown przyczyniają się do szybkiego pogarszania się sytuacji. W zeszłym roku gospodarka Argentyny skurczyła się o 10%. Tymczasem nad krajem wisi widmo gigantycznego długu wobec MFW, o wartości 45 mld dol. Jeszcze w marcu prezydent Fernández mówił z rozbrajającą szczerością, że dług ten jest niemożliwy do spłacenia. Trzeba zaznaczyć, że część zadłużenia pochodzi z czasów wielkiego kryzysu ekonomicznego z lat 1998-2001 (wtedy argentyński dług wynosił 100 mld dol.). Pandemia przyśpieszyła odpływ zagranicznych inwestycji, co zmniejszyło wartość argentyńskiego peso. To z kolei zwiększyło koszty importu, żywności czy nawozów. Inflacja utrzymuje się na poziomie powyżej 40%. Już czterech na dziesięciu Argentyńczyków żyje w biedzie.

W maju prezydent Fernández odbył pięciodniowy *tour* po Europie, spotykając się ze swoimi odpowiednikami w Hiszpanii, Portugalii, Francji i we Włoszech, aby znaleźć w nich sojuszników odłożenia spłaty długów. Fernández stara się o opóźnienie spłaty choć części długu, nawet o kilka lat, kiedy – jak przewiduje – państwowe finanse będą w lepszym stanie. Chce również, by MFW zrezygnował z tzw. opłat dodatkowych. Oprócz długu w MFW kraj musi również spłacić 2,8 mld dol. pożyczki Klubowi Paryskiemu. Na razie strony nie doszły do porozumienia.

Nie boimy się wirusa, boimy się śmierci z głodu na ulicy.

W krytyce prezydenta nie ustaje wiceprezydentka Cristina Fernández de Kirchner (zbieżność nazwisk przypadkowa). Z dnia na dzień wzrasta też jej popularność (podczas gdy poparcie społeczne dla obecnie urzędującego prezydenta topnieje, według niektórych sondaży nawet 70% respondentów jest przeciw jego rządom). Zdaniem Fernández de Kirchner prezydent nie robi wystarczająco dużo, aby uzyskać zgodę na zawieszenie spłacania długów, chociażby do końca pandemii. Fernanda Vallejos, ekonomistka bardzo blisko związana z wiceprezydentką, deputowana do argentyńskiej Izby Reprezentantów, była inicjatorką petycji podpisanej przez 2 tys. polityków, sędziów, związkowców, artystów, dziennikarzy i biznesmenów, nazwanej Proklamacją 25 maja (dnia niepodległości). Petycja głosi, że Argentyna znajduje się w wyjątkowo trudnej sytuacji, która uniemożliwia jej kontynuowanie spłaty długów wierzycielom zagranicznym. „W pierwszej kolejności państwo musi się skupić na zabezpieczeniu żywotnych interesów obywateli w kwestii zdrowia, edukacji, pracy i godnego życia", czytamy. El Kirchnerismo (ruch polityczny skupiający zwolenników idei centrolewicowych reprezentowanych przez Néstora Kirchnera i jego żonę oraz późniejszą następczynię na stanowisku prezydenta Cristinę Fernández de Kirchner) nie chce wprowadzić cięć budżetowych na usługi publiczne, które byłyby konsekwencją dalszej spłaty zadłużenia, szczególnie teraz – bezpośrednio przed wyborami parlamentarnymi jesienią.

„Przeszliśmy od bycia spichlerzem świata do zakazu eksportu mięsa, od bycia wzorem w edukacji do najgorszego w regionie spadku poziomu szkolnictwa w czasie pandemii", w ostrych słowach podsumowuje argentyński kryzys analityk ekonomiczny i komentator polityczny Manuel Adorni. Jego zdaniem Argentyna boleśnie spadła z pozycji kraju, który obiecująco się rozwija, i stała się „światem złamanych obietnic".

Argentyńskie władze znalazły się w patowej sytuacji. Cięcia publiczne spotkają się ze sprzeciwem obywateli, którzy już teraz odczuwają skutki kryzysu ekonomicznego. Pogarszająca się sytuacja pandemiczna zabiera nie tylko kolejne życia, ale też szanse zarobku. „Gospodarka jest zrujnowana, ludzie głodują, a rząd nie ma planu ratunkowego", grzmi były minister finansów Emmanuel Álvarez Agis. Wszyscy przeczuwają powtórkę z początku milenium. Argentyńczycy nie mają jednak zamiaru ugiąć się pod ciężarem polityki cięć i zadłużenia. Nie chcą tylko przeżyć. Chcą poprawy – chociaż krótkoterminowej. Gospodarka Argentyny ma wzrosnąć o 7% w tym roku. Jest więc światełko w tunelu.

Katarzyna Mierzejewska

eprasa.pl a2151ccb97

Oko w oko Tomasz Jastrun

Miniaturki

Składam opowiadania do książki. „Bilet do nieistnienia". Są małe, malutkie, to miniaturki. Męczę się okrutnie, gdyż brakuje mi pomysłów. A każde opowiadanie to nowy pomysł. Sięgam do swojej przeszłości, by się przekonać, że wyjadłem już ją prawie do dna. Piekielnie trudno pisać takie miniaturki, im krócej, tym trudniej, ale nawet dłuższe opowiadanie jest trudnym gatunkiem literackim, ponieważ wszystkie problemy konstrukcyjne gromadzą się na małej przestrzeni. Na dodatek opowiadanie powinno mieć puentę. Najmniejsze moje opowiadanie, „Nauka latania", jest tak małe, że pozwolę sobie je tu zacytować:

Nie mógł nauczyć syna jeździć na rowerze. Co za męka. Biegał, trzymając rower za metalową prowadnicę. Kiedy puszczał, chłopiec przewracał się, raz nawet boleśnie obdarł sobie nogę. A wokół kwitła wiosna, pies za ogrodzeniem biegł równolegle do nich i zdawało się, że się śmieje, słońce lizało ich pomarańczowym językiem, na poboczu ścieżki owady szeleściły w trawie. Co za antytalent z tego dzieciaka, złościł się, jedź prosto, nie bój się, mocniej ciśnij na pedały, znowu źle! I tak dzień po dniu, rok po roku. Aż pewnego dnia syn pojechał… na początku chwiał się niepewnie, ale potem jechał już prosto, coraz szybciej i szybciej, nagle wzbił się w powietrze i odfrunął na zawsze.

•

Ten mój mały synek przerósł mnie już o głowę i dobrze, zawsze miałem kompleksy, że jestem niewysoki, nie wiem czemu, ale zdaje mi się, że gdybym był wysoki, to pewnie moje życie byłoby lepsze. A na pewno byłoby lepsze, gdybym miał lepszą pamięć, talent do języków i talent techniczny. Bardzo jestem wybrakowany. Ale jak na tak wybrakowanego, na dodatek z bagażem depresji na plecach, i tak poradziłem sobie w życiu całkiem nieźle. Antoś właśnie jest w wieku, kiedy z dziecka staje się dorosłym. Przepoczwarza się i jest pogubiony w tym procesie, a my z nim pogubieni. Młodszy, Franio, nadal słodki i śliczny chłopczyk, we wzruszający sposób dziecinny.

•

Kandydat opozycji wygrywa w Rzeszowie, chociaż blady i w mowie nieporadny. Czy opozycja zrozumie, że musi być razem, jeśli chce ograć PiS? Wynik wyborów w Rzeszowie taki ważny, bo słyszę zewsząd, że z PiS nie wygra ta nasza beznadziejna opozycja, a ten brak wiary i pesymizm rodzi bierność. Nie chcę, nie potrafię być bierny, dlatego w czynie społecznym jadę do Wejherowa. Sama podróż to okazja do spokojnej lektury, nigdzie nie czyta mi się tak dobrze jak w pociągu. Zaprosił mnie do Wejherowa pan Longin Skrzypiński, działacz miejscowego KOD. Od lat co środa z grupką osób z transparentami i flagami staje przed ratuszem lub przed sądem i protestuje (ma już 26 spraw w miejscowym sądzie). Zdawał mi się kiedyś w swojej upartej pasji niespełna rozumu, ale byłem w błędzie. Rozsądny, sympatyczny i oddany sprawie. Zorganizował w Wejherowie już kilkanaście spotkań, choćby z Wałęsą, z niezależnymi sędziami, z Tuleyą, z prokuratorami. Ja występuję z ks. Wojciechem Lemańskim. Odważny kapłan o liberalnych poglądach, mądry, z charyzmą, emanuje z niego ciepło i dobroć. Czym jest Kościół, który sekuje takich kapłanów?

Czy opozycja zrozumie, że musi być razem, jeśli chce ograć PiS?

Panel w miejscowym parku, ładnym, zadbanym, pełnym kwiatów, z fontannami. Zauważyłem, że Wejherowo ma trzy centralne miejsca spotkań, miejsca przyjazne i ciepłe. To właśnie park, ładny rynek i nowoczesny, okazały gmach filharmonii, gdzie mieści się też kino i wiele instytucji kulturalnych. Grymaszono: po co niewielkiemu miastu filharmonia. A ona dała mu duszę.

Idę na rynek z panem Kazimierzem, również zapalonym działaczem KOD, ma 80 lat, w świetnej formie, od trzech lat trenuje karate, morsuje. Kiedy idę z nim, czuję, jakbym szedł z kimś młodszym ode mnie, a to wrażenie mnie jednak trochę niepokoi.

•

Pawła Kukiza zawsze uważałem… no właśnie, proszą mnie czasami, bym nie używał zbyt mocnych słów, powiem więc eufemistycznie: uważałem go za człowieka niemądrego i emocjonalnie rozchwianego. Są ludzie, są partie, z którymi nie wchodzi się w sojusze na żadnych warunkach. PiS zatruwa Polskę jadem kiełbasianym. Sam Kukiz jeszcze niedawno mówił: „Robię wszystko, co mogę, by uratować państwo przed autorytaryzmem i przed nowym Jaruzelskim, którym jest Kaczyński". Dalej nazywał PiS partią neobolszewicką, „posługującą się metodami ubeków i burdelmam, które zaprowadzą polityków obozu władzy na szafot". I co teraz?

•

Oglądając mistrzostwa Europy w piłce nożnej, odczuwam dyskomfort, nie z powodu kiepskiej gry Polaków, nie kibicuję polskiej drużynie, ale dlatego, że oglądam mecz w telewizji publicznej. Tak ją zanieczyścili. A PiS zatruwa patriotyzm, sportowy też. Nawet biało-czerwona flaga wydaje się już podejrzana.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a2151ccb97

Słońce, morze i cyfrowi nomadzi

Kraje europejskiego Południa chcą przyciągnąć pracowników zdalnych

Tomasz Skowronek

Rieti w Lacjum i Santa Fiora w Toskanii to miasteczka omijane przez turystów i migrantów. Wkrótce jednak może się to zmienić. Lokalne władze wprowadziły bowiem ofertę pomocy dla pracowników zdalnych, którzy są gotowi osiedlić się tam na kilka miesięcy lub dłużej. Cała Santa Fiora ma szybkie łącze internetowe, a na brukowanych uliczkach znajdują się tzw. stacje robocze. „To dopiero pierwszy krok w naszym projekcie inteligentnej wioski, opartym na łączności i technologii, który ma na celu przyciągnięcie nowych mieszkańców, ale i firm", zapowiada burmistrz Federico Balocchi. Dodatkowo czynsze są stosunkowo niskie – od 300 do 500 euro miesięcznie.

„Naszym celem nie są turyści, ale ludzie, którzy naprawdę chcą tu doświadczyć życia – dodaje burmistrz miejscowości liczącej 2,5 tys. mieszkańców, położonej w rezerwacie przyrody Monte Amiata, między Sieną a Perugią. – To idealne miejsce dla pracowników zdalnych, którzy szukają równowagi między pracą a życiem rodzinnym. Mamy niskie opłaty za przedszkola, bezpłatny transport do szkoły i mnóstwo atrakcji dla dzieci".

Ceny wynajmu w Santa Fiora są mniej więcej takie same jak w Rieti, 50-tysięcznym miasteczku na północny zachód od Rzymu, które cierpi z powodu bliskości stolicy. „Wszyscy młodzi ludzie jadą do Rzymu w poszukiwaniu pracy. Liczymy na zdalnych pracowników, którzy zrewitalizują nasze miasto", wyjaśnia zastępca burmistrza Daniele Sinibaldi.

Chętni do osiedlenia się we Włoszech muszą udowodnić swój status pracownika zdalnego.

Aby uzyskać pomoc od urzędu miasta, chętni muszą udowodnić swój status pracownika zdalnego, przedstawiając pismo od pracodawcy, z kolei w wypadku osób samozatrudnionych wystarczy opis działalności zawodowej. Nie ma znaczenia, jak będziemy zarabiać na życie, o ile można to robić w domu. We wspomnianych miasteczkach lokalne gminy oferują do 200 euro lub 50% dopłaty do miesięcznego czynszu w przypadku długoterminowych pobytów.

Rieti i Santa Fiora wyróżniają się ofertą mieszkaniową, lecz nie są jedynymi włoskimi miasteczkami, w których można spotkać pracowników zdalnych. Metropolie zostały dotknięte przez covid i wielu mieszkańców miast schroniło się tam, gdzie wskaźniki zakażeń były niższe i gdzie łatwiej było utrzymywać dystans fizyczny. Małe miasteczka i wioski we Włoszech nagle stały się bardziej atrakcyjne dla osób pragnących uciec od stresującego życia w mieście. Coraz więcej cyfrowych nomadów rozważa przeniesienie się tam, gdzie tempo życia jest wolniejsze. „We Włoszech mnożą się »inteligentnie pracujące wioski«, a władze lokalne rozumieją zainteresowanie szybkim internetem i sprzętem przeznaczonym dla telepracowników", pisał portal The Local.

„Praca zdalna jest nie tylko tymczasowym rozwiązaniem w obliczu obecnej sytuacji kryzysowej, ale może być przyszłością, przynajmniej w przypadku niektórych zawodów – powiedział na łamach włoskich mediów Federico Balocchi. – Mamy nadzieję, że po okresie próbnym Santa Fiora może stać się stałym wyborem dla tych, którzy

eprasa.pl a2151ccb97

będą tu mieszkać na czas nieokreślony ze swoją rodziną".

Włochy to niejedyne państwo próbujące przyciągnąć cyfrowych nomadów. Wiele południowoeuropejskich regionów żyjących z turystyki odnotowało ogromne straty finansowe, po tym jak pandemia opróżniła ich hotele i opustoszyła atrakcje turystyczne. Starając się zdywersyfikować dochody i promować dłuższe pobyty, władze regionalne rozpoczęły kampanię mającą na celu przyciągnięcie pracowników krajowych i zagranicznych do pracy zdalnej. Ale zjawisko to obejmuje teraz szersze spektrum działań: od prawników po księgowych, w tym doradców podatkowych i specjalistów od marketingu, a także pracowników handlu technologiami finansowymi. Ktoś, kto spędza więcej czasu w danym miejscu, wydaje też więcej pieniędzy, a uczynienie pracy zdalnej warunkiem uzyskania ulg podatkowych gwarantuje, że koczownik wyda w tym czasie więcej pieniędzy niż typowy turysta.

W czasie pandemii więcej ludzi zdecydowało się na kupno biletu lotniczego bez powrotu. Tak jak Caroline z Francji, której przypadek opisał dziennik „Libération". Gdy Pałac Elizejski ogłosił 29 października 2020 r. drugą blokadę kraju w celu uporania się z nową falą epidemii, Caroline nie chciała zostać zamknięta w paryskim mieszkaniu. Kupiła zatem bilet na Wyspy Kanaryjskie. Ten hiszpański archipelag od początku pandemii wręcz opanowali pracownicy zdalni. „Zawsze marzyłam o możliwości pracy zdalnej w dowolnym kraju. O dziwo, ta pandemia była dla mnie szansą", mówi Caroline, która 13 listopada wylądowała w Las Palmas, stolicy Gran Canarii, i nie zamierza już wracać do Paryża.

Rząd Wysp Kanaryjskich 22 lutego 2021 r. uruchomił plan mający na celu przyciągnięcie pracowników zdalnych. Hiszpański archipelag reklamuje się jako biuro z najlepszym klimatem na świecie. Cel: przyciągnięcie ok. 30 tys. pracowników zdalnych w ciągu pięciu lat poprzez zainwestowanie pół miliona euro. „Wzbogaci to sektor turystyczny Wysp Kanaryjskich, a także przyciągnie wysoko wykwalifikowanych specjalistów", mówiła Yaiza Castilla Herrera, minister turystyki, przemysłu i handlu. Środki te zostaną skierowane głównie do pracowników z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Hiszpanii, Francji, Irlandii, Danii, Finlandii, Szwecji, Islandii, Szwajcarii, Belgii i Holandii.

Gdy Wyspy Kanaryjskie organizują kampanie promujące dłuższe pobyty, podczas których zagraniczni goście mogliby łączyć obowiązki zawodowe z wypoczynkiem, a przy tym wspierać pogrążoną w kryzysie turystykę, portugalska Madera poszła o krok dalej i stworzyła pierwszą na świecie wioskę cyfrowych nomadów. Ponta do Sol, wioska zamieszkana przez ponad 4 tys. ludzi, 1 lutego 2021 r. otworzyła centrum zapewniające dostęp do Wi-Fi, miejsce do pracy i pomoc w zakwaterowaniu dla kilkuset pracowników zdalnych. Władze wyspy chcą, aby Madera stała się rajem dla młodszego pokolenia cyfrowych nomadów. Jak możemy przeczytać w przewodnikach promujących wyspę: sieć drogowa jest doskonała, a pandemia została tu opanowana znacznie skuteczniej niż w wielu krajach europejskich, począwszy od kontynentalnej Portugalii.

Wyspy Kanaryjskie reklamują się jako biuro z najlepszym klimatem na świecie.

Wioska *technomades* to projekt agencji Startup Madeira, w ramach którego nawiązano współpracę z lokalnymi firmami z takich branż jak nieruchomości, hotelarstwo i wypożyczalnie samochodów. Obecnie na Maderze żyje ok. 4380 cyfrowych nomadów z 90 krajów. Warto zaznaczyć, że w Europie najpopularniejszym kierunkiem tego typu wyjazdów w 2020 r. była Hiszpania, natomiast Portugalia odnotowała największy wzrost liczby cyfrowych migrantów w porównaniu z ubiegłym rokiem.

Kraje iberyjskie nie są osamotnione w dążeniu do przyciągnięcia cyfrowych nomadów. Magazyn „Forbes" pisał wręcz o wojnie i zaciętej rywalizacji między państwami o pracowników zdalnych. Nową siłę roboczą do pracy z domu próbuje pozyskać także Grecja. Już w grudniu parlament w Atenach przyjął ustawę zezwalającą cyfrowym nomadom na zmniejszenie o połowę podatku dochodowego. Każdy pracownik zdalny, który postanowi zamieszkać w Grecji, zostanie zwolniony z połowy PIT na siedem lat. Rząd Kiriakosa Mitsotakisa ma nadzieję, że ulga podatkowa będzie dobrym wabikiem. Alex Patelis, główny doradca ekonomiczny premiera, nie ukrywa, że także w związku z brexitem wielu pracowników opuszcza Wielką Brytanię i szuka dla siebie nowego miejsca do życia.

Dążenie do przyciągnięcia społeczności pracowników zdalnych należy do zielonych i cyfrowych reform, które – jak ma nadzieję Grecja – pomogą ożywić jej gospodarkę i odzyskać dobry wizerunek po ponad dekadzie kryzysu. Chociaż Grecja przyciągnęła inwestycje liderów technologicznych, Tesli i Amazona, wypada znacznie poniżej europejskich średnich w zakresie łączności, korzystania z internetu oraz cyfrowych usług publicznych i gospodarki cyfrowej. Internet szerokopasmowy w tym kraju jest wolniejszy niż w Tadżykistanie, gdzie tylko jedna czwarta populacji jest *online* – tak podaje Speedtest Global Index, który w lutym umieścił Grecję na 98. miejscu swojego zestawienia. W marcu premier Mitsotakis nakreślił wielomiliardowy plan nazwany „Grecja 2.0", obejmujący inwestycje w sieci 5G, które rozpoczęto w grudniu, aby zwiększyć atrakcyjność kraju.

Kraje północnoeuropejskie obecnie przegrywają. Według InterNations, zagraniczni pracownicy wolą teraz cieplejsze europejskie miasta, takie jak Walencja i Alicante w Hiszpanii czy stolica Portugalii Lizbona, które zostały okrzyknięte w ostatnim badaniu trzema najlepszymi miastami do pracy i życia.

Międzynarodowa firma doradcza MBO Partners szacuje, że na świecie jest 41 mln cyfrowych nomadów. Oczekuje się, że liczba osób pracujących w domu podwoi się w 2021 r. To sporo potencjalnych emigrantów, którzy będą zachęcani przez południowe kraje, aby pracowali z mieszkań z widokiem na morze, gaje oliwne czy Akropol, a przy tym korzystali z ulg podatkowych. Wiele państw będzie chciało wykroić dla siebie kawałek tego tortu. ■

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a2151ccb97

Leszek Konarski

NOWA HUTA i przedwojenni fachowcy

Nikt nie pytał o legitymację, szukano specjalistów

Nowa Huta – jeden z najbardziej znanych przykładów wielkiej powojennej industrializacji Polski. Kiedy 72 lata temu, 23 czerwca 1949 r., w podkrakowskiej wsi Mogiła rozpoczęto budowę huty, niewielu było w stanie wyobrazić sobie ogrom inwestycji i osiedli mieszkaniowych pomyślanych jako jej integralna część. Nowa Huta, kiedyś uznawana pod Wawelem za ciało obce, to dzisiaj wielka dzielnica Krakowa, bez której nie byłby on tym, czym jest. Drukujemy fragment wydanej przez PRZEGLĄD książki Leszka Konarskiego „Nowa Huta – wyjście z raju".

Tysiące młodych ludzi, przeważnie z bardzo biednych wsi, przybywało do Nowej Huty, aby tu uczyć się zawodu. Natomiast dyrektorami, którzy kierowali budową miasta i kombinatu metalurgicznego, byli przedwojenni inteligenci, absolwenci znanych polskich uczelni, świetni fachowcy.

Jan Anioła, pierwszy dyrektor kombinatu w latach 1949-1954, to oficer polskich sił zbrojnych na Zachodzie, który w 1946 r. wrócił ze Szkocji, aby odbudowywać Polskę. Następny dyrektor naczelny w latach 1954-1956, czyli w okresie największego stalinizmu, Antoni Czechowicz, był przedwojennym działaczem Stronnictwa Narodowego. Studia ukończył w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, w czasie II wojny światowej był żołnierzem 3. Wileńskiej Brygady AK, uczestnikiem operacji „Burza-Ostra Brama". Był więziony w gułagu w Kałudze. Po powrocie do Polski kierował Hutą Stalowa Wola. Po krakowskiej Hucie chodził w wojskowych bryczesach i oficerkach, wyglądał jak partyzant, dla którego wojna się jeszcze nie skończyła.

Trzeci dyrektor, Bohdan Kołomyjski, to syn przedwojennego oficera. Tuż przed wybuchem II wojny światowej wrócił do Polski z Anglii, przypuszczając, co może grozić krajowi, i wiedząc, że będzie potrzebny. Potem działał w konspiracji. Wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, wrócił natychmiast po zakończeniu wojny, aby odbudowywać kraj z wojennych zniszczeń.

Dyrektorami naczelnymi Przedsiębiorstwa Budowy Kombinatu, potem zmienionego na Zjednoczenie Budowy Kombinatu, przez kilka pierwszych lat byli więc fachowcy z bogatymi życiorysami. Członkowie PZPR sprawowali funkcje sekretarzy, kadrowców, związkowców, pracowników administracyjnych. Jednak budową miasta i kombinatu kierowała przedwojenna polska inteligencja, która wkrótce została wzmocniona przez powojennych absolwentów polskich uczelni.

Od września 1952 r. dyrektorem inwestycji w Kombinacie Metalurgicznym Nowa Huta, potem nazwanym imieniem Włodzimierza Lenina, był inż. Zbigniew Loreth. Przed wojną ukończył studia na Politechnice Lwowskiej, bywał częstym gościem elitarnego Kasyna Kupieckiego w Stanisławowie. Często występował w eleganckim fraku, który przywiózł do Nowej Huty. Jak twierdził, takie przedwojenne fraki mieli wszyscy trzej pierwsi dyrektorzy naczelni nowohuckiego kombinatu.

– W 1952 r. nikt nie pytał o legitymację, szukano fachowców – tłumaczył mi. – Dopiero potem dyrektorzy zapisywali się do partii dla świętego spokoju, jak zresztą wielu bardzo porządnych i uczciwych Polaków, którzy chcieli w kraju mieć możliwość działania. Nikt z nich nie angażował się w żadne sprawy ideologiczne, partyjne rozgrywki, zawsze ważna była dla nich praca. Do 22 lipca 1954 r., czyli do uruchomienia pierwszego wielkiego pieca, działalność partii była ograniczona. Tak naprawdę w tym okresie nie bardzo było wiadomo, kto jest partyjny. Ja nigdy nie zapisałem się do partii i nikt przez tyle lat nie próbował mnie zwerbować do PZPR, a przecież po wojnie na Śląsku prowadziłem największe inwestycje w hutnictwie surowcowym, w hutach Kościuszko, Pokój, Bobrek, potem 15 lat budowałem Nową Hutę. Jako szef Dyrekcji Inwestycji Kombinatu codziennie pracowałem do późna wieczorem. Przez kilka pierwszych lat pracy w kombinacie nie wziąłem ani jednego dnia urlopu. Podobnie jak ja pracowali inni dyrektorzy kombinatu. Nikt sobie dzisiaj nie wyobraża, ile trzeba było pracy, aby taką hutę zbudować i ją bezawaryjnie uruchomić. Jeżeli ktoś dzisiaj mi powie, że budowa Nowej Huty to była rzecz wyłącznie polityczna, niezwiązana z rozwojem gospodarczym kraju, to odpowiem mu, że jest dyletantem. Partia umocniła się w Hucie dopiero, gdy wszystko było gotowe.

Inż. Loreth uważał za idiotów tych wszystkich, którzy krytykują pomoc, jakiej przy budowie nowohuckiego kombinatu udzielił nam Związek Radziecki. (…)

Nieprawdą też jest, powiedział mi inż. Loreth, że do Nowej Huty Rosjanie przysyłali stare urządzenia. W tym czasie urządzenia radzieckie do produkcji surowcowej, tj. surówki i stali, były na wyższym poziomie niż europejskie i amerykańskie. Amerykanie dysponowali natomiast lepszymi technologiami w walcowniach blach i cynkowniach.

– Tu nie było żadnego pola manewru i niech nikt nie opowiada głupstw, że można było Nową Hutę wybudować bez rosyjskiej pomocy – stwierdza Loreth. – Zachód robił

Amerykanie wiedzieli, co my tu budujemy, ale doradcy twierdzili, że nigdy nie uda się doprowadzić do końca tej budowy.

eprasa.pl a2151ccb97

wszystko, aby utrudnić nam rozwój ciężkiego przemysłu. (...) Był to okres zimnej wojny, a stal stanowiła podstawę przemysłu zbrojeniowego. Dopiero po Październiku Stany Zjednoczone i inne kraje zachodnie zniosły embargo na niektóre starsze technologie. Bez Rosjan nie dalibyśmy rady. Prawie każdy z członków kierownictwa budowy Nowej Huty, zarówno miasta, jak i kombinatu, był świadomy krzywd, jakich wielu Polaków doznało ze strony Rosjan w czasie wojny i potem. Niektórzy z nich stracili najbliższych w syberyjskich łagrach lub w Katyniu.

W tamtym czasie inż. Zbigniew Loreth wraz z 2 tys. Polaków znalazł się w łagrze pod Kamionką Strumiłowską na Wołyniu. Noce na betonie starych stajni, praca po 10 godzin dziennie przy karczowaniu lasu i budowie nowego lotniska wojskowego, wreszcie przyjazd z repatriantami do Opola. – Przez te lata zostałem zaimpregnowany na bolszewizm – wspomina Loreth. – Przeraziły mnie nie tylko aresztowania i zsyłki, lecz przede wszystkim rzeczywistość gospodarcza na zajętych przez Rosjan terenach, głupota organizacyjna, marnotrawstwo materiałów, biurokracja. Po przybyciu do Polski zrozumiałem jednak, że z Rosjanami trzeba współpracować, gdyż wraz z narastaniem polityki zimnowojennej Stany Zjednoczone i inne kraje zachodnie chciały nas rozłożyć ekonomicznie, stosując sankcje gospodarcze i embarga na różne technologie.

Dla polskiego hutnictwa skala budowy kombinatu w Nowej Hucie była wręcz kosmiczna. Dawne polskie huty Kościuszko i Ostrowiec, także odkupiona od Niemców w latach 30. Huta Pokój oraz kilka mniejszych do nowoczesnych nie należały. W Hucie Pokój walcarka pracowała na XIX-wiecznych drewnianych łożyskach. Przed wojną koncern przemysłowy Wspólnota Interesów Górniczo-Hutniczych szczycił się, że może wykonać halę fabryczną o wadze 200 ton, tymczasem w Nowej Hucie zaprojektowano hale o ciężarze ok. 10 tys. ton. Gdy Rosjanie zaproponowali nam hutę o zdolności produkcyjnej 1,5 mln ton i z wielkimi piecami o pojemności 1 tys. m sześc., wszyscy polscy specjaliści byli zgodni, że czegoś takiego nigdy nie uda się zbudować, a jeżeli już taki wielki piec powstanie, to nie będzie działał na polskim koksie, który nie jest najlepszej jakości. (...)

W 1957 r., czyli wkrótce po Październiku, do kombinatu w Nowej Hucie po raz pierwszy przyjechała amerykańska delegacja handlowa z sekretarzem handlu Stanów Zjednoczonych na czele. Gości oprowadzał dyr. Loreth. – Zwiedzili dokładnie cały kombinat – opowiada. – Największe wrażenie zrobiła na nich niedawno oddana do użytku walcownia gorąca blach, z halą długą na ponad pół kilometra i piecem, z którego co chwilę wyjeżdża sześciometrowy slab i po przejściu przez klatki walcownicze staje się blachą. Ich minister podszedł do mnie i powiedział, że Amerykanie od samego początku wiedzieli, co my tu budujemy, ale doradcy twierdzili, że nigdy nie uda się doprowadzić do końca tej budowy i przez następne 20 lat będą tu same awarie i katastrofy.

Odchodzili kolejno na emeryturę dyrektorzy, którzy byli absolwentami przedwojennych uczelni i którzy od samego początku budowali miasto i kombinat. Kierownicze stanowiska obejmowali nowi ludzie, wskazani przez partię, których inż. Loreth nazywał „pierwszym pokoleniem potakiwaczy". Wtedy wiedzę zaczęła zastępować legitymacja. Zaczęły się walki o stanowiska, a nie o przyszłość Huty. Gdy w roku 1971 dyrektorem naczelnym kombinatu został Józef Błajszczak, działacz partyjny ze Zjednoczenia Hutnictwa Żelaza i Stali w Katowicach, już pierwszego dnia wezwał wszystkich podległych mu szefów i oświadczył: – Ja się na tym nie znam, ale produkujcie najlepiej, jak potraficie, a daję wam gwarancję, że nie będzie dochodziło do podnoszenia planu poza wasze możliwości. (...) ■

Antoni Czechowicz chodził w wojskowych bryczesach i oficerkach, wyglądał jak partyzant, dla którego wojna się jeszcze nie skończyła.

Dla polskiego hutnictwa skala budowy kombinatu w Nowej Hucie była wręcz kosmiczna.

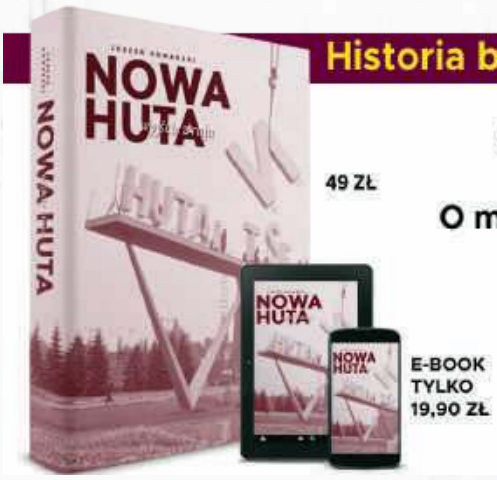

Historia bez happy endu 70 LAT NOWEJ HUTY

49 ZŁ

O tych, którzy budowali socjalistyczne miasto, i tych, którzy socjalizm obalali. O marzeniach o idealnym mieście i szczęśliwym życiu.

E-BOOK TYLKO 19,90 ZŁ

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 49 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl a2151ccb97

POLEMIKA

Powrót do historii Sahrynia

Aby zapobiec temu, co stało się na Wołyniu, dowództwo AK i BCh postanowiło zlikwidować najgroźniejsze kuszcze: Sahryń i Bereść

Monika Śladewska

Konflikt pamięci

W nr. 22 PRZEGLĄDU ukazał się wywiad z byłym pracownikiem IPN dr. Mariuszem Sawą, zwolnionym z pracy rzekomo za rzetelność. Pan dr Sawa aktualnie pisze książkę o Sahryniu, wsi położonej w powiecie hrubieszowskim na Chełmszczyźnie, a więc obszarze uznawanym przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) za „ziemie etnicznie ukraińskie".

Czytelnicy dowiedzieli się, że 10 marca 1944 r. hrubieszowskie i tomaszowskie oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich zaatakowały spokojną, słabo bronioną wieś Sahryń, zamieszkaną przez prawosławnych Ukraińców, i rozstrzelały 1264 mieszkańców. Jaki był powód tych walk, historyk nie wyjaśnił, nie wspomniał o założeniach strategicznych OUN, nie powiedział, że celem tej organizacji było zbudowanie „sobornej" Ukrainy bez cudzoziemców i oderwanie od Polski ziem nazywanych Zakierzonią. Poza tym zataił działania OUN-Bandery i OUN-Melnyka na terenie Generalnego Gubernatorstwa, a to zaciemnia obraz tych wydarzeń. Nie ma nic wspólnego z prawdą twierdzenie dr. Sawy, że Niemcom zależało, by polityka ludnościowa była dotkliwa przede wszystkim dla Ukraińców. Tezę o konflikcie polsko-ukraińskim historyk powielił z nacjonalistycznej historiografii ukraińskiej. Nie był to konflikt, polskie państwo podziemne z Ukrainą wojny nie prowadziło, były to bezprawne ludobójcze działania dużej części obywateli polskich narodowości ukraińskiej, przywódcy tego ruchu wspomagali Hitlera. Badacz zaszłości polsko-ounowskich powinien wiedzieć, że główną przyczyną tragicznych wydarzeń na tym obszarze były barbarzyńskie metody stosowane przez kolaboracyjną OUN-UPA. Dr Sawa nie jest w stanie zrozumieć tamtego burzliwego czasu i tego, że polskie podziemie zbrojne i Wojsko Polskie po wojnie miały obowiązek bronić integralności granic państwa.

Zatrzymano trzech emisariuszy popów z rozkazem i ulotkami nawołującymi, aby 16 marca 1944 r. rozpocząć generalną rzeź Polaków.

W dużym skrócie przypomnę historię Zamojszczyzny zapisaną przez uczestników tamtych wydarzeń. Relacje świadków są zamieszczone w czasopiśmie „Na Rubieży" nr 56/2001 i nr 88/2006, na ten temat w PRL ukazało się kilka faktograficznych książek. Dr hab. Wiktor Poliszczuk, wybitny badacz ukraińskiego nacjonalizmu, w pracy „Dowody zbrodni OUN i UPA. Tom II" (Toronto 2000) na podstawie materiałów archiwalnych przedstawił sytuację społeczną w dystrykcie lubelskim GG po agresji Niemiec na Polskę.

W drugiej połowie września 1939 r. Kresy Wschodnie II RP zostały zaanektowane przez ZSRR, działacze OUN w obawie przed unicestwieniem siatki organizacyjnej przez władze radzieckie uciekli do GG i oficjalnie podjęli współpracę z Abwehrą. Zaowocowało to tym, że Ukraińcy byli uprzywilejowaną grupą narodowościową. Już w październiku 1939 r. po zachodniej stronie linii demarkacyjnej powstały Ukraińskie Dopomogowe Komitety, ich zadaniem było udzielanie pomocy uciekinierom i ukraińskim żołnierzom zwalnianym z obozów jenieckich. Po rozłamie OUN (luty 1940 r.) frakcje Bandery i Melnyka, każda oddzielnie, prowadziły antypolską działalność, jednocześnie przygotowywały się propagandowo i zbrojnie do udziału w wojnie z ZSRR. W kwietniu 1940 r. został powołany Ukraiński Centralny Komitet (UCK) pod przewodnictwem Wołodymyra Kubijowycza, udział w jego tworzeniu brał wysoki funkcjonariusz Abwehry Theodor Oberländer zainteresowany neutralizacją polskiego ruchu oporu. 5 marca 1940 r. podczas przyjęcia na Wawelu gubernator Hans Frank oznajmił: „W rozwiązaniu tych problemów przyjdzie nam z pomocą 600 tys. Ukraińców, wrogów Polski od kolebki. (...) Mamy przed sobą sokoły, które nie będą oszczędzać Polaków". UCK formalnie był organizacją społeczną, *de facto* działał pod egidą OUN-Melnyka, wspierał niemiecką machinę wojenną i realizował swoje cele w odniesieniu do tzw.

eprasa.pl a2151ccb97

Zakierzonii. Kubijowycz szczególną wagę przywiązywał do narodowego odrodzenia Podlasia i Chełmszczyzny. „Ukrainizacja" tego terenu przebiegała drogą rozwoju ukraińskiego szkolnictwa, spółdzielczości i organizacji kulturalnych, stanowiska wójtów powierzano Ukraińcom. Szczególnie krwawo w historii tego regionu zapisała się policja ukraińska, która początkowo mordowała Polaków z ukrycia, po skierowaniu przez gestapo na stanowiska dowódcze posterunków absolwentów szkół policyjnych nasiliły się morderstwa, donosy, prowokacje, wielu Polaków aresztowano i ślad po nich ginął.

Atak na Sahryń rozpoczął się 10 marca 1944 r. Wieś była broniona przez UPA-UNS, policję ukraińską i pododdział SS Galizien.

Po agresji Niemiec na ZSRR poziom bezpieczeństwa Polaków znacznie zmalał. Niemcy przygotowywali się do realizacji Generalnego Planu Wschodniego, a ukraińscy nacjonaliści do oczyszczenia Chełmszczyzny z elementu polskiego, w tym celu umacniali swoje struktury w terenie. Najmniejszą jednostką terenową były stanice obejmujące jedną-dwie wsie, pięć-sześć wsi tworzyło *kuszcz*. W listopadzie 1942 r. Niemcy z pomocą policji ukraińskiej rozpoczęli wysiedlanie Polaków z 297 wsi, osiedlając tam kolonistów niemieckich i kilka tysięcy Ukraińców. Do akcji włączył się UCK. W 1943 r. na Chełmszczyznę zaczęli napływać Polacy z Wołynia. Kubijowycz na spotkaniu z Frankiem wysunął postulat zabronienia ewakuowanym Polakom lub uciekinierom z Wołynia pozostania na tym mieszanym terytorium. Oddziały AK i BCh zbrojnie przeciwstawiły się akcji przesiedleńczej, ale z powodu szczupłości sił nie zdołały jej zapobiec.

Jesienią 1943 r. sotnie banderowskie, które zrealizowały cele OUN na Wołyniu, przechodziły na Chełmszczyznę, gdzie już aktywnie działała paramilitarna formacja pod mylącą nazwą Ukraińska Narodowa Samoobrona (UNS). Banderowcy swoje siedziby lokowali w ukraińskich wsiach i współdziałali z UNS, policją ukraińską i niemiecką żandarmerią. Wiele wsi przekształcono w obozy warowne, z tych baz UPA-UNS uderzyła na polskie wsie, paliła i mordowała mieszkańców. Ukraińska ekstrema wzywała do bezwzględnego zabijania Lachów. Szczególną aktywność przejawiały *kuszcze*: sahryński, bereściowski, szychowicki, uhrynowski i werbkowicki.

W styczniu 1944 r. wojska radzieckie zajęły Wołyń, front się ustabilizował. Dowódca tzw. UPA Roman Szuchewycz część bojówek, łącznie z bardzo groźnym kureniem „Zalizniaka", z Wołynia przemieścił na Chełmszczyznę. W tym czasie Niemcy wzmocnili siły policyjne, dozbroili kolaborantów, do walki z ruchem oporu wydzielili pułki policyjne dywizji SS Galizien. Na Lubelszczyznę wyjechała grupa bojowa płk. Friedricha Beyersdorfa, z Wołynia przybył uzbrojony przez Niemców melnykowski Legion Wołyński dowodzony przez płk. Petra Diaczenkę. Nad ludnością polską zawisła groźba zagłady. W walkach z przeważającymi siłami okupanta oddziały AK, BCh, AL były wspomagane przez 1. Ukraińską Dywizję Partyzancką pod dowództwem Petra Werszyhory, ukraińscy nacjonalistyczni historycy piszą, że byli to nie Ukraińcy, ale radzieccy partyzanci.

We wsi Oszczów zwołano zebranie w celu pojednania. Ukraińców z remizy wypuszczono, a 26 Polaków zlikwidowano.

Komendant hrubieszowskiego obwodu BCh Mieczysław Osiej informował: „Sytuacja na terenie obwodu od 5 marca 1944 r. jest wprost tragiczna. (…) Płoną wsie polskie, (...) ginie ludność polska od karabinów, siekier, młotków, (...) na terenie ukazały się oddziały SS Galizien". Żołnierz AK Benedykt Józefko pisze: „Gdy 6 marca 1944 r. zameldowałem się u komendanta obwodu hrubieszowskiego, zostałem przez niego poinformowany, że kilka dni wstecz zatrzymano trzech emisariuszy popów (...) z rozkazem i ulotkami nawołującymi, aby 16 marca 1944 r. rozpocząć generalną rzeź Polaków. Dano mi do przeczytania kilka tych ulotek, treść ich była wręcz porażająca, świadczyły one o kompletnym zdziczeniu, zarówno tych, którzy je redagowali, jak i tych, którzy zajmowali się ich kolportażem". W tak ekstremalnej sytuacji, aby przynajmniej częściowo zapobiec temu, co stało się na Wołyniu, dowództwo AK i BCh postanowiło zlikwidować dwa najgroźniejsze *kuszcze*: Sahryń i Bereść. Atak na Sahryń rozpoczął się 10 marca 1944 r. Wieś była broniona przez UPA-UNS, policję ukraińską i pododdział SS Galizien. Oficer AK Bronisław Mielniczak pisze, że mimo rozkazu oszczędzania mieszkańców podczas walk zginęło nie więcej niż 120 osób cywilnych. Zlikwidowanie bazy w Sahryniu nie zapobiegło dalszym atakom UPA-UNS na polskie wsie.

Przed rozpoczęciem letniej ofensywy frontu wschodniego Niemcy ewakuowali kolonistów, Ukraińcy wrócili na swoje gospodarstwa, aktywiści OUN umknęli z wojskiem niemieckim, a bandy banderowskie ukryły się w lasach. Wejście wojsk radzieckich i polskich na Lubelszczyznę w lipcu 1944 r. nie zapewniało bezpieczeństwa, oddziały AK i BCh zostały rozbrojone, wielu żołnierzy poszło do Wojska Polskiego. Bojówki UPA kontynuowały ludobójcze działania, napadały na posterunki milicji i paraliżowały pracę administracji. Przykładowo 25 marca 1945 r. banda „Jahody" przebrana w radzieckie mundury podstępnie ujęła i bestialsko zamordowała dowódcę batalionu BCh Stanisława Basaja „Rysia". W tym samym dniu bojówka UPA napadła na posterunek milicji w Kryłowie, zginęło 18 milicjantów i kilka osób cywilnych. Wielu Polaków ginęło wskutek podstępu, np. we wsi Oszczów w gminie Dołhobyczów zwołano zebranie w celu pojednania, po przyjściu do remizy Ukraińców wypuszczono, a 26 Polaków zlikwidowano. Po zakończeniu wojny spokój w tym regionie przywróciła wojskowa operacja „Wisła" przeprowadzona w 1947 r.

■

eprasa.pl a2151ccb97

Burzyciele i marzyciele

Prof. Andrzej Andrusiewicz na przekór mitom i stereotypom obiektywnie pokazuje dzieje rosyjskiego procesu rewolucyjnego

Michał Śliwa

Wiedza o przeszłości Rosji i stosunkach polsko-rosyjskich nie ma od kilkudziesięciu lat w społeczeństwie polskim przychylnego odbioru za sprawą rządowej polityki historycznej, uzasadniającej cele i założenia bieżącej polityki państwowej wobec wschodniego sąsiada oraz mającej stanowić podstawę nowej tożsamości narodowo-historycznej. Wskutek tego osłabły, a nawet w niektórych dziedzinach zanikły rosjanoznawcze badania naukowe, wypierane przez agresywną publicystykę historyczno-polityczną, niekiedy wręcz prymitywną propagandę. (...)

Prof. Andrzej Andrusiewicz jest dziś bodaj ostatnim wybitnym badaczem Wschodu, polihistorem, konsekwentnie analizującym i opisującym nowożytną i nowoczesną przeszłość rosyjską. Czyni to od wielu lat w sposób kompetentny i nowatorski, dając niedościgniony wzór naukowego uprawiania wiedzy o skomplikowanych dziejach społeczeństwa i państwa rosyjskiego. I tylko on, dysponując niezwykle bogatym doświadczeniem badawczym, mógł się podjąć pokazania tak skomplikowanego i zafałszowanego obrazu dziejów rosyjskiego procesu rewolucyjnego. Dokonał tego na wysokim poziomie merytorycznym, przezwyciężając narosłe od wielu lat mity i stereotypy wokół dziejów rosyjskich rewolucji, zwłaszcza rewolucji bolszewickiej, determinujące nasze postawy i zachowania wobec nie tylko następnych pokoleń promotorów rosyjskich rewolucji, ale też w stosunku do wszystkich współczesnych ruchów progresywnych w świecie. Nadal bowiem twórców rewolucji oskarża się o wszelkie możliwe zbrodnie i winy. Co prawda, od przełomu ostatnich dwóch wieków następuje w świadomości społecznej rehabilitacja idei rewolucji i jej znaczenia w procesie przemian społecznych, o czym świadczą m.in. pojawiające się określenia rewolucji o pozytywnym zabarwieniu emocjonalnym, np. rewolucja goździków, rewolucja róż, błękitna rewolucja, pomarańczowa rewolucja itp., lecz nad rewolucją rosyjską nadal ciążą oskarżenia i negatywne osądy.

Na przekór więc dominującym fałszom i mitom autor odtwarza w sposób rzetelny i obiektywny obraz rosyjskiego procesu rewolucyjnego. I trudno się z nim nie zgodzić, gdy rozważa problem rewolucji rosyjskiej w kategoriach procesu dziejowego, a nie krótkotrwałego – kilkumiesięcznego bądź kilkuletniego – wydarzenia politycznego. Przedstawia go jako dzieło kilku pokoleń rosyjskich rewolucjonistów, usiłujących od lat 60. XIX w. aż po drugą dekadę następnego stulecia dokonać przebudowy stosunków rosyjskich i urzeczywistnić wówczas w wyniku splotu różnych czynników i przesłanek założone niegdyś cele. Toteż w perspektywie badawczej autora „Rok 1917" jawi się jako zwieńczenie dotychczasowych etapów rewolucji rosyjskiej i zarazem otwarcie nowego okresu w globalnym już procesie rewolucyjnym, nadal silnie oddziałującym na losy współczesności. I choć było to dzieło na wskroś rosyjskie, wyrosłe na specyficznym podłożu kulturowym i cywilizacyjnym Wschodu, ma z natury wymiar globalny i ponadhistoryczny. W jego bowiem narracji ruch i proces rewolucyjny jawią się jako dzieło konkretnych, żywych ludzi, mających swoje pragnienia i aspiracje bycia wolnymi i życia w wolnym społeczeństwie, podobnie jak wielu wówczas innych ludzi w krajach zachodnich. W imię idei wolności tysiące ich ginęło na szafocie lub zasiedlało łagry na bezkresnych obszarach Syberii. Porzucali dla sprawy wolności dostatnie i wygodne życie, jakie zapewniało im rodzinne środowisko, najczęściej szlacheckie i mieszczańskie. Stanowili najbardziej twórczą i posiadającą najwyższy poziom intelektualny grupę społeczną w społeczeństwie rosyjskim, niebędącą w stanie swych talentów i zdolności w pełni ujawnić i oddać służbie społecznej z powodu panujących stosunków politycznych, despotyzmu caratu. (...)

Wiele miejsca poświęca autor przypomnieniu roli w tym ruchu polskich rewolucjonistów. Czyni to nie bez powodu, gdyż w znacznym stopniu wywodzili oni swój rodowód ideowy z rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, tworząc przez pewien czas jego nieodłączną część organizacyjno-polityczną. I owe polskie wątki w obrazie rosyjskiego procesu rewolucyjnego rekonstruowanym przez prof. Andrzeja Andrusiewicza, przypominając nam o wspólnej przeszłości i wspólnych losach, jeszcze bardziej zachęcają do lektury wartościowego i nowatorskiego dzieła.

Fragmenty recenzji monografii Andrzeja Andrusiewicza *Buntownicy i marzyciele. O rewolucji, rewolucjonistach i terrorystach*, wydanej przez PRZEGLĄD.

eprasa.pl a2151ccb97

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dziabnięcie, a nawet ukąszenie

Drugie dziabnięcie – wszyscy się chwalą zdjęciami, ja jestem niefotogeniczny, to sobie napiszę, a co: przyjąłem drugą dawkę, odczekałem stosowny kwadransik w oczekiwalni na niepożądane nagłe skutki uboczne, które nie nadeszły, pojechałem do domu, żyję. Nazajutrz wokół punktu dziabnięcia rozrosła się opuchlizna; no, może jednak powinienem się sfotografować, nigdy nie miałem takiego bicepsa, ciepło, więc wygrzebałem koszulkę bez rękawów i chodzę dumnie po mieście, oczywiście właściwym bokiem do świata, tym nieszczepionym do muru, no niechże kto znajomy się napatoczy. „Kuczi, aleś napakował, szacun", co tam kultura, niech żyje kulturystyka, od biedy można to połączyć jak pisarz-syn-malarza Orbitowski. Ostatni raz mi tak coś spuchło, gdy na wakacjach w Połczynie osa nimfomanka rzuciła się na moje przyrodzenie, pielęgniarki przed podaniem surowicy spoglądały z niejakim podziwem na pożądliwie pożądlone miejsce, zdawało się, jakby chciały odwlec odczulanie.

No dobra, nachodziłem się, wracam, teraz superbicepsem w stronę witryn, napawam się, chwilo, trwaj, rozważam przyjęcie trzeciej dawki w drugie ramię dla symetrii, choć przecież wiem, że to estetyka głupców, wychodzi z mody, teraz nawet gimbaza nosi dwie różne skarpetki, och, wreszcie nie muszę się męczyć i furiacko przeklinać, wywalając zawartość szuflady w poszukiwaniu czegoś do pary. Starszy syn co prawda mi tłumaczy, że to tylko pozorne niedopasowanie, otóż skarpetki muszą się teraz łączyć tematycznie, a nawet narracyjnie, wyjaśnia mi to na zestawie kawowym: jeśli na lewej widnieją ziarna, na prawej muszą być np. filiżanki, czyli w tzw. międzystopiu doszło do sporządzenia naparu. Spoglądam na moje stopy, na jednej mam skarpetkę białą, na drugiej czarną, no to chyba jasne jak dzień i noc, wątków od groma, ale syn kręci nosem, że niezupełnie o to chodzi, ech, dajcie mi święty spokój.

W domu nagła słabocha, okazuje się, że nie mam siły, jakbym nocy nie przespał, a przecież chrapałem, były skargi poranne, czyli jest dowód, nawet przypominam sobie strzęp snu, oczywiście piłkarskiego, teraz są mistrzostwa i nadmiar oglądanych meczów rezonuje także w marzeniach sennych. Owóż śniło mi się, że przeciw polskiej reprezentacji wychodzi drużyna niewidomych i ogrywa nas niemiłosiernie, albowiem każdy niewidzący piłkarz ma swojego psa przewodnika, który groźnie warczy i szczerzy kły na naszych graczy, wskutek czego oni ze strachu wolą nie odbierać piłki rywalom.

Kładę się, pisać nie mam siły, więc może choć czytać, na pierwszą rocznicę śmierci Jurka Pilcha trwa wydawniczy festiwal jego twórczości, biorę do ręki biografię autorstwa Witolda Beresia, no ale to nie jest kategoria wagowa na dziś, kilogram bez mała, 800 stron prawie, nie dam rady tego utrzymać. Trochę już nadgryzłem, widzę, że książka powstała z miłości, wszyscy biografowie Pilcha byli w nim zakochani, tyle że w przypadku Katarzyny Kubisiowskiej była to miłość nieszczęśliwa, jej kilogram „Pilcha w sensie ścisłym" drążył słabości i małostki autora, odkrywał dokładnie to, co pisarz wolałby pozostawić zakryte; „Pilchu" Beresia jest śladem przyjaźni odwzajemnionej, biografią kumpelską, szczęśliwie nafaszerowaną ineditami, naznaczonymi iskrą bożą i frazą niepodrabialną, która po dziś dzień się odciska „pilchowskim ukąszeniem" na językach wielu jego bezwiednych epigonów. Odkładam Beresia, biorę lżejszą, lecz zarazem ważącą wiele więcej literacko „Autobiografię w sensie ścisłym, a nawet umownym", która pod zwodnym tytułem obiecuje niejakie wspominki, jest zaś rewelacyjną, jedną z lepszych Pilchowskich próz – ani zbiorem felietonów, ani wariacją diarystyczną, lecz tęgą powieścią o nieco eksperymentalnej formule. Jakoś umknęły mi te publikowane w latach 2013-2015 w „Tygodniku Powszechnym" odcinki, byłem wtedy zaprzątnięty życiem, a nie twórczością, czytam więc teraz tę rzecz na świeżo, poruszony tak bardzo szwungiem i mistrzowską formą autora, że tradycyjnie chce mi się do niego napisać esemesa pochwalnego, na którego nie odpisze, tłumacząc, że oddzwania, „bo nie trafia już, k… w klawisze". Postępy choroby Pilcha dały się we znaki jego formie literackiej, począwszy od „Zuzy…" ogłoszonej w 2015 r., tymczasem „Autobiografia…" powstawała jeszcze w trakcie ostatniej fali wzmożenia talentu, której zawdzięczamy „Wiele demonów" i „Drugi dziennik". Najkrócej mówiąc, Pilch wraca do Wisły, tej, którą znamy z jego najlepszych powieści, i rozsnuwa historie luźno oparte na tzw. wydarzeniach z życia wziętych, przy czym niepomiernie raduje się faktem, że w spisywaniu wspomnień utkwił na porodówce. Daje tym samym wyraźny sygnał, że najważniejsze w tej „autobiografii" jest dokładne opisanie wszystkiego, czego… nie zapamiętał. Jerzy Pilch znakomicie rozpoczął pośmiertny etap swojej twórczości.

Jerzy Pilch znakomicie rozpoczął pośmiertny etap swojej twórczości.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a2151ccb97

Rozmawia Rafał Pikuła

Ciało jako pole walki

Mamy problem ze swobodnym i naturalnym podejściem do własnego ciała

Słyszałaś o „Magii nagości"?

– W ogóle nie wiem, co to jest.

To popularny w Wielkiej Brytanii i Niemczech program, w którym nadzy ludzie oceniają się na podstawie swojej fizyczności. Miała być polska edycja, ale jej start wstrzymano.

– Nie dziwię się, że w Polsce pojawiły się protesty wokół takiego formatu, bo przecież u nas trudno o rozmowę na temat nagości bez histerii. Mamy 2021 r., a wciąż boimy się mówić o czymś tak bliskim i naturalnym jak ciało.

A ty piszesz książkę, w której jest bardzo dużo ciała, zarówno w kontekście erotycznym, zmysłowym, jak i biologicznym. Czy taka książka jest potrzebna w 2021 r.?

– Na pewno mnie była potrzebna ta książka, ale jak słyszę od pierwszych czytelniczek i czytelników – nie tylko mnie. Poza tym jest tak mało treści, które by w otwarty, nienaznaczony schematycznymi spojrzeniami sposób opowiadały o cielesności.

Ciało jest wiecznie na cenzurowanym.

Ciało jest wiecznie na cenzurowanym. W mediach można pokazywać wojnę, krwawą jatkę, ale nagości już nie. Ciało jest albo redukowane do obiektu seksualnego, i wtedy staje się tematem tabu, albo traktowane jako świątynia życia, a wówczas wchodzi w jakąś narrację mityczną. Mamy problem ze swobodnym i naturalnym podejściem do własnego ciała.

Jest oderwane od nas. Stało się publiczne i schowane zarazem.

– Na dodatek bywa zakazane, brudne, nieczyste. Dorastamy w kulturze, która uczy nas, by o ciele, cielesności nie rozmawiać. Nie dziwi więc, że tak wiele kobiet nie akceptuje swojego ciała, wstydzi się go, skoro nikt ich nie uczy akceptacji cielesności. Często w dorosłym życiu musimy wykonać wiele pracy, by odzyskać ciało, poznać je i zaakceptować.

System w tym nam nie pomaga. Nie mamy dostępu do aborcji, jesteśmy o krok od zakazania antykoncepcji, nasze ciało jest już sprawą publiczną. To paradoks: jest publiczne w sferze seksualności, ale prywatne, jeśli chodzi o leczenie, bo nie ma żadnego realnego wsparcia w rehabilitacji np. osób niepełnosprawnych.

– Tak, ciało jest publiczne, choć tylko wyrywkowo. Dziś jest polem walki, narzędziem do dyscyplinowania nas albo przedmiotem, wokół którego można nakręcić jakiś zysk. Nigdy natomiast nie jest po prostu nasze, naturalne, właściwie należy nie do nas, ale do państwa, Kościoła, biznesu. Jeżeli cieszymy się ciałem i realizujemy seksualnie, to jesteśmy rozwiąźli, jeśli nie mamy potrzeb erotycznych, to też coś z nami nie tak. Jesteśmy w ciąży, to jesteśmy podejrzane, bo może zaszłyśmy w ciążę, żeby pracodawca nam płacił zasiłek, a my nic nie będziemy robić. A gdy nie chcemy mieć dzieci, również jesteśmy podejrzane, bo wolimy seks bez zobowiązań i bez odpowiedzialności. Dlatego napisałam ten zbiór opowiadań, aby wreszcie zacząć o ciele i o seksualności mówić wprost, normalnie.

W nowej literaturze polskiej ciało jest albo wulgarne i erotyzowane, albo infantylnie pokazane. Brakuje poważnego podejścia. I tę lukę chcesz zapełnić?

– Tak, chociaż zdarzają się książki polskich autorek, które w niesztampowy sposób podejmują temat cielesności. Na pewno Zyta Rudzka potrafi interesująco pisać o ciele, o fizyczności, nie boi się tego. W „Krótkiej wymianie ognia" opisywała pragnienia seksualne dojrzałej kobiety, pokazywała jej stosunek do swojego ciała, które się zmienia, już nie jest ciałem młodej dziewczyny, ale to ciało, które jeszcze działa i chce. Czyli odzyskanie niewidzialnej kobiety, uczynienie jej widzialną.

Podobne intencje miałam, pisząc „Sezon…". Chciałam tymi narracjami odzyskać niewidzialne, ukryte i nieponazywane pragnienia, oddać głos kobiecie, która znajduje się w centrum opowieści, jest jej pierwszoplanową bohaterką, a nie seksualnym obiektem przygotowanym do skonsumowania.

„Sezon na truskawki" nie jest pierwszą książką, w której podejmujesz temat seksualności, cielesności. Wcześniej o podobnych sprawach pisałaś we „Frajdzie".

– Miałam niedosyt po „Frajdzie". Tym razem chciałam pójść krok dalej w opisywaniu zbliżeń, które niekoniecznie muszą oznaczać romantyczną miłość czy związek na całe życie, niekoniecznie muszą być schematycznymi relacjami typu mąż i żona czy dziewczyna i chłopak, mogą być ulotne, oparte tylko na fizyczności.

„Frajda" jest takim spojrzeniem na młodzieńczą fascynację. A tu mamy młodzieńczą i dojrzałą miłość, macierzyństwo i przyjaźń, napięcie erotyczne. To bardziej dojrzała wersja „Frajdy"?

– Może tak, ja też dojrzewam, ewoluuję, więc pewnie moje pisarstwo ewoluuje razem ze mną.

We „Frajdzie" jest więcej afirmacji, więcej ciepła, pogody ducha. W „Sezonie…" ciało jest już okiełznane. Czy to wiąże się z twoją zmianą postrzegania cielesności w ciągu lat?

– Na pewno. W trakcie pisania dużo daję z siebie. To nie znaczy, że opisuję swoje przygody, ale daję moje przemyślenia, emocje i mam taką refleksję życiową, że im jestem starsza, tym lepiej mi ze sobą. Wiadomo, że pewne rzeczy się zmieniają. Mija beztroska, fascynacja i ten cały dziki szał, które są przypisane do młodości, do odkrywania życia, gdy jest się dopiero na początku. Natomiast z upływem lat coraz bardziej czuję się wolna, przestało mnie interesować, kto coś sobie pomyśli, jak ktoś mnie oceni, jak wyglądam, co powiem. Dotarło do mnie, że ludzie są różni, nie jestem po to, żeby spełniać czyjeś oczekiwania, tak naprawdę jestem dla

eprasa.pl a2151ccb97

MARTA DZIDO
– pisarka i reżyserka, autorka zbioru opowiadań „Sezon na truskawki"

siebie. Moje szczęście zależy nie od innych, tylko ode mnie. To, jak ja będę się czuła, wypływa ze mnie.

Czy pisząc „Sezon…", chciałaś dać taką kontynuację „Frajdy" i odpowiedź na nią, jako już dojrzała kobieta?

– Trochę tak, chociaż staram się w każdym opowiadaniu znaleźć inny język, nieco inną formę. Każde było dla mnie wyzwaniem. Tak naprawdę jednak wszystkie opowiadania, tak przecież różne, mają wspólną bohaterkę. To kobieta, która się wyzwala, wszystko może, nic nie musi i jest jej z tym dobrze. I właściwie myślę, że trzeba przejść jakąś drogę, wykonać jakąś pracę, by się wyzwolić. Może są dziewczyny, które już na początku swojej drogi mają świadomość, że nic nie muszą, wszystko mogą, ale większość z nas jest ofiarami kultury, wychowania, które nie pozwala nam na radość z własnego ciała.

Piszesz w dedykacji: „Dla wszystkich dziewczyn, które być może znajdą tu kawałek siebie". Co w takim razie ta książka może dać mężczyznom?

– Ty mi powiedz.

Dla mnie to wejście w świat mniej znany. Świat seksualności kobiet, menstruacji, kobiecych sposobów mówienia o ciele. My, mężczyźni, w kontekście seksualności zamykamy się najczęściej w określeniach wulgarnych albo infantylnych. Było to więc odkrycie, jak kobiety mogą rozmawiać o seksualności.

– Myślę, że mężczyznom i kobietom tak samo brakuje języka mówienia o seksualności. Gdybym miała się zastanowić nad książkami napisanymi przez mężczyzn, w których byłby temat ciała czy seksualności, to nie jestem w stanie podać ci żadnego tytułu, który poruszałby tę tematykę i stawiał ją na pierwszym planie, a nie jako ozdobnik czy zdarzenie poboczne.

Takiej książki nie potrafiłby napisać mężczyzna. W mainstreamie i w naszej kulturze, która jest męskocentryczna, brakuje tego języka.

– Tak naprawdę dużo jest jeszcze do zrobienia na drodze do emancypacji mężczyzn.

Ale emancypacja wiedzie przez język.

– Oczywiście, bo to też kształtuje nasze myślenie o świecie. To, jak mówimy, sprawia to, jak myślimy; jak myślimy, tak czujemy. Jeśli sfera seksualności, ciała i intymnych zbliżeń jest opisywana tylko za pomocą słów wulgarnych, to jest ona sferą, którą uważamy za wulgarną, niewartą np. tego, żeby jej poświęcić książkę, albo sferą gorszą, złą. Jeśli coś jest wulgarne, to nie jest piękne – to się wyklucza. Wolimy nie powiedzieć, bo nie mamy słów, tylko te wulgarne, więc nie mówimy. A to sprawia, że tworzy się tabu.

Mamy mnóstwo świetnych pisarzy, ale żaden nie potrafi pisać właśnie w taki ciepły sposób o sferze seksualnej.

– Był kiedyś Bolesław Leśmian, a gdyby tak usiąść i wziąć sobie historię literatury polskiej, przemyśleć, gdzieś by tam się znalazło jeszcze kilku, którzy popełnili wiersz albo opowiadanie na ten temat.

Myślę, że niestety ta książka pójdzie do segmentu „literatury kobiecej".

– Na to już nie mam wpływu.

Prawdopodobnie będziesz miała wywiad w tzw. prasie kobiecej.

– To już od nas i też od ciebie zależy, jak o tej książce będzie się mówiło. Jeśli teraz się zastanawiamy i boimy, że wpadnie w szufladkę „literatury kobiecej", to może się nie bójmy i w ogóle nie poruszajmy tego. Z każdą moją książką był taki kłopot, nieważne, czy była o seksualności kobiet, czy napisana przed 20 laty poruszająca temat niechcianej ciąży, czy książka o bezrobotnej kobiecie na rynku pracy – była to tzw. literatura kobieca. Tylko dlatego, że była tam kobieca bohaterka. To chyba zadanie dla wszystkich krytyków, recenzentów, dziennikarzy: znaleźć inny sposób na opowiadanie o literaturze tworzonej przez pisarki, w której bohaterkami są kobiety.

> W mediach można pokazywać wojnę, krwawą jatkę, ale nagości już nie.

Gdybyś miała napisać zbiór opowiadań o podobnej tematyce, ale w duecie z mężczyzną, kogo byś zaprosiła do takiego projektu?

– Moją pierwszą myślą jest człowiek, który ma bardzo wielką wrażliwość, chociaż pisze o przyrodzie. Chodzi mi o Stanisława Łubieńskiego, który w przepiękny, czuły, afirmujący życie sposób pisze o naturze. Ale zauważ, że znowu potrzebowałabym mężczyzny, który mnie z tej szufladki wyciągnie. Znowu jestem zależna od jakiegoś faceta. A tego nie chcę.

Dla mnie idealną sytuacją byłoby, gdyby dziewczyny dały tę książkę swoim partnerom.

– Może. Po „Frajdzie" dużo osób do mnie pisało, że to książka o nich. Co zaskakujące, pisało wielu

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a2151ccb97

mężczyzn, których nie znam, a mówili, że to ich historia. W tamtych tekstach mężczyźni nie byli jednoznaczni. Byli zdobywani i zdobywający. Traktowani jak nowe przygody albo jako część większej, długotrwałej relacji, namiętności, niekoniecznie miłości, związku.

To kobieca opowieść o męskim doświadczeniu. Które opowiadanie było dla ciebie najważniejsze?

– Każde było inne, pisane w innym miejscu, w innym stanie. Często nie wiedziałam dokładnie, co napiszę, zaczynałam pisać i podążałam za opowieścią. Był moment, kiedy tych opowiadań było sześć i myślałam, że książka jest już skończona. Jednak zaraz poczułam niedosyt i pisałam ją dalej. Jest np. opowiadanie o fizycznym kontakcie matki z dzieckiem, jedności, która nagle się rozdziela na dwa byty. Jest tam dużo i fizjologii, i bycia razem, ale również odchodzenia; jest cielesność, ale daleka od erotycznej.

To opowiadanie dało całemu zbiorowi pełnię. W literaturze erotycznej jest pokazany seks, spotkanie, euforia, nie ma tego, co dalej, a konsekwencją bywa rodzicielstwo.

– Nie można tego oddzielić, a to chyba zbyt często zostaje oddzielone, jakby nie było wiadomo, skąd te dzieci się biorą.

Dużo jest jeszcze do zrobienia na drodze do emancypacji mężczyzn.

Bo tutaj mamy dwa światy: w jednym piszemy o seksie, ale bez macierzyństwa, w drugim jest błogosławiona ciąża, ale nie ma aktu. Ty po prostu zebrałaś te światy i próbowałaś pokazać różne odcienie cielesności.

– Chciałam wyjść dalej, poza oczywiste opowieści. W zbiorze jest tekst, którego akcja dzieje się ponad 70 lat temu, opowiada o miłości, fascynacji ludzi, którzy się poznają tuż po wojnie. Tam też jest inny język, bo zależało mi na tym, by oni mówili zwrotami typu: „serce mi się kraje" albo „nieba bym ci przychylił". Tam jest mniej cielesności albo, mówiąc inaczej, cielesność jest pokazana w innym kontekście, w kontekście wojny, że się przeżyło.

Czy ta książka jest dla ciebie przełomem i z czym może się wiązać?

– Książka by nie powstała, gdyby nie pandemia, która bardzo dużo mi zabrała, ale także wiele mi dała. To był dziwny czas. Czas, w którym nagle przestało się wokół mnie dużo dziać, straciłam możliwość wyjeżdżania, spotkań autorskich, urwały się projekty, stypendia. To się nagle zatrzymało i skorzystałam z szansy, że udało mi się z pomocą przyjaciół organizować coś w rodzaju minirezydencji, czy to w domku u kogoś na działce, czy w leśniczówce. Być może gdyby nie pandemia, nigdy nie miałabym czasu, żeby to napisać, zatrzymać się, zastanowić. Myślę, że dla wielu ludzi był to przełomowy czas zatrzymania. Wpływ na to miały również choroby czy śmierci bliskich, poczucie lęku o przyszłość. U każdego jakoś pozmieniała się hierarchia wartości.

Rafał Pikuła

Mamy nowego Króla Łgarzy

Kolejny, 38. Finał Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych w Bogatyni już za nami. Poprzedni Turniej Łgarzy – jak wspomniał prowadzący konferansjer i reżyser Artur Andrus – rozpoczął za sprawą panującej pandemii kulturalny lockdown, a tegoroczny konkurs otworzył sale widowiskowe dla publiczności – oczywiście z zachowaniem obowiązujących przepisów (bezpieczny dystans społeczny i maseczkowi widzowie).

Jury Turnieju postanowiło przyznać Tytuł Króla Łgarzy 2021Nibykabaretowi z Krakowa. Zwycięzcy otrzymali nagrodę finansową oraz Statuetkę

Zdaniem Jury - II miejsce zostało przyznane kabaretowi „Aj" z Krakowa, zaś III miejsce kabaretowi „Róbmy swoje" też z Krakowa. Wyróżniono także Grupę Kwiatkowski i Bank, również z Krakowa. Wszyscy Finaliści wyjechali z Bogatyni z nagrodami i dobrymi humorami, za co bardzo dziękowali organizatorom i sponsorom na swoich facebookowych „okienkach".

Nagrodę bogatyńskiej publiczności (Statuetkę „Szczupłego Andrzeja") zdobył kabaret Demakijaż z Torunia. W konkursie na tekst satyryczny 38. Turnieju Małych Form Satyrycznych w Bogatyni decyzją Juryl miejsce – czyli nagrodę finansową, statuetkę Złotego Kosy i tytuł Księcia Łgarzy – zdobył Witold Pelka za teksty „Coś za coś" i „Mikroreportaż o uspokojeniu".

Gościem specjalnym Finału była charyzmatyczna Joanna Kołaczkowska z zespołem. Trudno opisać kabaretowy kunszt artystki (słowo charyzmatyczny posiada aż 71 synonimów w słowniku synonimów), bo dzięki temu publiczność płakała ze śmiechu podczas jej występu.

Finał zakończył się piosenką, którą napisał w czasie trwania zmagań kabaretowych Artur Andrus. Tekst piosenki musiał zawierać wyrazy, które podała bogatyńska publiczność, a były to: kopalnia, łoś, gwizdek, skarpeta, TSUE i krecik. Tekst wyszedł niesamowity, szczególnie w obliczu ostatnich zawirowań dotyczących kopalni Turów i TSUE. Wykonanie improwizowanego utworu w stylu reggae przez Joannę Kołaczkowską było arcywesołym akcentem kończącym Turniej Łgarzy. Do przyszłego roku!

Henryk Izydorczyk

eprasa.pl a2151ccb97

MIĘDZY OKŁADKAMI

Zofia Gołubiew, Piotr Wasilewski
Nasz wspólny dom
Muzeum Narodowe w Krakowie w latach 2000-2015
NIMOZ, Kraków 2021

Nakładem Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zabytków ukazała się pięknie wydana książka przedstawiająca zmiany, jakie zaszły w krakowskim Muzeum Narodowym w latach 2000-2015, czyli w okresie, gdy jego dyrektorem była Zofia Gołubiew. A muzeum przez 15 lat jej dyrektorowania zmieniło się bardzo, doszły nowe oddziały, przeprowadzono wiele remontów, szukano nowych form kontaktu ze zwiedzającymi. Przygotowano też sporo ciekawych wystaw – każda została solidnie omówiona w tym wydawnictwie, z danymi dotyczącymi frekwencji, nie pominięto nawet popełnionych błędów. Jest to swoisty raport odchodzącej dyrektor tej zasłużonej placówki, mający pokazać, jak należy szukać nowego języka porozumienia z widzami i w jakim kierunku powinno zmierzać polskie muzealnictwo. Poza tym rzecz chwalebna, że zmiana na kierowniczym stanowisku w Krakowie dokonała się w sposób spokojny, pokojowy, czego nie można powiedzieć o niektórych innych polskich muzeach.

(ko)

NA EKRANACH

PIERWSZA KROWA

reż. Kelly Reichardt, pokazy specjalne w kinach

Gdyby Oscary przyznawano za najlepszą rolę zwierzęcą, krowa z tego filmu byłaby murowaną laureatką. Mućka z gracją prezentuje się na ekranie. Nie gapi się bezsensownie w kamerę, tylko – za każdym razem inaczej – reaguje na bohaterów, kucharza Cookiego i towarzyszącego mu Chińczyka. Jesteśmy w XIX-wiecznym Oregonie, gdzie panowie próbują wzbogacić menu traperów o słodziutkie ciasteczka. A do tego niezbędne jest mleko, które kradną od pierwszej w miasteczku krowy. Brzmi jak zaprzeczenie narracji na temat amerykańskich osadników i taki jest ten film. Reżyserka Kelly Reichardt przenicowuje pojęcie westernu, który gloryfikował maczyzm oraz działanie w imię litery prawa. Tu mamy wrażliwych mężczyzn z niższej klasy, którzy nie boją się naginać reguł, bo wiedzą, że zawsze mają siebie. Przy tym „Pierwsza krowa" ma silną antywyzyskową wymowę i proekologiczne przesłanie, więc sprawdza się też jako komentarz do tego, co za oknem.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

ODEJŚCIE MINETTIEGO

To piękny tekst, rzadki dowód dobrych uczuć Thomasa Bernharda do teatru i aktorów. Przede wszystkim do aktorów, a w tym przypadku do legendy niemieckiej sceny – Bernharda Minettiego, którego nazwisko dramaturg dał bohaterowi jednej z najlepszych swoich sztuk. W roli tej króluje Jan Peszek. Jako Minetti przybywa do hotelu w Ostendzie na domniemane spotkanie z dyrektorem teatru, by uzgodnić warunki występu. Krąży po hotelowym holu podniecony wizją powrotu na sceny po 30 latach wygnania. Ale dyrektor nie nadchodzi.

To wielka rola – pokaz siły, jaką potrafi wzniecać teatr, jaką dysponuje aktor o tak potężnej skali emocjonalnej i rozpiętości środków jak Jan Peszek. Wszystko w tej roli ze sobą współpracuje: słowo, gest, ruch, modulacja głosu, spojrzenie – istny gejzer sposobów usidlenia publiczności, z którą zawsze aktor się zmaga. Peszek odsłania niesłychanie trudną do ujarzmienia amplitudę uczuć, wątpliwości, lęków i sprzecznych dążeń, które się mnożą. Reszta aktorów towarzyszy artyście w roli świadków spowiedzi z czasów starości. Młodzi podpatrują Mistrza. Ale z boku przygląda mu się także Maestra – Małgorzata Zajączkowska, która z epizodycznej roli Damy tworzy majstersztyk. Kiedy już znużona szampanem Dama wsiada do hotelowej windy, jej ukłon i pożegnanie z Minettim prowadzą bohatera do kresu opowieści-losu. On też będzie musiał się pożegnać.

Tomasz Miłkowski

Thomas Bernhard, „Minetti. Portret artysty z czasów starości", tłumaczenie Monika Muskała, reżyseria Andrzej Domalik, Teatr Polonia, premiera 7 czerwca 2021

„Jeńczyna", dramaturgia Paweł Demirski, reżyseria Monika Strzępka, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, spektakl 7 czerwca w ramach Warszawskich Spotkań Teatralnych

JAK WYBRAĆ KOBIETĘ NA PREZYDENTA

Zasłużona dla polskiej dramaturgii współczesnej para Strzępka/Demirski nie ustaje w akcentowaniu absurdów naszej rzeczywistości społeczno-politycznej. W nowym przedstawieniu wzięła na warsztat życie seksualne Polaków, nie wyłączając żadnej ważnej grupy zawodowej, w tym kleru. Jednak najbardziej zaskakującym pomysłem na uzyskanie parytetu na stanowisku głowy państwa jest po prostu zabieg zmiany płci, któremu teoretycznie mógłby się poddać prezydent mężczyzna. Innym ważnym spostrzeżeniem jest nieumiejętność wysławiania się w tych delikatnych kwestiach, czyli „świntuszenia". Szkoda zatem, że spektakl jest dozwolony tylko od lat 18.

Bronisław Tumiłowicz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl a2151ccb97

Co się stało z naszym rokiem

Czy jesteśmy „straconym pokoleniem”, a ostatniego roku „nie było”? Brońmy się przed takimi określeniami

Roch Zygmunt

Koniec roku szkolnego to czas na podsumowania. Nie tylko moje pokolenie nie pamięta tak dziwnych i szalonych 12 miesięcy, nasi rodzice też nie doświadczyli czegoś takiego jak niemal roczne zamknięcie w domach.

W mediach mówi się o „roku, którego nie było”, o „straconym pokoleniu”. Czy rzeczywiście tego typu etykietki oddają stan faktyczny?

Jak było?

Na początku panowały dwie, na pozór sprzeczne, emocje: niepokój i euforia. Strach – wiadomo – o zdrowie. Nie tyle nawet swoje, bo młodzi przechodzą koronawirusa na ogół łagodnie, ile bliskich. Szczególnie że początkowo nie bardzo wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia. Wydaje się jednak, że potem – jakkolwiek dziwnie to zabrzmi – ten podskórny lęk stał się częścią codzienności.

Euforia zaś panowała krótko. Memy o „koronaferiach” przestały bawić po kilku tygodniach. W pierwszym momencie mogliśmy się cieszyć, że dwa tygodnie spędzimy w domu. Na nich się nie skończyło, choć takie było wówczas nasze przeświadczenie. Że dwa tygodnie odpoczniemy sobie w domu, sytuacja epidemiczna się uspokoi i jak gdyby nigdy nic wrócimy do normalności. Mimo że było to ponad rok temu, dokładnie pamiętam dzień, gdy premier Morawiecki ogłosił pierwszy lockdown (podówczas jeszcze słowo dla nas obce). W ramach szkolnych zajęć byliśmy w kinie na filmie „Sala samobójców. Hejter” w reżyserii Jana Komasy. Gdy wychodziliśmy z seansu, wśród koleżeństwa zrobiło się gwarno. „Morawiecki zamknął szkoły!”, mówił mi podekscytowany kolega. I tak bujaliśmy się do czerwca 2020 r., mniej lub bardziej wierząc, że jeszcze przed zakończeniem semestru zobaczymy się w salach.

Gdy jednak we wrześniu zasiedliśmy w szkolnych ławkach, a krzywa zakażeń rosła, ciążyło nad nami widmo powrotu przed ekrany. Znajomi z klasy siali defetyzm, licytując się, kiedy znów pozamykają nas w domach. Nie ukrywam, że mnie to irytowało. Chciałem wierzyć, że dłużej będziemy mogli cieszyć się tą względną normalnością. Dziś sądzę, że było to myślenie życzeniowe i w gruncie rzeczy oszukiwanie samego siebie.

> Memy o „koronaferiach” przestały bawić po kilku tygodniach.

Przyszła na nas kryska mniej więcej w połowie października. Gdy dzień przed przejściem na zdalne nauczanie żegnałem się z koleżankami i kolegami, złudzenia prysły. Zdałem sobie sprawę, że szybko się nie zobaczymy.

I tak się stało. Cokolwiek jednak by mówić, system zdalnego nauczania podczas drugiego zamknięcia był o niebo lepszy niż na początku. Po raz pierwszy (i, miejmy nadzieję, ostatni) na tak szeroką skalę wykorzystano narzędzia, które w czasach przedcovidowych miały służyć jedynie jako wspomagacze. Mam tu na myśli choćby platformy typu Google Classroom. Bez nich zdalna szkoła nie miałaby racji bytu. Co więcej, nauczyciele musieli dopiero nauczyć się pracy z nimi, ponieważ nikt wcześniej nie wymagał od nich umiejętności ich obsługi. Belfrom w ogóle należą się brawa za to, że jakoś, wspólnymi siłami, przebrnęliśmy przez ten trudny okres. A łatwo nie było ani nauczycielom, ani nam. Oni mieli przecież zdecydowanie więcej obowiązków niż normalnie, w dodatku często zacierała się granica pomiędzy pracą a odpoczynkiem. Przecież mejl od ucznia czy rodzica można odebrać równie dobrze w sobotę, nieprawdaż? Co zaś się tyczy nas, uczniów – czasem zwyczajnie mieliśmy dość. Przesiadywania całymi dniami przed komputerem, lekcji, które siłą rzeczy były mniej zajmujące i efektywne niż zazwyczaj, i braku kontaktu z osobami, z którymi do tej pory spędzaliśmy całe dnie.

Nasze samopoczucie falowało. Były momenty, gdy przybywało chęci do nauki, ale były i takie, gdy nie wychodziłoby się z łóżka, które stało się synonimem strefy komfortu.

Jak jest?

Mimo tych wad powrót do szkoły nie był dla dużej części powodem do przesadnej radości. Protest Uczniowski zbierał nawet podpisy pod petycją, której autorzy nawoływali do

FOT. DARIUSZ GORAJSKI/FORUM

eprasa.pl a2151ccb97

odmrożenia edukacji dopiero od września. „Nie widzimy sensu wracać do szkoły na ostatnie resztki roku szkolnego, nabawimy się tylko i wyłącznie stresu, a zwłaszcza ósmoklasiści i maturzyści!", pisali uczniowie. Głosy te – choć nie były odosobnione – wysłuchane nie zostały. Pierwsze dwa tygodnie powrotu normalnej edukacji odbyły się w ramach tzw. nauki hybrydowej, która w mojej szkole oznaczała tyle, że przez pierwszy tydzień do szkoły chodziła połowa uczniów, w drugim zaś kolejna. Po tym czasie wróciliśmy wszyscy.

Pierwsze dwa dni wydawały mi się wycieczką krajoznawczą. Chodziłem i oglądałem budynek, w którym nie byłem przez bez mała siedem miesięcy. Części uczniów towarzyszył również strach przed ewentualnym sprawdzaniem notatek albo dodatkowymi klasówkami. Uspokajano nas, że wracamy nie po to, by rzucić się w wir nadrabiania materiału, ale po to, by odnowić nadwątlone relacje. I rzeczywiście, lekcje – owszem – były, materiał przerabialiśmy, natomiast nacisk kładziono na bycie razem. Nie wszędzie jednak tak było. W niektórych placówkach ruszyło dzikie odpracowywanie okresu zdalnego nauczania, co było i nierozsądne, i nieskuteczne. Ile bowiem można przerobić w nieco ponad miesiąc, gdy wszyscy są zmęczeni?

> Belfrom należą się brawa za to, że wspólnymi siłami przebrnęliśmy przez ten trudny okres.

Jak będzie?

Nie ma chyba nikogo, kto nie cieszy się z wakacji. To będzie czas resetu, odpoczynku nie tylko od nauki, ale też – zaryzykuję – od pandemii. W pewnym sensie, rzecz jasna, bo wirus nie zniknie, trzeba zatem zachować ostrożność. W końcu jednak będzie można spotkać się w nieco większym gronie, gdzieś wyjechać. Znowu poczuć tak upragnioną normalność. Szczególnie że – co tu kryć – od września czeka nas ciężka praca.

Czy jednak jesteśmy „straconym pokoleniem", a ostatniego roku „nie było"? Brońmy się przed takimi określeniami. Po pierwsze, niczemu one nie służą poza psuciem i tak już nadszarpniętej psychiki młodych ludzi, którzy teraz raczej wymagają wsparcia, a nie spisywania na straty. Po drugie, ten rok był. Graliśmy tak, jak przeciwnik pozwalał, radziliśmy sobie wszelkimi możliwymi sposobami, by jakoś przez to przejść. I to jest moim zdaniem najcenniejsza nauka, jaką wynieśliśmy z tej pandemicznej lekcji – swego rodzaju odporność na trudne sytuacje. Oby jak najrzadziej była nam ona przydatna.

Roch Zygmunt jest uczniem I LO w Grudziądzu i młodym dziennikarzem. Publikuje w „Gazecie Młodych", lokalnym dodatku do „Gazety Wyborczej", i portalu „Gazeta Kongresy"

Jak Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Miedziowego korzysta z norweskich doświadczeń – cz. 2

Poprawa dialogu społecznego i współpracy trójstronnej w Polsce między związkami zawodowymi, organizacjami pracodawców i władzami publicznymi to główny cel prowadzonego przez Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Miedziowego projektu szkoleniowego. Pod patronatem Innovation Norway – operatora programu finansowanego przez Królestwo Norwegii – liderzy ZZPPM z grupy kapitałowej KGHM zapoznają się z dobrymi praktykami norweskimi dotyczącymi prawidłowej, wręcz wzorcowej polityki społecznej, jaką rząd i pracodawcy norwescy prowadzą z organizacjami pracowniczymi.

Norweski Mechanizm Finansowy, tzw. Fundusze Norweskie, to bezzwrotna forma pomocy zagranicznej przyznawanej od roku 2004 przez Norwegię nowym państwom członkowskim Unii Europejskiej. Program ten ma przyczynić się do lepszego radzenia sobie przez państwa beneficjentów z wyzwaniami związanymi z bezrobociem oraz z zapewnieniem warunków godnej pracy i płacy. W zamian za pomoc finansową Norwegia może korzystać z dostępu do rynku wewnętrznego UE, mimo że nie jest jej członkiem.

Polska, mimo przystąpienia do UE oraz implementacji unijnych dyrektyw dotyczących współudziału pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwem, nadal nie radzi sobie z prawidłowym, bezkonfliktowym dialogiem społecznym. Zauważalny jest brak wymiany informacji, konsultacji, negocjacji, wspólnego podejmowania decyzji przez partnerów społecznych. Tymczasem, co szczególnie podkreśla przewodniczący ZZPPM Ryszard Zbrzyzny, to właśnie poprzez dialog społeczny można rozwiązywać ważne problemy gospodarcze i społeczne oraz pomóc rządowi i sektorowi prywatnemu lepiej się zrozumieć, zarówno między sobą, jak i z przedstawicielami pracowników.

A szukać daleko nie trzeba, kilkugodzinny rejs promem lub lot samolotem i jesteśmy w innej rzeczywistości. Norwegia, mimo że jest królestwem, teoretycznie bardziej w naszym przekonaniu łasym na zawłaszczanie praw obywatelskich, jest dla nas, Polaków, niedoścignionym wzorem. Dialog społeczny ma tam długoletnią tradycję, rozwijał się w symbiozie z rewolucją przemysłową. I może właśnie dlatego zarówno Norwegia, jak i państwa tzw. starej demokracji są krajami o wyższym dochodzie i stopie życiowej swoich mieszkańców.

O tym i o wielu innych problemach społecznych debatują na cyklicznych spotkaniach liderzy ZZPPM. Dalszych informacji o przebiegu realizacji projektu, szukać prosimy w kolejnych wydaniach PRZEGLĄDU.

Norway grants

Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme "Social Dialogue – Decent Work".

Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca".

Innovation Norway

eprasa.pl a2151ccb97

Kanapka dla mózgu

Jeżeli źle się dzieje w jelitach, to za chwilę źle się będzie działo w głowie

Rozmawia Dorota Bartosewicz

PROF. EWA STACHOWSKA
– specjalista w dziedzinie żywienia człowieka, kieruje Zakładem Biochemii i Żywienia Człowieka Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie

Na ile to, co mamy na talerzu, potęguje nasze lęki i niepokój w czasie pandemii?

– W bardzo dużym stopniu. Sama mam teraz pacjentów z zaburzeniami jelitowymi, którzy jednocześnie mają zaburzenia lękowo-depresyjne, opisane w literaturze jako wywoływane właśnie przez mikrobiotę jelitową.

A dokładnie przez co?

– Przez wzrost względnej liczby gatunków bakterii prozapalnych, a także zmniejszenie ich ogólnej różnorodności. Opcją atomową, która sieje największe spustoszenie, jest w tym wypadku intensywna antybiotykoterapia, a także np. długotrwałe i trudne stany – stres związany z pandemią niewątpliwie może takie generować. W efekcie dochodzi do upośledzenia funkcji bariery jelitowej.

I co za tym idzie?

– Miejscowy stan zapalny, który z czasem nierzadko rozlewa się na cały organizm. Efektem jest wiele różnych chorób, którym towarzyszy np. podwyższony poziom cytokin prozapalnych. Dość powiedzieć, że ten ostatni obserwuje się także w zaburzeniach psychicznych: depresji, stanach lękowych czy chorobach neurodegeneracyjnych. Dlatego generalna zasada mówi: jeżeli źle się dzieje w jelitach, to za chwilę źle się będzie działo w głowie.

Są na to konkretne badania naukowe?

– Jest ich bardzo dużo, jak choćby te z wykorzystaniem psychobiotyków. To termin wprowadzony pięć lat temu przez uczonych z Irlandii do opisania mieszaniny szczepów bakterii, które mają zwiększyć syntezę neurotransmiterów i poprawić funkcjonowanie centralnego układu nerwowego.

Laurent Diop – bo to na jego analizę teraz się powołuję – po trzech tygodniach przebadał fizyczne objawy stresu, w tym to, czy badani cierpią na bezsenność i wybudzenia nocne, co jest teraz zmorą pocovidową. Ale też, czy mają kołatanie serca i problemy z koncentracją. Są zdemotywowani, obojętni. Okazało się, że wielu poczuło się lepiej po psychobiotykach. Więcej: wygasiły one przy okazji jelitowe objawy stresu, czyli ból brzucha i biegunki. Oczywiście w grupie z placebo część pacjentów też poczuła się lepiej, ale ich odsetek był mniejszy. To badania z 2008 r.

Nowszych danych nie ma?

– Jest też analiza z 2010 r. Michaël Messaoudi po raz pierwszy wykazał, że psychobiotyki łagodzą objawy psychiczne wywołane stresem. Udowodnił, że po 30 dniach badani mieli mniejsze objawy lęku i depresji. Ale, co ważniejsze, także mniejsze stężenie hormonu stresu – kortyzolu – w moczu; tutaj już nic nie można sobie wmówić.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a2151ccb97

Jak to w ogóle możliwe, że nasze zdrowie tak bardzo zależy od flory bakteryjnej?

– To efekt istnienia osi mózgowo-jelitowej. W tej koncepcji zakłada się, że wszystko, cokolwiek zjemy, będzie wpływało na mikrobiotę jelitową, a w ten sposób także na nastrój czy – szerzej – na nasze zdrowie psychiczne. Przy czym na funkcjonowanie połączenia między jelitami a mózgiem wpływa nie tylko dieta, ale też aktywność fizyczna (nadmierna również nie jest dobra) czy przyjmowanie – lub nie – leków i suplementów.

Czym jest oś mózgowo-jelitowa?

– To fizyczne i biochemiczne połączenie neuronów jelitowych i centralnego układu nerwowego, tak w największym skrócie. Tak! Jelita pokryte są gęstą siecią komórek nerwowych, takich samych, jakie tworzą korę mózgową. Może tam być nawet 100 mln neuronów. Mniej niż w mózgu, ale więcej niż w obwodowym układzie nerwowym.

Badania mówią, że z jelit do mózgu wędruje 90% impulsów nerwowych, w drugą stronę jedynie 10%.

– Nie przywiązywałabym się do tych danych, bo powstały raczej na rzecz artykułu mniej lub bardziej popularnonaukowego. Niemniej jednak z jelit do mózgu tych informacji trafia dużo więcej niż z mózgu do jelit. Dokładnie za to wiadomo, jak ta komunikacja wygląda. Na przykład krótkołańcuchowe kwasy tłuszczowe, tzw. SCFA, produkowane przez dobre bakterie jelitowe mają kapitalny wpływ na funkcjonowanie centralnego układu nerwowego. Dodatkowo działają przeciwzapalnie, regulują odpowiedź immunologiczną, biorą udział w tłumieniu alergii i astmy, a także w zapobieganiu chorobom autoimmunologicznym, a nawet otyłości.

A w drugą stronę jak to działa?

– Jeśli permanentnie doświadczamy stresu, to organizm produkuje duże ilości kortyzolu, co prowadzi np. do zespołu jelita przesiąkliwego – z jelita do krwiobiegu wędruje dużo różnych składników, których nie powinno tam być. A trzeba też pamiętać, że przecież nie są to nasze komórki, ale komórki obce, z którymi musimy żyć w symbiozie – dlatego mówi się, że mikrobiota to osobny narząd. Jest ich ok. 1,5 kg. Przy czym to nie tylko bakterie, ale też grzyby i wirusy oraz niektóre pasożyty (jeśli nie dają objawów, to mogą tam być). A ilość materiału genetycznego, który przenoszą, jest 150 razy większa niż ilość informacji zawarta w naszym genomie!

Na ile koronawirus może zaburzać tę komunikację?

– Jeśli choroba już się rozwinie, to również diametralnie zmieni mikrobiotę jelitową, w dodatku w bardzo niekorzystny sposób – może prowadzić nawet do uszkodzenia osi mózgowo-jelitowej. Będzie to mieć negatywny wpływ na funkcjonowanie mózgu; mogą się pojawić stany depresyjne i/lub stany lękowe, a także chociażby ataki paniki.

Pytanie tylko, czy to nie powikłanie neurologiczne wywołane samą obecnością wirusa, czy…

– …to wpływ wirusów na mikrobiotę jelitową, a potem tą drogą na oś mózgowo-jelitową? Tego jeszcze nie jesteśmy pewni. Choć o samej mikrobiocie wiemy naprawdę dużo. Jak choćby to że niektóre bakterie mogą być wykorzystywane do przewidywania ciężkości choroby – wirus SARS-CoV-2 ma duże powinowactwo do receptorów ACE2, których jest bardzo dużo w jelitach. W związku z czym jest to też miejsce jego wychwytywania. Ale jest jeszcze jedna niepokojąca rzecz. To działanie wirusa na mikrobiotę może być bardzo dogłębne. Do tego stopnia, że nie wróci ona do normy nawet wtedy, kiedy pacjent już wyzdrowieje. Jej odbudowa będzie wymagała czasu.

Nic dziwnego, że coraz bardziej palące staje się pytanie, jaka dieta będzie teraz najlepsza.

– Taka, która może stymulować wytworzenie „śródziemnomorskiego" jelita. Innymi słowy, przeciwzapalna, w wyniku której mikrobiota będzie bardzo różnorodna gatunkowo. Czytaj: duża będzie liczba bakterii z rodzaju *Bifidobacteria*, *Bacteroides*, *Prevotella*, a mniejsza tych z rodzaju *Firmicutes*.

Tyle teoria, co to oznacza w praktyce?

– Koniecznie trzeba jeść dużo warzyw, bo to żywność bogata w błonnik, czyli włókno niezbędne do syntezy SCFA, a także witaminę A i D, cynk oraz magnez. Do tego owoce, bo kluczowymi składnikami diety przeciwzapalnej powinny być również związki fitochemiczne – polifenole i związki flawonowe. To wszystko, co się znajduje pod skórką, w miąższu, gniazdach nasiennych, stymuluje wzrost (lub hamuje rozwój) określonych bakterii w okrężnicy, a także wykazuje silne właściwości przeciwutleniające. Zapobiega chorobom, ma działanie przeciwdrobnoustrojowe, przeciwzapalne. Przy okazji zmniejsza też ryzyko wystąpienia raka, chorób serca i cukrzycy.

Które owoce będą najlepsze?

– Jagodowe, czyli jeżyny, żurawina, czarna porzeczka, a także truskawki i maliny. Badania pokazały, że już porcja 30 g liofilizowanych jagód dziennie pozytywnie wpływa na nastrój dzieci i dorosłych. A jeśli mowa o warzywach, to, jak pokazuje ranking 50 produktów o najwyższych stężeniach przeciwutleniaczy, szczególnie polecane są: karczochy, szparagi, brokuły, a także fasola zielona, soja, groszek, soczewica i ciecierzyca oraz cebula, czosnek i pory.

Przeciwutleniacze są również w nasionach, korze lub liściach niektórych roślin.

– Oczywiście! Najwyższe ich stężenie mają orzechy włoskie i orzechy pekan. Z kolei najbardziej przeciwzapalnymi przyprawami są: oregano, imbir, cynamon i kurkuma, w dalszej kolejności czarny pieprz, pieprz cayenne i rozmaryn czy np. goździki. Przy czym wszystkie one mają także działanie prebiotyczne, co oznacza, że przyczyniają się do stymulacji wzrostu pożytecznych bakterii w jelicie.

Na liście top 50 można też znaleźć… czekoladę i czerwone wino.

Wszystko, co zjemy, wpływa na mikrobiotę jelitową, a w ten sposób także na nastrój czy zdrowie psychiczne.

W diecie nie może zabraknąć żywności fermentowanej ani ryb, które zawierają kwasy omega-3.

eprasa.pl a2151ccb97

– Gorzką czekoladę. Tak, jak najbardziej! W tym przypadku chodzi głównie o kakao, które nie będzie mordowane cukrami prostymi, bo to największy zabójca dla wszystkich organów. A nawet gdyby, co pokazało badanie napojów kakaowych, zawarte w nich flawonoidy i tak mogą pomóc zapobiegać problemom jelitowym związanym ze stresem oksydacyjnym, w tym powstaniu i rozwojowi raka jelita grubego. O poprawie nastroju i zdolności do koncentracji nie wspominając.

Z owoców najlepsze są jagodowe, czyli jeżyny, żurawina, czarna porzeczka, a także truskawki i maliny.

A czerwone wino?

– Pozytywnie wpływają na nas zawarte w czerwonym winie resweratrol i proantocyjanidyny. Mają działanie przeciwstarzeniowe i ochronne dla komórek mózgowia, bo zmniejszają odkładanie nieprawidłowych białek. Poza tym pomagają w formułowaniu pamięci długotrwałej. Problem jednak w tym, że w czerwonym winie zawarty jest też etanol – toksyczny dla mózgu nawet w najmniejszych ilościach. Dlatego czerwonego wina jako takiego nie możemy już rekomendować, chociaż wiemy, że zadziała pozytywnie. W małych ilościach, czyli do 14 g dziennie dla kobiet, a dla mężczyzn – dwa razy tyle, co odpowiada dwóm kieliszkom wina. Zamiast tego polecam zieloną herbatę. Jej aktywny składnik EGCG moduluje funkcje komórek odpornościowych, a także pomaga w tworzeniu i utrzymywaniu struktury mieliny, która osłania nerwy w mózgu i rdzeniu kręgowym.

Wróćmy do listy składników odżywczych – czego jeszcze w naszej diecie nie może zabraknąć?

– Dwóch grup produktów. Pierwszą jest żywność fermentowana – jogurty, kefiry, maślanki, a także kiszonki – które same w sobie uszczelniają barierę jelitową i poprawiają funkcjonowanie osi mózgowo-jelitowej, w tym zmniejszają objawy depresji. Badania wykazały, że już 100 g jogurtu dziennie daje podobną poprawę nastroju – redukcję intensywności odczuwania lęku i stresu – jak stosowanie wielogatunkowej kapsułki z siedmioma bakteriami probiotycznymi. Z kolei kiszonki dodatkowo pozytywnie wpływają na wytwarzanie witamin z grupy B, w tym ryboflawiny (witamina B_2), niacyny (B_3), pirydoksyny (B_6) i kwasu foliowego – czyli tych, których często brakuje u chorych na depresję.

Druga grupa to ryby, które zawierają kwasy omega-3 (można je znaleźć także w algach) i są niezbędne do prawidłowego funkcjonowania układu nerwowego. Chronią przed rozwojem depresji i mogą redukować ryzyko zaburzeń psychicznych, jak pokazały badania – nawet o 30%. Poza tym mają działanie przeciwzapalne. Oczywiście nie można zapominać też o pełnowartościowym białku, jajach, dobrej jakości mięsie (warto zawsze jeść je razem z produktami roślinnymi, bo negatywne skutki fermentacji białka w jelicie grubym są wtedy neutralizowane dobrą fermentacją produktów roślinnych) i np. dobrych tłuszczach.

Innymi słowy: dietą, którą powinniśmy stosować, jest polski wariant diety śródziemnomorskiej.

– Jemy wszystko to, co jest uprawiane u nas. Zdecydowanie! Warzywa – najlepiej sześć porcji dziennie, przy czym porcja to pół szklanki. Owoce – trzy porcje. Ziarna – porcja do każdego posiłku, ale nie więcej niż osiem dziennie. Ryby – dwa razy w tygodniu, a jeśli ktoś ma zaburzenia krążenia, to nawet pięć-sześć razy. Jajka – nawet codziennie, najlepiej cztery-siedem tygodniowo. Drób, rzadko czerwone mięso – najlepiej raz w miesiącu. Przecież dieta śródziemnomorska to była dieta biednych ludzi. Do tego oliwa lub inny dobry tłuszcz – każdy posiłek powinien być nim wzbogacony – i obowiązkowo od 1,5 do 2 litrów wody dziennie.

Polecane warzywa to: karczochy, szparagi, brokuły, fasola zielona, soja, groszek, soczewica i ciecierzyca oraz cebula, czosnek i pory.

A nie szybciej i łatwiej sięgnąć po bułeczki i batony, które pani wymyśliła, a które zawierają wszystkie niezbędne składniki?

– Nie, bagietki uniwersyteckiej i „batonu dla siedzących nerdów" nie stworzyliśmy, by regulować oś mózgowo-jelitową. One zostały skomponowane dla osób z niealkoholowym stłuszczeniem wątroby, na które coraz częściej zapadają osoby prowadzące siedzący tryb życia. Głównie pracownicy biurowi. Wszystko dlatego, że jeżeli coś złego dzieje się w jelitach, to pierwsza zawsze obrywa wątroba – negatywne składniki produkowane przez bakterie jelitowe bardzo zmieniają jej metabolizm. Tak czy inaczej, kolejny produkt mamy w planach. Pandemia zahamowała jednak dalsze prace i nie wiadomo, kiedy będzie w sprzedaży.

Skoro nie ma go jeszcze na rynku, to jak sami możemy zrobić „kanapkę dla mózgu"?

– Przepis jest prosty. Trzeba wziąć ikrę – jest bogata w kwasy omega-3, które są bardzo dobrze wchłaniane, wymieszać ją z awokado – ma dużo witamin rozpuszczalnych w tłuszczach – i dodać sok z cytryny, żeby to wszystko się nie utleniło. Na koniec dołożyć wodorosty i gotowe.

A nie ma jakiegoś polskiego odpowiednika?

– Niestety nie. Oczywiście możemy próbować z olejem lnianym (to prekursor kwasów omega-3) i siemieniem, ale to nie to samo. Nie zostały tak dokładnie przebadane jak omega-3. Na upartego jednak czymś, co bardziej może przemówić do Polaków, mógłby być twaróg z olejem lnianym, o którym mowa w przepisach dr Budwig (niemiecka chemik i aptekarka, fizyk, autorka książek o dietach). Do smaku dodałabym tylko trochę cebuli, można dorzucić też pomidorki. A jak dołożymy do tego kapsułkę tranu albo pastę z sardynki czy sardeli, nawet z puszki, co dwa-trzy dni, to tym lepiej.

A jeśli i to nie przypadnie nam do gustu?

– To można sięgnąć po leki dostępne na receptę, zawierające omega-3. Powinny mieć wyższą koncentrację kwasów i jednocześnie być wyczyszczone z metali ciężkich. I to też będzie bardzo dobry sposób na ich uzupełnienie.

Dorota Bartosewicz

eprasa.pl a2151ccb97

Sławomir Litwin

POLEMIKA

Łowiectwo to nie biznes, myśliwy to nie zabójca

Europejskie łowiectwo ma marginalny wpływ na spadek populacji ptaków

Jestem dyplomowanym ichtiologiem, rolnikiem, ekonomistą i wieloletnim myśliwym. Postaram się odnieść do głównych wniosków z rozmowy z biologiem i ornitologiem Adamem Zbyrytem pt. „Łowiectwo – zabójczy biznes" („P" nr 14): „Polowania nie mają żadnego pozytywnego wpływu na populację ptaków, środowisko, gospodarkę i zdrowie".

Ptasi kryzys to zjawisko występujące w całej Europie. Jeden z największych problemów ma Holandia. Wywołany jest on przez masowe naloty tysięcy gęsi. Tam problem gęgawy w okresie pierzenia rozwiązuje się nie przez zwiększony myśliwski odstrzał („zabójstwo"), ale przez masowe trucie ptaków za pomocą dwutlenku węgla.

Spadek liczebności populacji ptaków spowodowany jest dużymi przeobrażeniami w rolnictwie, leśnictwie i rybołówstwie. Duże powierzchnie monokultury zbóż, kukurydzy, zmniejszenie uprawy ziemniaków, likwidacja miedz – to główne powody spadku populacji np. kuropatw i zajęcy w Polsce i nie tylko.

Koła łowieckie w Polsce nie prowadzą dewizowych polowań na ptaki! Jesienią ub.r. Europejska Agencja Środowiska opublikowała raport na temat stanu przyrody w UE i stosowania dyrektywy ptasiej i siedliskowej w latach 2013-2018. Wskazano w nim na negatywną rolę myśliwych w odniesieniu do łownych gatunków ptaków. Podchwyciły to nieprzychylne łowiectwu media. Jednak przedstawiciele FACE (Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Łowiectwa i Ochrony) obalili ten fałszywy pogląd, stwierdzając, że łowiectwo europejskie ma marginalny wpływ na spadek populacji ptaków. Ocenia się go na zaledwie 0,6%. FACE podkreśliła, że przyroda europejska jest poddana różnorodnej presji, ale łowiectwo jej nie zagraża. Ten pogląd FACE dotyczy też polskiego łowiectwa.

Środowisko. Polska ma 85 tys. ha siedlisk wodno-błotnych, w tym stawów rybnych. Największe, najbardziej znaczące siedliska zwierząt wodno-błotnych, a więc i ptaków, znajdują się na stawach rybnych. Ptasie eldorado w Polsce to głównie Milicz – (4,5 tys. ha stawów), ale też Łyszkowice, Psary i wiele innych

Łowiectwo
– zabójczy biznes

gospodarstw rybackich. Stawy rybne to nie tylko miejsce hodowli karpia, ale bardzo cenne, specyficzne, sprzyjające przyrodzie siedlisko, głównie dla zwierząt wodno-błotnych, a ptaków w szczególności.

Gospodarka. Dzikie zwierzęta, w tym ptaki bytujące na stawach i polach, powodują znaczące szkody. Potwierdzają ten fakt badania naukowe instytutów rolniczych, np. wyliczenia prof. Janusza Guziura z Instytutu Rybactwa Śródlądowego. Rolnicy i rybacy z własnej kieszeni dokarmiają na stawach ptaki łowne i chronione, co kosztuje 847 zł/ha. Kormoran czarny na stawach to często wręcz dramat dla hodowcy ryb. Dzienna dieta dorosłego kormorana to 0,7-1 kg ryb.

> Kormoran czarny na stawach to często wręcz dramat dla hodowcy ryb.

W 2010 r. populacja kormorana w Polsce liczyła 140 tys. sztuk, co oznacza, że ten ptak skonsumował 2,4 mln kg ryb x 10 zł/kg = 24 mln zł. Podobne straty powodują na polach gęsi. Głównie na polach w obrębie Słońska (rezerwat ptasi), ale także w rejonach gospodarstw rybackich, głównie Milicza. Rolnicy nie otrzymują żadnego odszkodowania za straty poniesione z tego tytułu na polach i stawach.

Łowiectwo to także zdrowie dla 125 tys. myśliwych. Swoją pasję do łowiectwa i wynikające z tego liczne obowiązki myśliwi realizują, obcując z przyrodą, zamiast siedzieć przed telewizorem. Każdy statut koła łowieckiego przewiduje wykonywanie prac społecznych na rzecz łowiska w celu poprawy bytu zwierząt. Ostatni „krzyk mody" to prace myśliwych przy budowie gniazd dla dzikich kaczek na stawach. Jedyną nagrodą myśliwego za przepracowane dniówki w obwodzie łowieckim jest dokonanie odstrzału (zgodnie z planem rocznym koła). Pozyskana na polowaniu indywidualnym bądź zbiorowym zwierzyna stanowi własność koła. Myśliwy może ją odkupić na użytek własny. Ale o tej zasadzie społeczeństwo wie niewiele.

Czy w tej sytuacji można głosić pogląd, że „łowiectwo to zabójczy biznes"?

I jeszcze jedna ciekawostka. W Czechach dokonano drobiazgowej analizy i okazało się, że w 2006 r. bilans łowiectwa przyniósł straty w wysokości 645 mln. Podobny bilans w Polsce wykazał również stratę. Na przykład w Okręgu PZŁ w Chełmie w 56 obwodach łowieckich myśliwi dopłacili za rok 2016 do każdych 100 ha dzierżawionego obwodu łowieckiego 130 zł.

Wierzę, że ta garść wiedzy o znaczeniu problemów łowiectwa pozwoli przeciętnemu Polakowi zrozumieć, że łowiectwo to nie biznes, lecz ważna dziedzina społeczno-gospodarcza funkcjonująca w każdym kraju. Łowiectwo znalazło swoje miejsce również w Unii Europejskiej, o czym świadczy także to, że zajmuje się nim FACE, która podejmuje istotne sprawy dla europejskiego łowiectwa. Polska ma w FACE swojego przedstawiciela.

Sławomir Litwin jest członkiem trzech kół łowieckich, Związku Producentów Ryb – Poznań i Towarzystwa Przyrodniczo-Łowieckiego „Modrzewina"

eprasa.pl a2151ccb97

Jazda bez trzymanki

Autonomiczne samochody mają się pojawić na drogach do 2030 r. Czy to dobrze?

Mateusz Mazzini

Niemal każda z wiodących projekcji przyszłości zawierała ten element – rewolucję transportową. Polegała ona najczęściej na oderwaniu ludzkości od ziemi i przeniesieniu ruchu gdzieś w przestworza. Pisarze, futurolodzy czy rysownicy wychodzili z założenia, że tam, na dole, nie będzie już wystarczająco dużo miejsca, więc w górę pójdziemy nie tylko z budownictwem mieszkaniowym, ale nawet z korkami. Czasem ten motyw przyjmował formy dystopijne, kiedy możliwość podróżowania ponad głowami biedoty zarezerwowana była dla bogatych. Jeszcze inne popularne wyobrażenie zawężało transport do jednoosobowych kapsuł, przenoszących mieszkańców świata przyszłości z miejsca na miejsce praktycznie bez żadnej infrastruktury. Bez względu jednak na to, czy ruch odbywał się na drodze, na chmurce czy w przeszklonej tubie, wizje te były prawie jednoznaczne. Pojazd, którym człowiek się przemieszczał, nie był przez niego kierowany – wyręczał go w tym automat.

Wiele z tych komiksowo-książkowych inwencji nigdy nie wyszło poza papier, przynajmniej na razie. Samobieżne pojazdy osobowe stanowią więc pod tym względem wyjątek. Podczas gdy o pełnej sztucznej inteligencji, personalnych urządzeniach do teleportacji lub aparaturze pozwalającej na czytanie innym w myślach wciąż możemy co najwyżej fantazjować, samochody, do których prowadzenia już nas nie potrzeba, są jak najbardziej na wyciągnięcie ręki. Ale, jak to często bywa z wynalazkami o tak przełomowym wymiarze, sensacyjne doniesienia o rewolucjach nie zawsze pokrywają się z rzeczywistością. Przynajmniej nie od razu.

Bo co to właściwie znaczy, że samochód jest autonomiczny? SAE International, amerykańska organizacja zrzeszająca inżynierów transportu i ekspertów zajmujących się rozwiązaniami technologicznymi w samochodach, podkreśla niemal w każdej publikacji, że z autonomicznością pojazdów jest jak ze sztuczną inteligencją. Na pewnym poziomie już istnieje, ale pełnej wersji, z wszystkimi oczekiwanymi funkcjami nie udało się dotąd osiągnąć. SAE wyróżnia więc pięć stopni automatyzacji procesu prowadzenia samochodu. Pierwszy nie ma tak naprawdę nic wspólnego z samoprowadzącym się pojazdem, bo na tym poziomie jedyne, co komputer pokładowy jest w stanie zrobić, to poinformować nas, że zjeżdżamy z naszego pasa ruchu bez migacza. Drugi poziom, znany sympatykom motoryzacji np. z niektórych modeli Tesli, utrzyma już pojazd na drodze, wykona podstawowe manewry: wyhamuje, skręci, wrzuci kierunkowskaz. Kierowca musi być jednak w ciągłej gotowości do przejęcia sterów, bo zdolność prowadzenia przez komputer oparta jest na dobrych warunkach pogodowych i znajomości terenu dzięki mapom satelitarnym, a to jest możliwe tylko na stałych trasach przejazdu. Na poziomie trzecim, podkreśla SAE, zaczynają się schody, bo kierowca ceduje część kwestii bezpieczeństwa właśnie na autopilota. Jazda w deszczu, w ciemnościach, po bardzo krętej drodze – to wszystko teoretycznie może już należeć do kompetencji komputera. To dużo, aczkolwiek wciąż nie oddaje w ręce automatu pełnej kontroli nad pojazdem, chociażby wtedy, kiedy zbacza

eprasa.pl a2151ccb97

z głównej drogi na nieoznakowany szlak albo jedzie po obszarze wolnym od jakichkolwiek ciągów komunikacyjnych. Głównym problemem na tym etapie jest zaufanie kierowcy do komputera, które – podobnie jak do innych elementów automatyzacji w transporcie, np. w pełni automatycznego pilota samolotów pasażerskich – pozostaje mikre.

Według badań przeprowadzonych przez portal technologiczny The Next Web jedynie 36% Amerykanów jest dzisiaj gotowych oddać całkowitą kontrolę nad swoim samochodem programowi komputerowemu. Aż 44% respondentów przyznało się z kolei, że wobec samej idei samochodów autonomicznych odczuwa mało pozytywne emocje: niepewność (30%) lub wręcz strach (14%). Przebija z tych statystyk nie tylko lęk przed nowym, ale i niewiedza. Autorzy badania podkreślają, że w wielu przypadkach ankietowani nie do końca byli świadomi, czym jest autonomiczność samochodów, i od razu zakładali, że mowa o pojeździe w pełni kontrolowanym przez sztuczną inteligencję, nad którym człowiek nie miałby żadnej kontroli, nawet gdyby zechciał ją przejąć.

Niektórzy producenci samochodów, np. Ford i BMW, celowo pomijają poziom trzeci w łańcuchu rozwoju swoich produktów. Zakładają bowiem, że im szerszy zakres możliwości autonomicznego pojazdu, tym większe prawdopodobieństwo, że potencjalny klient mu zaufa. Zamiast więc dzielić się z komputerem obowiązkami, użytkownik może z miejsca wszystkie mu przekazać. Na tym właśnie polega poziom czwarty, który najprościej podsumować stwierdzeniem, że w tak wyposażonym wozie kierowca może spać za kółkiem. Za wszystko odpowiedzialny jest automat, który poradzi sobie nawet na nieoznakowanej drodze. Oczywiście kierowca może ograniczyć niezależność komputera, np. nakazując mu przejście w tryb ręcznego sterowania po zmroku albo w przypadku robót drogowych czy innych niewidocznych na mapach satelitarnych zmian terenu. To jednak ruch nieco sprzeczny z samą naturą tego projektu, bo po to tworzy się autonomiczne samochody, żeby wyręczały człowieka w najtrudniejszych sytuacjach. Wyżej od auta pozwalającego zasnąć za kierownicą jest już tylko poziom piąty, oznaczający pełną autonomiczność. W tym miejscu materializują się zatem wizje fantastów, bo taki samochód wszystko zrobi sam.

Kiedy stanie się to rzeczywistością, w dodatku powszechną? W grudniu 2020 r. Elon Musk zapowiedział, że Tesla wypuści na drogi w pełni autonomiczny pojazd już w 2021 r. Na razie nic nie wskazuje, że wizja multimiliardera się sprawdzi. W tej chwili, używając taksonomii SAE, jego samochody są dopiero na drugim poziomie autonomicznego zaawansowania. Przeskoczenie w kilka miesięcy trzech, w dodatku najtrudniejszych poziomów, do piątego, jest mało realne – nie tylko technologicznie.

Za wszystko odpowiedzialny jest automat, który poradzi sobie nawet na nieoznakowanej drodze.

Wokół wehikułów autonomicznych istnieje masa przeszkód natury prawnej, które muszą zostać rozwiązane, zanim auta tego typu wyjadą na drogi. Jeśli spowodują wypadek, kto ponosi odpowiedzialność? Czy można zezwolić im jeździć bez żadnego pasażera w środku? Jak je opodatkowywać? Czy z definicji powinny być zeroemisyjne? W żadnej z tych kwestii nie ma nawet prawnego porozumienia, nie mówiąc o odpowiednich przepisach uchwalonych w USA na poziomie federalnym. Możliwe więc, że Musk prędzej postawi stopę na Marsie, niż zobaczy ulice amerykańskich miast wypełnione samokierującymi się pojazdami.

Znacznie bardziej prawdopodobna jest data pomiędzy rokiem 2025 a 2030. Na ten okres wypuszczenie swoich w pełni niezależnych modeli planuje większość koncernów, w tym Ford, Fiat-Chrysler, Renault-Nissan oraz producenci azjatyccy. Jednak wciąż będą to raczej wyjątki niż reguła. Na masowe kupowanie autonomicznych pojazdów przyjdzie nam poczekać mniej więcej do roku 2050, szacuje portal The Car Advice. Dopiero wtedy koszty produkcji spadną na tyle, by samochód kierowany przez komputer był opcją niekoniecznie tylko dla kilkuset najbogatszych osób w kraju.

Moment ten niewątpliwie oznaczać będzie rewolucję w transporcie, ale czy w czymś jeszcze? Wszystko wskazuje, że tak, bo zmiana sposobu przemieszczania się wpłynie na wiele innych płaszczyzn życia. Z pewnością pojawią się korzyści, takie jak mniejsza liczba wypadków drogowych. Z drugiej strony samochody w całości skomputeryzowane staną się popularnym celem cyberataków, pewnie bardzo często śmiertelnych. Od nowa stworzony zostanie rynek polis ubezpieczeniowych, bo kiedy autonomiczne pojazdy się upowszechnią, ubezpieczenie starego auta zapewne będzie niewyobrażalnie drogie.

Możliwe też, że inaczej będziemy patrzeć na samą kwestię posiadania samochodu – skoro wszystkimi jeździ się tak samo łatwo, po co mieć go na stałe i trzymać na parkingu? Autonomiczność pojazdów będzie jednak miała konsekwencje niezwiązane z samą jazdą. Może np. uderzyć w medycynę, a dokładniej w transplantologię. Dziś bardzo wiele organów używanych do transplantacji, w niektórych kategoriach nawet większość, pozyskuje się właśnie od ofiar wypadków drogowych. Zmniejszenie ich liczby bez wątpienia byłoby dobre, choć na poziomie szczegółu wywołałoby spore turbulencje. Rewolucja transportowa, jak każda inna, nie będzie więc całkowicie bezbolesna.

m.mazzini@tygodnikprzelad.pl

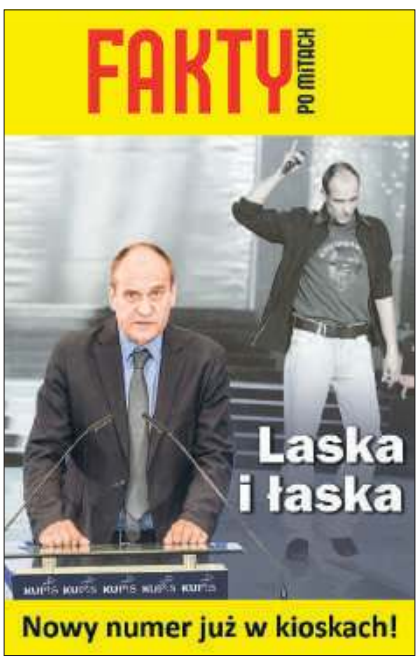

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a2151ccb97

Dziwidło olbrzymie (*Amorphophallus titanum*)

Dziwidło
i inne dziwadła

13 czerwca w Ogrodzie Botanicznym UW zakwitło dziwidło olbrzymie (*Amorphophallus titanum*) – roślina tropikalna, której kwiatostan można podziwiać raz na kilka lat. Pochodzi z wilgotnego lasu równikowego Sumatry. Dziwidło przyciąga owady, które mają zapylać jego kwiaty, intensywnym zapachem padliny. Podobnie nieprzyjemnie pachną bukietnica (*Rafflesia keithii*) i piestrzennik (*Hydnora africana*). Natomiast dwulistnik muszy (*Ophrys insectifera*) wydziela feromony. Kwiaty storczyka małpiego (*Dracula simia*) pachną z kolei jak dojrzałe pomarańcze. Nietypowy kształt, przypominający dziecko zawinięte w pieluszki, ma orchidea owinięte niemowlę (*Anguloa uniflora*).

FOT. SHUTTERSTOCK (4), ŁUKASZ SZCZEPAŃSKI/REPORTER, WIKIPEDIA

eprasa.pl a2151ccb97

Storczyk małpi (*Dracula simia*)

Piestrzennik (*Hydnora africana*)

Dwulistnik muszy (*Ophrys insectifera*)

Bukietnica (*Rafflesia keithii*)

Owinięte niemowlę (*Anguloa uniflora*)

eprasa.pl a2151ccb97

Regina Dachówna

Karolinie Konopko skok dał poczucie wolności, dodał wiary w siebie.

Skoki marzeń

Kiedy opada się na spadochronie, można spojrzeć z góry na wózek inwalidzki i wyobrazić sobie, że nie będzie potrzebny

Marzenie jest wielkie i, wydawałoby się, nierealne. Chęć, by na chwilę wyzwolić się z wózka inwalidzkiego, znaleźć się w powietrzu, poczuć lekkość, swobodę i lecieć jak ptak, jest przemożna. Kiedy jest się wysoko w górze, można spojrzeć na sprzęt inwalidzki, który stoi na dole, i wyobrazić sobie, że przez moment nie będzie potrzebny.

Marzycieli jest wielu, ale na skok ze spadochronem do Arnolda Schneidera, tandempilota, zgłasza się rocznie kilkanaście osób niepełnosprawnych. Z powodu choroby (najczęściej cierpią na zanik mięśni lub są po wypadkach) nie mogą chodzić, telefonują też osoby niewidome. Skakać chcą i młodzi, i starsi. W sezonie, od marca-kwietnia do listopada, w sumie skacze ok. 250 osób, sprawnych i niesprawnych. Dla wszystkich taki skok jest wielkim przeżyciem, zawsze towarzyszą mu emocje, jednak dla osób uwięzionych w wózkach inwalidzkich pokusa doświadczenia swobody ruchu jest wyjątkowa.

Żeby skoczyć z samolotu z wysokości 3000 m, trzeba najpierw dać się przywiązać specjalną uprzężą do Arnolda Schneidera (pseudonim „Krawiec") i bezgranicznie mu zaufać.

Spadochron zamiast szybowca

Arnold Schneider zainteresował się skokami już jako uczeń szkoły zawodowej. Wraz z kolegą chciał się zapisać do sekcji szybowcowej, ale w Aeroklubie Ziemi Lubuskiej w Przylepie pod Zieloną Górą usłyszeli, że są za młodzi. Za to mogli wstąpić do sekcji spadochronowej. Tak zrobili, zaczęli skakać. Kolega skoczył 10 razy i zrezygnował. Arnold został. Kolejna szansa skoków pojawiła się, gdy był w wojsku. W Wojskowym Klubie Sportowym Grunwald w Poznaniu, gdy został sportowcem zawodowym, zdobył wicemistrzostwo Polski w wieloboju spadochronowym. By zostać wicemistrzem w tej konkurencji, trzeba zwyciężyć w biegu przełajowym na 3 km, w pływaniu stylem dowolnym na 50 m lub 100 m, skoczyć dobrze na tzw. celność lądowania (indywidualnie i grupowo) oraz celnie strzelać z kbks.

W Polskiej Spadochronowej Kadrze Narodowej był trzy lata. Od 2001 r. jest instruktorem spadochronowym, uprawnienia do skakania w tandemie zdobył w 2004 r. Potem jeszcze zrobił uprawnienia mechanika spadochronowego. Skacze 35 lat.

Skoki w tandemie z osobami niepełnosprawnymi są trudniejsze niż z osobami zdrowymi. Do każdego trzeba specjalnie się przygotować. Arnold Schneider najpierw poznaje kandydata na skoczka i jego schorzenie, bywa, że konsultuje się z lekarzem prowadzącym i rehabilitantem. Długo rozmawia z chętnym, buduje w nim zaufanie. Wyjaśnia, jakie są sposoby zabezpieczenia przed nieudanym skokiem, bo przecież każdy skok musi się udać.

Zabezpieczeniem jest system produkcji amerykańskiej, którym dysponuje. Składa się na niego uprząż, dwa spadochrony (główny i zapasowy) oraz zabezpieczenie elektroniczne (automat). Zdarza się, że spadochron główny nie otworzy się prawidłowo, wówczas Arnold odpina go i uruchamia zapasowy. Dotychczas zdarzyło mu się to chyba z pięć razy.

Do skoków korzysta z dwóch samolotów – z An-2, czyli z antonowa, popularnie nazywanego antkiem lub kukuruźnikiem (służy głównie do gaszenia pożarów i wykonywania oprysków), oraz z GA8 Airvan, konstrukcji i produkcji australijskiej.

Samolot australijski kupił trzy lata temu pilot i skoczek spadochronowy Tomasz Bazylewicz, przyleciał nim z Australii. Mieszka w Przylepie, prowadzi firmę transportową, a nabytek australijski udostępnia Aeroklubowi Ziemi Lubuskiej.

– Poleciałem do Australii, kupiłem nowy samolot, bo antki już się zestarzały, a Arnoldowi pilnie potrzebny był samolot – mówi Tomasz Bazylewicz. Właśnie kończy hangar, w którym stanie australijski zakup. Powrót z Australii, ze śródlądowaniami i przystankami, trwał trzy tygodnie. Z Arnoldem znają się od 26 lat. – Jest dla mnie wzorem – nie ukrywa Bazylewicz.

Dzięki Arnoldowi Schneiderowi osoby niepełnosprawne mogą poczuć prawdziwą wolność.

Pierwszy był Mateusz

Mateusz Rządkowski mieszka w Klenicy, wsi pod Zieloną Górą, w której dzieciństwo spędziła Olga Tokarczuk. Gdy chodził do szkoły, na lekcjach rysunków całą uwagę skupiał na odtworzeniu sylwetek samolotów. Rysował, malował samoloty,

eprasa.pl a2151ccb97

to stawało się jego pasją. W II klasie szkoły podstawowej przestał chodzić, usiadł na wózku inwalidzkim. Jest jedynakiem, rodzice dość wcześnie dowiedzieli się, że ich syn cierpi na chorobę genetyczną, dystrofię mięśniową Duchenne'a, czyli na postępujący, nieuleczalny zanik mięśni. Mateusz od wczesnego dzieciństwa marzył o skoku spadochronowym. Rodzice chcieli spełnić jego marzenie i w tej sprawie zwrócili się do Fundacji Mam Marzenie. Lekarz w fundacji orzekł, że przy tej chorobie skok nie jest możliwy. Na osłodę fundacja sfinansowała chłopcu wyjazd do Disneylandu pod Paryżem. Pobyt w Paryżu i w Disneylandzie podobał mu się, ale nie było to spełnienie jego największego pragnienia.

Arnold Schneider o Mateuszu dowiedział się przypadkiem. Któregoś dnia znajoma powiedziała: – Wiesz, niedaleko Zielonej Góry mieszka chłopak, który marzy o skoku.

Arnold postanowił odnaleźć tego marzyciela.

Schneider jest jednym z niewielu tandempilotów w Polsce, którzy uprawiają skoki spadochronowe z osobami niepełnosprawnymi. Na lotnisku w Przylepie pod Zieloną Górą, gdzie skacze, jest ich dwóch.

Odnalazł Mateusza, porozmawiał z nim i dał nadzieję na skok marzeń.

– Miałem wtedy 10 lat i mogłem skoczyć. Skoczyłem nawet dwa razy. Był rok 2006. Dziś nie byłoby to możliwe, bo mam metalowe pręty w kręgosłupie – mówi Mateusz i pokazuje zdjęcia z tamtego wydarzenia. Pamięta, że bał się, gdy siedział już na progu samolotu przy otwartych drzwiach i gdy spojrzał na ziemię z wysokości 3450 m. Potem był krótki lot bez spadochronu z szybkością 200 km/godz. i wreszcie niepowtarzalna przyjemność – powolne opadanie po otwarciu spadochronu, przepiękne widoki i poczucie swobody ruchu. „Leciałem jak ptak", napisał w liście, dziękując za skok.

Tamto wspomnienie jest wciąż żywe, tym bardziej że kontakty z Arnoldem Schneiderem zostały utrzymane. Mateusz i jego rodzice mówią nawet o przyjaźni. Dla Mateusza znajomość z Arnoldem jest formą nobilitacji. O skoku spadochronowym dowiedziała się cała wieś, w ślad za nim poszło kilka miejscowych osób. Osiemnastkę obchodził hucznie, pojawiło się sporo rówieśników, a na uroczystość przyjechał Arnold Schneider z żoną.

W tym roku trwa pandemia, jest zimno, nawet na podwórko nie można wyjechać wózkiem inwalidzkim. Mateusz siedzi w domu, oddech wspomaga specjalnym aparatem.

Jakie marzenia ma dziś?

– Chciałbym dożyć do trzydziestki – mówi.

Wielka przyjemność, ale za krótka

23-letnia Agnieszka Gałek wraz ze starszą o trzy lata siostrą mieszkają w domu pomocy społecznej w Zielonej Górze. Obie cierpią na SMA, czyli na postępujący rdzeniowy zanik mięśni. Spośród sześciorga rodzeństwa tylko one dwie dotknięte są tym schorzeniem. Nie chodzą.

Agnieszka mówi: – Mam wózek elektryczny, jeżdżę. Tu są ludzie starzy, niektórzy z demencją, nawet nie ma z kim porozmawiać.

Od dawna marzyła o skoku spadochronowym.

– Zawsze lubiłam się bać. Dla tego lęku i dla przyjemności, jaką daje swoboda ruchu przy spadaniu, chciałam skoczyć – uzasadnia przyczynę poszukiwania skoczka, który pomógłby jej spełnić marzenie. Szukała w całym kraju, pisała wszędzie, ale uczciwie przy tym informowała, że cierpi też na skoliozę i że ma znaczne boczne skrzywienie kręgosłupa. Otrzymywała odpowiedź, że skok nie jest możliwy, bo ona, nawet przywiązana, nie będzie przylegać do skoczka.

Wreszcie trafiła na Arnolda Schneidera. Powiedział, by przyjechała do Przylepu, że można spróbować.

Agnieszka mówi: – Bałam się, czy nie wysmyknę się z tej uprzęży, bo skrzywienie kręgosłupa w prawą stronę jest bardzo duże.

Dziś Arnold przyznaje, że także się bał. Ale porządnie przymocował uprzężą Agnieszkę do siebie i wyskoczyli.

Najtrudniejsze dla niej były sekundy, gdy siedziała w otwartych drzwiach samolotu tuż przed skokiem. – Czy przeżyję? – zastanawiała się. Ale to był jedynie moment,

Nie bała się. Uznała, że są dwie możliwości – albo spadochron się otworzy, albo się nie otworzy.

Na skok ze spadochronem do Arnolda Schneidera zgłasza się rocznie kilkanaście osób niepełnosprawnych.

eprasa.pl a2151ccb97

Agnieszka Gałek: – Bałam się, czy nie wysmyknę się z tej uprzęży.

bo potem, gdy otworzył się spadochron, zobaczyła z góry przepiękny, kolorowy krajobraz… Powolne opadanie i w końcu dotknięcie ziemi.

Agnieszka skakała w czerwcu 2018 r. Na razie nie planuje kolejnego skoku, ponieważ od lipca ub.r. bierze zastrzyki w kręgosłup i z tego powodu może być on osłabiony. Ale bardzo chciałaby jeszcze raz doświadczyć tej przyjemności, która chyba jednak trwa zbyt krótko.

Karolina Konopko (27 lat, cierpi na rozszczep kręgosłupa) mieszka we wsi Bogaczów. Jest sama, jeździ na wózku.

Mówi, że ma wokół życzliwych ludzi i radzi sobie. Jak ogrzewa mieszkanie? Tradycyjnie, czyli pali w piecu. Do niedawna pracowała w prywatnej firmie, teraz jest bez pracy. Nie czuje się wykluczona, zaangażowała się w pracę Fundacji, Dar Serca, którą założyła Joanna Brodzik. O możliwości skoku ze spadochronem dowiedziała się od znajomej, także niepełnosprawnej. Marzyła o takim skoku. Wystarczył telefon do Arnolda Schneidera i nierealne marzenie stało się realnym. Skakała 12 maja 2019 r. Nie bała się. Uznała, że są dwie możliwości – albo spadochron się otworzy, albo się nie otworzy. Wprawdzie Arnold Schneider wzbudził w niej ogromne zaufanie, ale przecież wszystko mogło się zdarzyć. Co dał jej skok? Poczucie wolności. Przełamał tkwiące w niej blokady, dodał jej wiary w siebie. Dla tych wartości i przyjemności będzie dążyć, by ponownie skoczyć.

Mateusz Rządkowski skoczył ze Schneiderem w wieku sześciu lat.

Na pewno jeszcze raz albo nawet kilka razy skoczy Zbigniew Kret ze Zgorzelca. Mówi o sobie: – Jestem i nadal będę zwariowanym SSK Zbyszkiem, czyli starym, siwym, kulawym Zbysiem. Nie siedzę w domu przed telewizorem z pilotem w jednej ręce, a z różańcem w drugiej. To nie mój klimat. Kocham ludzi, kocham życie, jestem optymistą.

Elektronik Zbigniew Kret ma 63 lata i niedowład nóg z powodu przebytej w dzieciństwie choroby Heinego-Medina. Jest entuzjastą sportów motorowych, startował w rajdach samochodowych, zdobył licencję sędziego sportów motorowych, sędziował w rajdach zaliczanych do mistrzostw Europy, w mistrzostwach Niemiec, Czech i w mistrzostwach Polski.

– Startowałem w rajdach z pełnosprawnymi kierowcami i wygrywałem.

Jest też żeglarzem i motorowodniakiem. Latał motolotnią i ultralekkimi samolotami. Do Arnolda Schneidera trafił w 2018 r. za namową Katarzyny Śmiałek ze Zbąszynia. Katarzyna także jeździ na wózku, jest aktywna w środowisku osób niepełnosprawnych, namawia je do skoków spadochronowych. Na koncie ma 20 skoków w Polsce, w tym jeden u Arnolda Schneidera. Zbigniewa Kreta nie trzeba było szczególnie zachęcać, zgłosił się do Arnolda i skoczył z nim już dziewięć razy. Ten pierwszy raz dobrze zapamiętał. Wysokość 3700 m, usiadł na progu w otwartych drzwiach samolotu, nie bał się, popatrzył na dół, a tam piękna ziemia... Obaj skoczyli, prędkość 200 km/godz., więc spadanie trwa 30 sekund, potem otwiera się spadochron i – jak mówi Zbigniew Kret – człowiek jest wolny, leci jak ptak i to jest fantastyczne.

Wiele osób po wylądowaniu pyta: – To już? Tak szybko? A Arnold Schneider wyjaśnia: – 20 minut wzbijamy się samolotem do góry, po wyskoczeniu 30 sekund lecimy w dół z szybkością 200 km/godz. bez spadochronu, spadochron otwiera się na wysokości 1500 m i powoli opadamy, co trwa pięć minut. W sumie taka przyjemność od startu do lądowania zajmuje nam pół godziny.

W 2020 r. z powodu pandemii sezon skoków spadochronowych był nieco krótszy, trwał od czerwca. Sanepid wydał zgodę na ich organizację, ale przy zachowaniu wszelkich restrykcji.

Arnold Schneider maksymalnie obniża osobom niepełnosprawnym koszty podniebnej przyjemności. Płacą np. 20% . Albo nie płacą w ogóle. Na skok Mateusza złożyli się członkowie sekcji spadochronowej aeroklubu w Przylepie.

– Nie zbiednieję, jeśli mniej zarobię. Niektóre osoby niepełnosprawne naprawdę nie mają pieniędzy. A marzenia przecież mają – mówi Arnold Schneider.

Regina Dachówna

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl a2151ccb97

Rotacja Papierza dyplomacji

Lato jest porą wyjazdów i zjazdów z placówek. Okresem w MSZ szczególnie gorącym. Ale w tym roku wygląda to trochę inaczej.

Po pierwsze, w ostatnich tygodniach wielu pracownikom przebywającym na placówkach zaproponowano przedłużenie kadencji na piąty, a nawet szósty rok. To *novum*. Zwykle o przedłużenie trzeba było długo zabiegać, a decyzje rodziły się w bólach i zainteresowanym przekazywano je w ostatniej chwili, co zahaczało o sadyzm. Bo każdy chce jakoś sobie życie planować. A jest to ważne zwłaszcza wtedy, gdy ma się dzieci w wieku szkolnym.

Po drugie, jak zauważyliśmy, całe I piętro przy Szucha (gabinety kierownictwa) zajęte jest planowaniem wyjazdu JP2. Bo tak, z przekąsem, nazywa się w centrali MSZ byłego dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. Popularne jest też określenie użyte przez Witolda Waszczykowskiego – Rasputin.

Całe I piętro myśli o tym wyjeździe, bo ma pewien kłopot. Otóż minister Rau i jego najbliżsi podwładni namawiają kilkoro koleżanek i kolegów, którzy przeciw Papierzowi złożyli pozwy o mobbing, by je wycofali. Z takimi pozwami trudno bowiem przedstawić kandydata na ambasadora Małemu i Dużemu Pałacowi. O przesłuchaniu w Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu nie wspominając. Bo przecież byłby *show*… Tymczasem koleżanki i koledzy nie chcą pozwów wycofywać, ewentualnie zgadzają się na mediację, czym ministerstwo zainteresowane nie jest. Stosowane są więc różne środki nacisku. A my możemy tylko te osoby podziwiać, bo wiedzą, co im grozi, jeśli pozwów nie wycofają.

Ech… No to teraz pochwalmy MSZ. Pisaliśmy w tej rubryce o Klaudiuszu Tchórzewskim, którego ewakuowano z New Delhi z powodu COVID-19 specjalnie przystosowanym samolotem. I który po pięciu dniach wyszedł ze szpitala. Otóż miał on po dwóch latach pracy w ministerstwie jechać na zastępcę ambasadora do Dublina. No i tam pojedzie, ale nie jako zastępca, lecz na niższe stanowisko. Nie pomogły zabiegi całego klanu Tchórzewskich – stryjka z KPRM, stryjenki z KC na Nowogrodzkiej i szwagierki z Sejmu. Nie pomógł też sam sobie Klaudiusz Tchórzewski. Jak doszły nas słuchy, zraził sobie ważnych ludzi w centrali „postawą roszczeniową". Do tego doszła medialna popularność. Postanowiono więc go „schować".

Cóż, mamy nadzieję, że w takim razie zastępcą ambasadora w Dublinie zostanie etatowa, wieloletnia pracowniczka MSZ, zakwalifikowana na to stanowisko w ubiegłym roku. Najpierw ją zakwalifikowano, potem MSZ z tego się wycofało. Czy zatem szanowne ministerstwo wycofa się z wycofania?

Rzecz jest o tyle istotna, że po przegłosowaniu nowej ustawy o służbie zagranicznej (ostatnie dzieło Papierza w MSZ) ambasadorowie zarzucili centralę pytaniami. Bo ustawa przewiduje, że zmieni się ich pozycja w ambasadzie. Że *gros* obowiązków (i uprawnień) spocznie na ich zastępcach. W tym sprawy kadrowe i finansowe. A to przecież kluczowe narzędzia władzy… Ambasadorowi pozostanie chodzenie na spotkania, robienie mądrych min i pisanie depesz. Oraz pism do swojego zastępcy, czy w sprawie X lub Y uruchomi środki finansowe. Ludzie na placówkach pytają więc, kto teraz będzie ważniejszy. I kto kogo.

Attaché

Tang Hongbo, Nie Haisheng i Liu Boming 17 czerwca wystartowali z kosmodromu w Jiuquan w północno-zachodnich Chinach. Przez trzy miesiące będą przebywać na chińskiej stacji kosmicznej Tiangong, czyli Niebiański Pałac.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl a2151ccb97

JOLKA

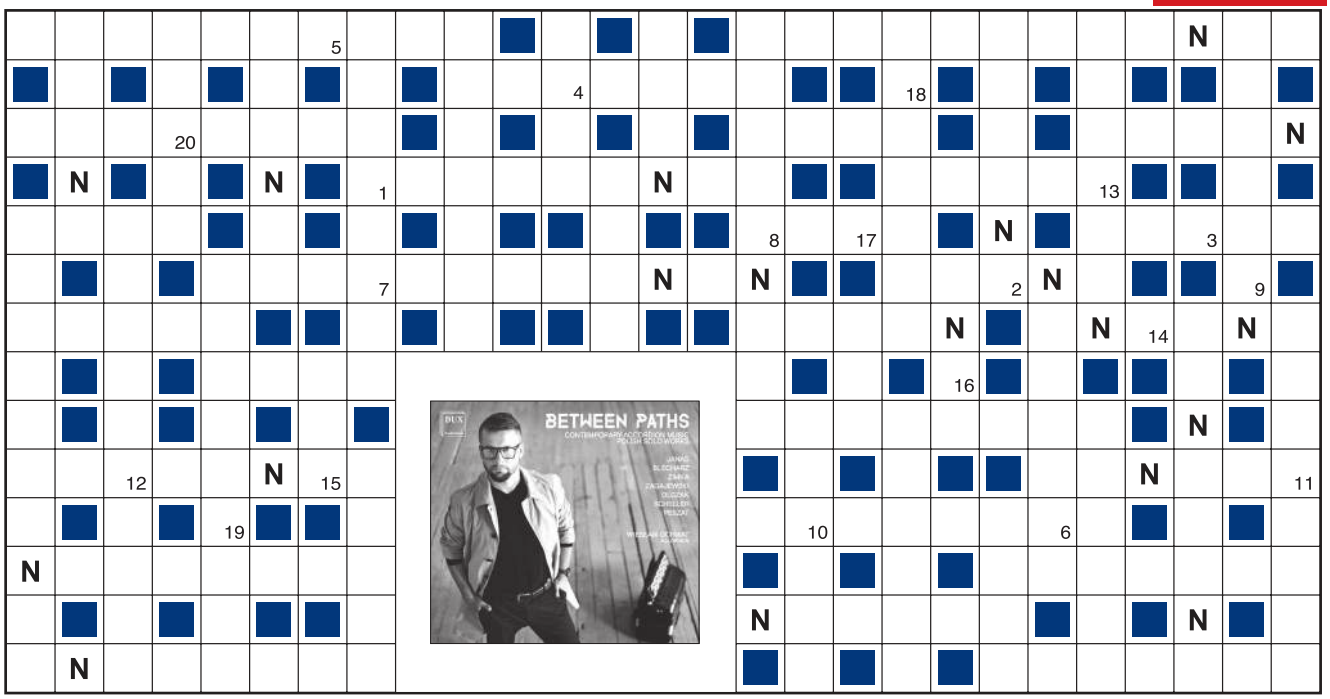

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- tempo powolne, ale szybsze niż largo
- jego założycielem Sargon Wielki
- budynek przedstawicielstwa dyplomatycznego państwa
- bezrząd, bezprawie
- ...pectoris, czyli dławica piersiowa
- brak go niejadkowi
- w ładną noc ma pracy moc
- otaczająca całą postać świętego to mandorla
- …podróżnik o jasnoniebieskich kwiatach
- przypinanie, wieszanie
- postępek, akt
- połowa połowy
- tworzywo skóropodobne
- leku lub prawdopodobieństwa
- szefowa nauczycieli w szkole
- kalidoński lub erymantejski
- powstało, kiedy karpia podzielono
- jeśli są wolne, można się starać o zatrudnienie
- wśród bakalii lub bielizny
- z Kanczendzongą i Nanga Parbat
- brak mu podstawowej wiedzy
- piktogram na ekranie monitora
- ...kartezjański zbiorów – jedno z pojęć teorii mnogości
- samiec w chlewie
- pryszczyk na skórze
- 14. litera alfabetu greckiego
- …Gaga, piosenkarka
- profan, dyletant
- tam kupisz zimne smakołyki
- znów można w nich oglądać eksponaty
- rozpoczyna naukę na oślej łączce
- podaje ją anestezjolog
- żywieniowe dobrze mieć zdrowe
- biologiczna – w spa
- silny wiatr połączony z burzą
- obok warzyw na straganie
- papla, gaduła
- bywa poszukiwany listem gończym
- pracownik RMF, TOK FM
- oponent Joego Bidena i Kamali Harris
- stan zniszczenia, dewastacji
- wrzucić coś na niego to przekąsić coś
- bon na towar
- wyrabianie gobelinów
- …Wisłoujście w Gdańsku
- wąska na starówce
- wiarus, kombatant
- przeprowadza go i dziennikarz, i lekarz
- całkowite zniszczenie
- podległość, zawisłość
- i stanowczość, i podjęcie decyzji
- czasem trzeba wybrać mniejsze
- proszony o zrobienie miny uprzejmej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1018”. Do rozlosowania płyty „Between Paths” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 czerwca 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1015” z nr. 23: *Spokój to pół szczęścia.*
Nagrody otrzymują: Michał Kulesza z Warszawy, Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Stanisław Majda z Bydgoszczy.

eprasa.pl a2151ccb97

PENETRACJE

PROF. TOMASZ MARUSZEWSKI, PSYCHOLOG

Ludzie są przekonani, że nieszczęścia przytrafiają się innym, a nie im samym. Zjawisko to zostało opisane przez Neila Weinsteina, który określił je mianem nierealistycznego optymizmu. Na przykład ludzie, którzy nigdy nie uczestniczyli w wypadku drogowym, sądzą, że im właśnie wypadek się nie przydarzy. Również ludzie dość optymistycznie patrzą na własne zdrowie – chorują tylko inni. Tak reagują nałogowi palacze na informację o związku między paleniem a rakiem płuc. Nierealistyczny optymizm dotyczy nie tylko przekonań, lecz także wywiera wpływ na zachowanie. Widać to szczególnie teraz, kiedy ludzie nie przestrzegają zaleceń higienicznych.

PROF. ANDRZEJ ZAPAŁOWSKI, UNIWERSYTET RZESZOWSKI

20 lat temu Związek Polaków na Białorusi był duży i dobrze zorganizowany. Zapewne dlatego po 2000 r. państwo polskie, zwłaszcza służby, które w istocie realizowały zadania służb zachodnich, głównie amerykańskich, zaczęło wykorzystywać ZPnB do swoich celów. Łukaszenka bał się powtórki z ukraińskiej pomarańczowej rewolucji z lat 2004-2005, gdzie polskie władze poparły Juszczenkę. Warto przypomnieć, że gdy Juszczenko został prezydentem, „odwdzięczył się" Polsce, wspierając ukraińskich nacjonalistów, ideowych spadkobierców OUN i UPA.

JAKUB BANAŚ, SYN SZEFA NIK

Kaczyński jest dobrym strategiem i wie, że z każdym opublikowanym przez NIK raportem będzie tracić słupki poparcia. O to jest gra, wojna, PiS boi się wyników kontroli Ostrołęki, afery GetBacku, SKOK-u Wołomin, Polskiej Fundacji Narodowej, Orlenu czy zakupu respiratorów i maseczek. I wielu innych. Być może czekają nas przyśpieszone wybory już na jesieni tego roku. Kaczyński chce wyczyścić przedpole do kampanii wyborczej.

MAGDALENA KOLEŚNIK, AKTORKA

W „Kamieniach na szaniec" zorientowałam się, że nikt tego za mnie nie zrobi, więc stanęłam na środku i powiedziałam: „Teraz będziemy grać scenę z elementami nagości i proszę, żeby ta część ekipy, która nie jest tu niezbędna, wyszła". Przeżyłam wiele podobnych sytuacji. Również taką, gdy po wielu prośbach, kiedy stałam już nago przed kamerą, wciąż na planie znajdowały się osoby, których tam nie powinno być. Podeszłam więc do nich tak jak stałam i powiedziałam: „Wypierdalać". Poskutkowało, tylko po co tak robić? Naprawdę wolałabym, żeby ktoś to robił za mnie.

Reprezentantka Izraela Linoy Ashram podczas finału Mistrzostw Europy w Gimnastyce Artystycznej w Warnie.

FOT. REUTERS/FORUM

Aby język giętki…

PROF. JAROSŁAW FLIS O RZĄDZIE

Nie wiem, kto im powiedział, że traktowanie ludzi jak idiotów przysparza zwolenników.

MAREK KOTERSKI O FILMIE „AJLAWJU"

Kiedy zakochałem się pierwszy raz, myślałem, że umrę z miłości. Kiedy zakochał się kolega, myślałem, że umrę ze śmiechu.

ANDRZEJ DUDA DO O. TADEUSZA RYDZYKA

Wydaje się wprost nie do uwierzenia, że tyle dokonań może być efektem wizjonerskiej aktywności jednego człowieka.

PROF. LESZEK BALCEROWICZ O MATEUSZU MORAWIECKIM

To mitoman, który nie potrafi wystąpić bez kompromitującego, pseudopatriotycznego sloganu.

MAREK BOROWSKI O KONSTANTYM RADZIWILLE

Wojewoda Radziwiłł, poprzednio senator Radziwiłł, wcześniej minister zdrowia, w każdej swojej funkcji się nie sprawdza.

WOJCIECH CZUCHNOWSKI O MICHALE DWORCZYKU

Ujawnił, że Marek Bućko, jego doradca, „służył ojczyźnie na drugim etacie", czyli pracował dla służb specjalnych.

DOROTA SEGDA O CASTINGACH

Każdy nieudany casting jest okropnym przeżyciem, bo aktor zawsze szuka błędu w sobie.

FLAVIA BORAWSKA O KULTURZE MACHO W KUCHNI

Najgorsze wiązanki, jakie słyszałam w życiu, padły właśnie w kuchni.

AGNIESZKA WIĘDŁOCHA O POSTAWIE ŻYCIOWEJ

Trzeba mieć swoją przestrzeń, pieniądze, wolność. Nie uzależniać się od mężczyzny, mimo że się go kocha.

MARTA MANOWSKA O RODZINIE

Choć jest śląska, to w klimacie włoska, bo głośna i z osobowościami. Każdy ma swoje zdanie i zawzięcie go broni.

eprasa.pl a2151ccb97

Annuszki z US Army

Nie ustaje pasmo sukcesów amerykańskiego oręża. Siedmiu jankeskich żołnierzy, uzbrojonych w karabiny szturmowe, zajęło jedną z bułgarskich rozlewni oleju słonecznikowego. Wojacy brali udział w ćwiczeniach NATO i pomylili obiekty – w rzeczywistości mieli brać udział w zabezpieczeniu sąsiedniej bazy sił powietrznych – ponieważ otrzymali niewłaściwe współrzędne. Ambasada Stanów Zjednoczonych w Bułgarii podkreśla, że podczas incydentu nie padł żaden strzał, ale powiedzmy sobie wprost: olej się już rozlał.

Niczym dżem z jasnego nieba

W Kijowie miłość do truskawek, a może nadzieja na zysk, niemal doprowadziła do tragedii. Jeden z mieszkańców ukraińskiej stolicy na balkonie na szóstym piętrze wieżowca urządził miniplantację tych owoców. Pod ciężarem prawie tony ziemi konstrukcja runęła, całe szczęście nikt nie ucierpiał. Władze miasta wzywają obywateli, by zaprzestali instalowania na balkonach nielegalnych dobudówek, gdyż ten nasilający się trend zagraża bezpieczeństwu. Podobnie zresztą jak niemycie rąk przed jedzeniem owoców!

Przegrał sam ze sobą?

48-letni lokalny społecznik Marian Górniak nie zdołał wygrać wyborów na sołtysa wsi Niedźwiedź, choć był w nich jedynym kandydatem. Wyjaśniamy: w miejscowości, w której mieszka ponad 1000 osób, przy urnach stawiło się zaledwie 28 wyborców. Jedna wrzucona karta była nieważna, pretendent do władzy otrzymał 13 głosów, a 14 wyborców wyraziło sprzeciw wobec jego oferty politycznej. Ponieważ do zwycięstwa wymagane jest przekroczenie progu 50% poparcia, sołtysa nie wybrano. Nie wiemy, czy pan Górniak czuł się pewny zwycięstwa, ale jeśli tak – na przyszłość radzimy nie dzielić skóry na Niedźwiedziu.

Jak trwoga, to do bogini

Zdesperowani mieszkańcy wioski w Indiach modlą się do… koronawirusa. Społeczność Shuklapur wzniosła jaskrawożółtą kapliczkę, w której prosi „boginię Koronę" o zmiłowanie, ofiarowując jej m.in. kwiaty. – Może z jej błogosławieństwem nasza wioska i wszyscy inni odczują ulgę – wyjaśniła jedna z mieszkanek, o imieniu Sangeeta. Trudno ocenić skuteczność obranej metody, bo w okręgu nadal zdarzają się zachorowania na COVID-19, ale jest ich znacznie mniej niż w szczytowym momencie epidemii. Może w razie czego warto dorzucić jeszcze trochę kwiatów?

Wytną im numery

W sąsiednim Pakistanie pojawił się inny pomysł na COVID-19: władze Pendżabu postanowiły, że niezaszczepionym zostaną zablokowane karty SIM. Decyzja regionalnego rządu wynika z wolnych postępów akcji szczepień, m.in. z tego, że wielu pacjentów, którzy przyjęli pierwszą dawkę szczepionki, nie wróciło po drugą. W całym kraju od 2 lutego zaszczepiono zaledwie 3% z ponad 200 mln obywateli.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

eprasa.pl a2151ccb97

Belgia kontra Rosja i Francja kontra Niemcy na Euro 2020.

Szlaban na smartfony powinien być skuteczny w wymuszaniu rozsądku, co potwierdzi każdy rodzic nastolatka.

Nazwiska od nova

Czeski parlament zdecydował, że żeńska końcówka -ova nie będzie automatycznie dodawana do nazwiska kobiety po ojcu lub mężu. Odtąd nowo narodzoną córkę pana Nováka rodzice będą mogli zarejestrować albo jako Nováková, albo jako Novák, a świeżo poślubiona żona Pospíchala niekoniecznie zostanie Pospíchalová. Dotychczas obywatelki Czech mogły zrezygnować z końcówki, jedynie gdy mieszkały na stałe poza ojczyzną lub gdy brały ślub z cudzoziemcem. Wracając do zmian: dobry pomysł. Krótsze nazwiska to nie tylko krok w stronę równouprawnienia, ale i mniejsze ryzyko czeskich błędów.

Łapał homary i… nie do wiary!

W pobliżu Provincetown w stanie Massachusetts nurek poławiający homary został połknięty przez humbaka. Gdy 56-letni Michael Packard poczuł silne uderzenie i nagle wokół zrobiło się ciemno, pomyślał, że został zaatakowany przez żarłacza białego, ale szybko uświadomił sobie, że przecież nie ma ran po zębach. – Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem w paszczy wieloryba. Sądziłem, że umrę – wspomina mężczyzna, który jednak po chwili został wyrzucony w powietrze i wylądował na wodzie, skąd kolega z załogi wciągnął go na pokład. Nasz komentarz nie będzie oryginalny: jakie czasy, taki Jonasz.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, MEMYTYTAJ.PL, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, REUTERS/FORUM, AP/EAST NEWS

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl a2151ccb97

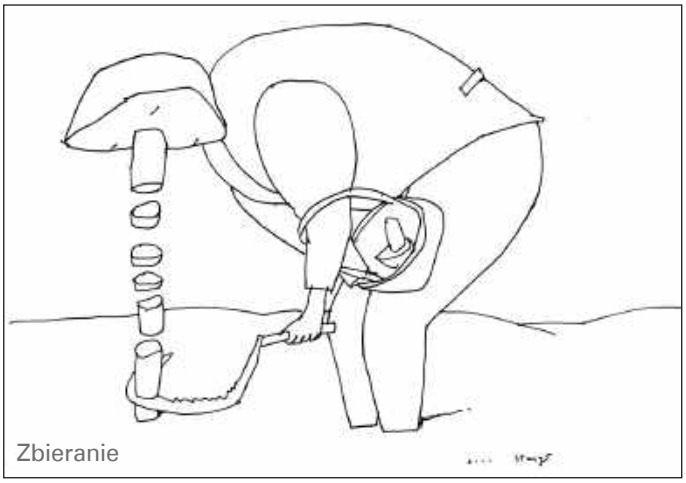
Zbieranie

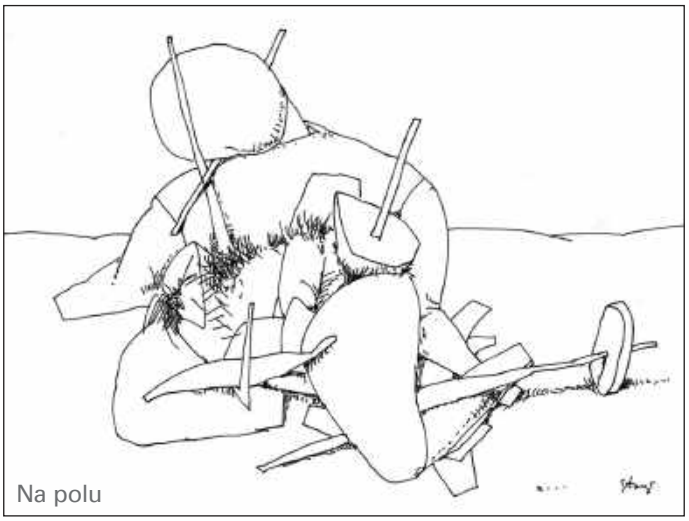
Na polu

patronat **PRZEGLĄDU**

Muzeum Karykatury prezentuje fragment twórczości rysunkowej Stasysa Eidrigevičiusa, grafika, malarza, autora pasteli i plakatów – dwa cykle prac wykonanych tuszem, powstałe w 2000 r., niepublikowane dotychczas ani niepokazywane na wystawach. Pierwszy, o charakterze refleksyjnym, składa się z 28 rysunków; ujęcia figur ludzkich wykonujących różne czynności stanowią pretekst do wizualizacji abstrakcyjnych pojęć i stanów emocjonalnych artysty. Drugi to zbiór 37 prac humorystyczno-erotycznych, których głównym tematem jest grzybobranie.

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego
Warszawa, ul. Kozia 11
do 5 września

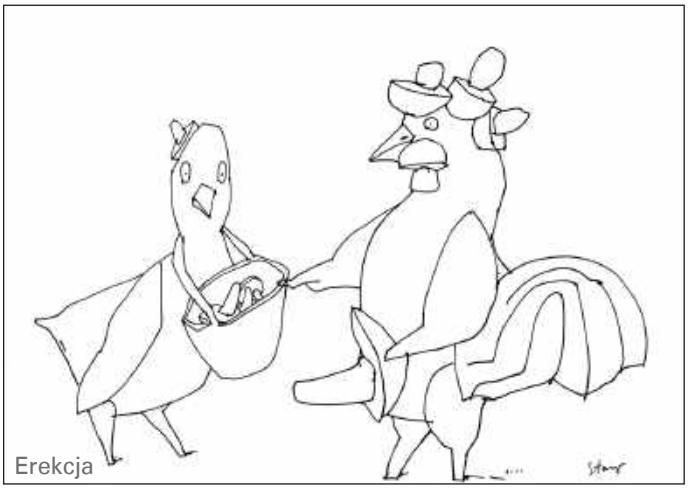
Erekcja

Do góry nogami

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

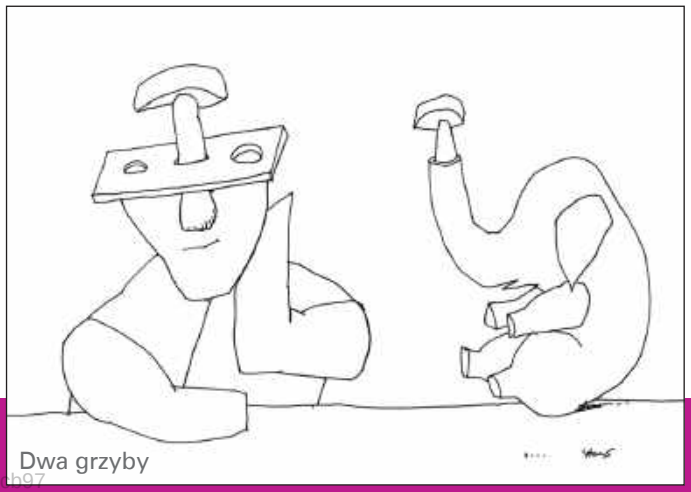
Dwa grzyby

epresa.pl a2151cch97

FILMOWANI wysokie obcasy empik K MAG AKTIVIST LAVIE P wprost polki.pl GŁOS KULTURY FILMWEB

eprasa.pl a2151ccb97

NO SUGAR FILMS w koprodukcji z Telewizją Polską, przedstawiają film **DAWIDA NICKELA**

OSTATNI KOMERS

WYSTĘPUJĄ: **Sandra DRZYMALSKA, Mikołaj MATCZAK, Agnieszka ŻULEWSKA, Michał SITNICKI, Nel KACZMAREK, Jakub WRÓBLEWSKI, Zofia ŚWIATKIEWICZ, Dobromir DYMECKI, Jan DRAVNEL**

MUZYKA: **DJ LOTOS, LOW ROAR, DUIT, KALWI&REMI, HANIA RANI, BELLA ĆWIR, RYSY, ROTTERDAM TERROR CORPS, MX TORO**

kierownictwo produkcji: **KATARZYNA KOSTECKA** dźwięk: **MARCIN JACHYRA** charakteryzacja: **ALEKSANDRA PRZYŁUSKA**
kostiumy: **MILENA LIEBE** scenografia: **JANA ŁĄCZYŃSKA&MACIEJ KRAJEWSKI** montaż: **ŁUKASZ SWARYCZEWSKI**
autor zdjęć: **MICHAŁ PUKOWIEC** scenariusz: **DAWID NICKEL**, na podstawie fragmentów „MA BYĆ CZYSTO" autorstwa **ANNY CIEPLAK**
reżyseria: **DAWID NICKEL** producentka: **MARTA HABIOR**

FILM WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ SPRZEDAŻ MIĘDZYNARODOWA IKH PICTURES PROMOTION DYSTRYBUCJA W POLSCE GALAPAGOS FILMS
PRODUCTION WAS CO-FINANCED BY POLISH FILM INSTITUTE INTERNATIONAL SALE: IKH PICTURES PROMOTION DISTRIBUTION: GALAPAGOS FILMS

NAGRODA JURY MŁODYCH 45. FPFF GDYNIA 2020

NO SUGAR FILMS TVP GALAPAGOS FILMS IKH PICTURES PROMOTION

WP GLAMOUR KINO replika Przegląd movies room SFILMOWANI QUEER ALL ABOUT MUSIC RADIO 357

eprasa.pl a2151ccb97